

Kurt Vonnegut Jr.

Rzeźnia numer pięć

Czyli kruczata dziecięca

Czyli obowiązkowy taniec ze śmiercią

(Przełożył: Lech Jęczmyk)

1

Wszystko to zdarzyło się mniej więcej naprawdę. W każdym razie wszystko to, co dotyczy wojny. Pewien facet, którego znałem osobiście, został naprawdę rozstrzelany w Dreźnie za kradzież czajnika. Inny z moich znajomych naprawdę odgrażał się, że po wojnie załatwi swoich osobistych wrogów przy pomocy wynajętych morderców. I tak dalej. Nazwiska pozmieniałem.

Prawdą jest też, że w roku 1967 odwiedziłem ponownie Drezno za pieniądze fundacji Guggenheima (niech je Bóg ma w swojej opiece). Przypominało bardzo Dayton w stanie Ohio, tyle że więcej tu wolnych terenów. Ziemia tutaj musi zawierać tony mączki z ludzkich kości.

Pojechałem tam z moim dawnym frontowym towarzyszem Bernardem V. O'Hare i zaprzyjaźniliśmy się z taksówkarzem, który zawiózł nas do rzeźni, gdzie zamykano nas na noc, kiedy byliśmy jeńcami. Nazywał się Gerhard Müller. Opowiadał nam, że był przez jakiś czas w niewoli amerykańskiej. Pytaliśmy go, jak się żyje przy komunistach, a on powiedział, że początkowo było okropnie, że trzeba było bardzo ciężko pracować, nie było mieszkań, żywności ani odzieży, ale że teraz jest już znacznie lepiej. Ma miłe, małe mieszkanko, a jego córka studiuje na wyższej uczelni. Jego matka spłonęła podczas bombardowania Drezna. Zdarza się i tak.

Przysłał O'Hare'owi na Boże Narodzenie kartę następującej treści:

“Życzę Panu i Pańskiej rodzinie, także Pańskiemu przyjacielowi Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku i mam nadzieję, że spotkamy się znowu w świecie, gdzie pokój i wolność w taksówce, jeśli wypadek zechce.”

* * *

Bardzo mi się podobało to “jeśli wypadek zechce”. Nie chcę tu opowiadać, ile pieniędzy, czasu i nerwów kosztowała mnie ta cholerna książka. Kiedy dwadzieścia trzy lata temu wróciłem do domu z drugiej wojny światowej, wydawało mi się, że nic łatwiejszego, jak napisać o zniszczeniu Drezna – wystarczy po prostu przedstawić to, co widziałem. Sądziłem też, że wyjdzie z tego wybitne dzieło albo że przynajmniej zarobię na nim kupę forsy ze względu na wagę tematu.

Tymczasem nie potrafiłem jakoś znaleźć w sobie odpowiednich słów, w każdym razie było tego za mało na książkę. Zresztą teraz też nie bardzo wiem, jak o tym opowiadać, mimo że jestem już starym przykiem, otoczonym wspomnieniami, Pall Mallami i dorosłymi synami.

Kiedy myślę o tym, jak bezużyteczne były moje wspomnienia wyniesione z Drezna i jak mnie jednocześnie kusiło, żeby o nim napisać, przypomina mi się znany limeryk:

– Pewien młody człowiek rodem z Ankary

Tak przemawiał do swojej fujary:

Tyś mi życie zmarnował,

Z mienia wyzuł i zdrowia,

A dziś nie chcesz nawet lać, blaźnie stary?!

Przypomina mi się też piosenka:

– *Nasyfam się Yon Yonson,
Przybyłem tu z Fisconsin,
Zajęcie tam w tartaku dobre mam.
Gdziekolwiek się pokażę,
Fesole fidze tfarze
I fszyscy proszą mnie:
“Ach przedstaf, przedstaf się!”
Więc odpofiadam, że
Nasyfam się Yon Yonson...*

I tak dalej, w nieskończoność.

W ciągu tych lat znajomi nieraz pytali mnie, nad czym teraz pracuję, i zwykle odpowiadałem, że najważniejsza jest moja książka o Dreźnie.

Powiedziałem to kiedyś Harrisonowi Starrowi, który pracuje w filmie, na co uniósł brwi i spytał:

- Czy to jest książka antywojenna?
- Tak – odpowiedziałem. – Chyba tak.
- Czy wiesz, co mówię facetom, którzy piszą książki przeciwko wojnie?
- Nie. Ciekawe, co im mówisz.
- Mówię: Dlaczego nie piszesz książek przeciwko lodowcom?

Chodziło mu oczywiście o to, że wojny będą zawsze i że z równym powodzeniem można próbować powstrzymywać lodowce. Ja również jestem tego zdania.

* * *

A gdyby nawet wojny przestały nacierać na nas niczym lodowce, to wciąż jeszcze pozostanie zwyczajna, pocziwa śmierć.

Kiedy byłem nieco młodszy i pracowałem nad swoją słynną książką o Dreźnie, spytałem towarzysza z czasów wojny, Bernarda V. O'Hare, czy mogę go odwiedzić. O'Hare był prokuratorem okręgowym w Pensylwanii, ja zaś byłem pisarzem z półwyspu Cod. Na wojnie byliśmy obaj szeregowcami i zwiadowcami w piechocie. Nie spodziewaliśmy się wtedy, że po wojnie uda nam się dorobić, teraz jednak obu nam powodziło się zupełnie nieźle.

Odszukanie O'Hare'a zleciłem Towarzystwu Telefonicznemu Bella. W takich sprawach oni są niezastąpieni. Czasami miewam po nocach takie napady, związane z alkoholem i telefonem. Upijam się wtedy i wypląsam z pokoju żonę, ziejąc mieszaninę gazu musztardowego i róż. Potem tonem wytwornym i śmiertelnie poważnym proszę panienkę z międzymiastowej o połączenie mnie z którymś z moich od lat nie widzianych przyjaciół.

W ten właśnie sposób połączyłem się z O'Hare'em. On jest niski, a ja jestem wysoki. Na wojnie byliśmy Patem i Pataszonem. Razem trafiliśmy do niewoli. Powiedziałem mu przez telefon, kto dzwoni. Uwierzył

natychmiast. Nie spał jeszcze, czytał. Oprócz niego cały dom pogrążony był we śnie.

– Słuchaj – powiedziałem – piszę książkę o Dreźnie. Szukam kogoś, kto pomógłby mi przypomnieć sobie pewne szczegóły. Chętnie przyjechałbym do ciebie. Moglibyśmy wypić, pogadać i powspominać.

Odniósł się do tego projektu bez entuzjazmu. Powiedział, że niewiele pamięta, ale żebym przyjechał.

– Myślę, że kulminacyjnym punktem książki będzie egzekucja starego, poczciwego Edgara Derby'ego – powiedziałem. – Cóż za ironia! Spalono całe miasto, zginęło tysiące ludzi, a tutaj ten amerykański piechociniec zostaje wśród zgliszczy aresztowany za kradzież czajnika. Odbywa się normalny sąd i stawiają go przed plutonem egzekucyjnym.

– Uhum – mruknął O'Hare.

– Czy nie uważasz, że to właśnie powinno być kulminacyjnym punktem książki?

– Nie znam się na tym – odpowiedział. – Książki to twoja specjalność.

* * *

Jako specjalista od punktów kulminacyjnych, napięcia, charakterystyk, wspaniałych dialogów, dreszczy emocji i kontrastów wielokrotnie opracowywałem sobie plan tej drezdeńskiej historii. Najlepszy, a w każdym razie najładniejszy, jaki udało mi się sporządzić, powstał na odwrotnej stronie rolki tapety.

Użyłem do tego celu kredek mojej córki, innego koloru dla każdego z bohaterów. Na jednym końcu rolki był początek opowieści, na drugim koniec, zaś część środkową zajmował środek historii. Niebieska linia spotykała się z czerwoną, potem z żółtą, a potem żółta linia urywała się, ponieważ bohater, którego wyobrażała, ginął. I tak dalej. Zniszczenie Drezna było przedstawione w postaci poziomej wiązki pomarańczowych kresek i wszystkie linie, które jeszcze żyły, krzyżowały się z nią i przechodziły na drugą stronę.

Koniec, gdzie urywały się wszystkie linie, to buraczone pole nad Łabą koło Halle. Padał deszcz. Wojna skończyła się w Europie już kilka tygodni temu. Staliśmy w szyku, pilnowani przez rosyjskich żołnierzy. Byli tu Anglicy, Amerykanie, Holendrzy, Belgowie, Francuzi, Kanadyjczycy, Południowoafrykańczycy, Nowozelandczycy, Australijczycy – tysiące ludzi, którzy mieli przestać być jeńcami wojennymi.

Na przeciwległym krańcu pola stały tysiące Rosjan, Polaków i Jugosłowian, pilnowanych przez żołnierzy amerykańskich. Tam, na deszczu, dokonywano wymiany – sztuka za sztukę. O'Hare i ja wdrapaliśmy się wraz z innymi na amerykańską ciężarówkę. O'Hare nie wiozł żadnych pamiątek. Prawie każdy oprócz niego coś miał. Ja miałem paradny kordzik oficera Luftwaffe, który przechowuję do dzisiaj. Wściekły mały Amerykanin, którego nazywam w tej książce Paulem Lazzaro, miał prawie kwartę brylantów, szmaragdów, rubinów i temu podobnych. Pozabierał je zabitym w piwnicach Drezna. Zdarza się.

Pewien zidiociały Anglik, który stracił gdzieś wszystkie zęby, wiozł swoją zdobycz w parcianej torbie, którą oparł na moich nogach. Zerkał do niej co chwila, a potem rozglądał się niespokojnie, wykręcając chudą szyję, aby przechwycić łakome spojrzenia sąsiadów. Bez przerwy objął mnie tą torbą po nogach.

Sądziłem, że robi to niechcący, ale byłem w błędzie. Musiał pokazać komuś swój skarb i uznał, że mnie można zaufać. Spojrzał mi w oczy, mrugnął porozumiewawczo i otworzył torbę. Był tam gipsowy model wieży Eiffla, pomalowany na złoto. I z wmontowanym zegarem. – Fantastyczna rzecz – powiedział.

* * *

Przewieziono nas samolotem na odpoczynek do Francji, gdzie karmiono nas czekoladą, cocktailami mlecznymi i różnymi innymi wzmacniającymi produktami, dopóki nie nabraliśmy podściółki tłuszczowej. Potem odesłano nas do ojczyzny i ożeniłem się z ładną dziewczyną, która także miała podściółkę tłuszczową.

I mieliśmy dzieci.

I te dzieci są teraz dorosłe, a ja jestem starym przykiem, który ma swoje wspomnienia i Pall Malle. Nasyfam się Yon Yonson...

Czasem próbuję późno w nocy, kiedy żona już zaśnie, dzwonić do swoich starych przyjaciółek.

– Czy mogłaby pani podać mi numer pani takiej a takiej? Zdaje się, że mieszka tam i tam.

– Przykro mi. Nie mamy takiego nazwiska.

– Dziękuję pani. Przepraszam za kłopot.

I wypuszczam na dwór psa albo wpuszczam go do domu i rozmawiamy sobie trochę. Daję mu do zrozumienia, że go lubię, i on też daje mi do zrozumienia, że mnie lubi. Jemu nie przeszkadza zapach gazu musztardowego i róż.

– Jesteś dobry pies, Sandy – mówię do niego. – Wiesz o tym? Bardzo cię lubię.

Czasami włączam radio i słucham jakiejś słownej audycji z Bostonu albo z Nowego Jorku. Kiedy sobie podpiję, nie cierpię muzyki z płyt.

Wreszcie, prędzej czy później, idę do łóżka i żona pyta mnie, która godzina. Ona zawsze musi wiedzieć, która jest godzina. Czasami nie wiem i wtedy mówię:

– A skąd ja mogę wiedzieć?

* * *

Zastanawiam się niekiedy nad swoim wykształceniem. Po drugiej wojnie światowej uczęszczałem przez jakiś czas na uniwersytet w Chicago. Byłem studentem na Wydziale Antropologii. Uczono wtedy, że między ludźmi nie ma absolutnie żadnej różnicy. Może zresztą ucą tego i dzisiaj.

Poza tym uczono nas jeszcze, że nie ma ludzi śmiesznych, złych ani odrażających.

Mój ojciec na krótko przed śmiercią powiedział:

– Czy wiesz, że w żadnym z twoich opowiadań nie występuje czarny charakter?

Powiedziałem mu, że jest to jedna z rzeczy, jakich nauczyłem się na studiach zaraz po wojnie.

* * *

Studiując antropologię pracowałem jednocześnie jako reporter kryminalny dla słynnej Agencji Prasowej Miasta Chicago za dwadzieścia osiem dolarów tygodniowo. Pewnego razu przeniesiono mnie z nocnej zmiany na dzienną i pracowałem szesnaście godzin bez przerwy. Finansowała nas cała prasa miejscowa oraz Associated Press i United Press i tak dalej. Zapewnialiśmy obsługę dziennikarską sal sądowych i komisariatów policji, straży pożarnej, Straży Przybrzeżnej na jeziorze Michigan i tak dalej. Z instytucjami, które nas finansowały, byliśmy połączeni pocztą pneumatyczną, rurami biegnącymi pod ulicami miasta.

Reporterzy przekazywali telefonicznie swoje doniesienia pisarzom, którzy siedzieli ze słuchawkami na

uszach i pisali na woskówkach do powielacza. Notatki powielano i wkładano do wyłożonych aksamitem mosiężnych walców, natychmiast połykanych przez rury poczty pneumatycznej. Najbardziej bezwzględne były kobiety, które objęły stanowiska mężczyzn powołanych do wojska.

Swój pierwszy wypadek musiałem właśnie relacjonować przez telefon jednej z tych piekielnych dziewczyn. Była to sprawa młodego człowieka, który po powrocie z wojska dostał pracę windziarza i obsługiwał staromodną windę w jakimś biurówcu. Na parterze drzwi windy stanowiła żelazna ozdobna kratka, przeplatana gałązkami żelaznego bluszczu. Na żelaznej gałązce siedziały dwa żelazne gołąbki.

Były żołnierz postanowił zjechać windą do piwnicy, wszedł więc do kabiny i ruszył w dół, ale zaczepił obręczką ślubną o kratę. Tak więc zawisł w powietrzu, podłoga windy uciekła mu spod stóp, a sufit zmiażdżył go. Zdarza się.

Zatelefonowałem o wypadku i kobieta, która miała zrobić z tego notatkę, spytała:

– A co na to jego żona?

– Ona jeszcze o niczym nie wie – powiedziałem. – To się zdarzyło przed chwilą.

– Zadzwoń do niej. Musimy mieć jej słowa.

– Co?

– Powiedz, że jesteś kapitan Finn z policji. Powiedz, że masz dla niej smutną nowinę. Przekaż wiadomość i zapamiętaj jej słowa.

Zrobiłem tak, jak mi kazała. Żona powiedziała to, czego można było oczekiwać. Że mają małe dziecko, i tak dalej.

Kiedy wróciłem do biura, ta kobieta spytała mnie, już z własnej ciekawości, jak wyglądał ten zmiażdżony facet, kiedy go zmiażdżyło.

Opowiedziałem jej.

– Czy to cię ruszyło? – spytała. Jadła właśnie czekoladowy batonik.

– Nie, Nancy – odpowiedziałem. – Na wojnie widziałem dużo gorsze rzeczy.

* * *

Nawet wtedy pisałem już rzekomo książkę o Dreźnie. W Ameryce niewiele wiedziano o tym nalocie. Mało kto zdawał sobie sprawę, że było to dużo gorsze niż na przykład Hiroszima. Ja też tego nie wiedziałem. Sprawie nie nadawano rozgłosu.

Kiedyś zdarzyło mi się opowiedzieć na przyjęciu pewnemu profesorowi z Uniwersytetu Chicagowskiego o nalocie, tak jak go widziałem, i o książce, którą chcę napisać. Profesor, który należał do czegoś, co nazywało się Komitetem Myśli Społecznej, opowiedział mi wówczas o obozach koncentracyjnych i o tym, jak Niemcy robili mydło i świece z tłuszczu pomordowanych Żydów i tak dalej.

Mogłem tylko powiedzieć:

– Wiem, wiem.

* * *

Po drugiej wojnie światowej ludzie niewątpliwie stali się bardzo surowi. Ja zaś zacząłem pracować w

dziale reklamy firmy General Electric w Schenectady, stan Nowy Jork, i wstąpiłem do ochotniczej straży pożarnej w osadzie Alplaus, gdzie kupiłem swój pierwszy domek. Mam nadzieję, że nie spotkam nigdy surowszego człowieka niż mój ówczesny szef. Był podpułkownikiem reklamy w Baltimore. Kiedy pracowałem w Schenectady, wstąpił do Holenderskiego Kościoła Zreformowanego, który jest naprawdę bardzo surowym kościołem.

Od czasu do czasu zapytywał mnie szyderczo, dlaczego nie byłem oficerem, jakbym zrobił coś złego.

Oboje z żoną straciliśmy swoją podściółkę tłuszczową. Były to dla nas lata chude. Przyjaźniliśmy się z całą masą chudych byłych żołnierzy i z ich chudymi żonami. Najsympatyczniejszymi weteranami w Schenectady, najlepszymi i najweselszymi, i najbardziej nienawidzącymi wojny byli ci, którzy rzeczywiście powąchali prochu.

Napisałem wówczas do Wojsk Lotniczych z prośbą o bliższe informacje na temat nalotu na Drezno: kto wydał rozkaz, ile samolotów brało w nim udział, dlaczego to zrobiono, co to dało i tak dalej. Odpowiedział mi ktoś, kto podobnie jak ja pracował w dziale łączności ze społeczeństwem. Odpowiedział, że niestety informacje na ten temat są nadal otoczone tajemnicą wojskową.

Przeczytałem ten list na głos żonie i powiedziałem:

– Tajemnica? Na Boga – przed kim? Byliśmy wtedy Federalistami Zjednoczonego Świata. Nie wiem, kim jesteśmy teraz. Chyba telefoniarzami, bo bardzo dużo telefonujemy po nocach, w każdym razie ja.

* * *

W parę tygodni po rozmowie telefonicznej z moim starym frontowym towarzyszem Bernardem V. O'Hare rzeczywiście pojechałem do niego z wizytą. Musiało to być w roku 1964 albo coś koło tego – wiem, że był to ostatni rok Wystawy Światowej w Nowym Jorku. *Eheu! jugaces labuntur anni*. Nasyfam się Yon Yonson. Pewien młody człowiek rodem z Ankary.

Wziąłem ze sobą dwie dziewczynki, moją córkę Nanny i jej najlepszą przyjaciółkę Alison Mitchell. Nigdy dotychczas nie wyjeżdżały poza półwysep Cod. Kiedy zobaczyliśmy rzekę, musieliśmy stanąć, tak żeby mogły postać nad brzegiem i pomyśleć nad nią przez chwilę. Nigdy jeszcze nie widziały wody w takiej długiej, wąskiej i niesionej postaci. Była to rzeka Hudson. Pływały w niej karpie wielkie jak atomowe łodzie podwodne.

Widzieliśmy też wodospady: potoki skaczące z urwistych skał w dolinę rzeki Delaware. Była masa rzeczy do oglądania i często przystawaliśmy – a potem trzeba było jechać dalej, zawsze trzeba było jechać dalej. Dziewczynki ubrane były w białe odświętne sukienki i czarne pantofelki, tak żeby obcy ludzie od razu wiedzieli, jakie to miłe dzieci.

– Trzeba jechać dalej, dziewczynki – mówiłem. I jechaliśmy dalej.

Potem zaszło słońce, zjedliśmy kolację we włoskiej restauracji i wreszcie zapukałem do frontowych drzwi pięknego kamiennego domu Bernarda V. O'Hare. W dłoni ścisnąłem butelkę irlandzkiej whisky, jak dzwonek, którym wzywają na wieczerzę.

* * *

Poznałem jego uroczą żonę, Mary, której dedykuję tę książkę. Dedykuję ją również Gerhardowi Miillerowi, taksówkarzowi z Drezna. Mary O'Hare jest dyplomowaną pielęgniarką – trudno o bardziej odpowiedni dla kobiety zawód.

Mary wyraziła podziw dla dwóch dziewczynek, które przyprowadziłem, i wysłała je razem ze swoimi dziećmi na górę, gdzie miały bawić się i oglądać telewizję. Dopiero kiedy dzieci już sobie poszły, odczułem, że nie przypadłem Mary do gustu albo ja, albo coś związanego z tym wieczorem. Była uprzejma, ale bardzo sztywna.

– Macie miły, przytulny dom – powiedziałam i było to zgodne z prawdą.

– Przygotowałam miejsce, gdzie będziecie mogli spokojnie porozmawiać – oznajmiła.

– Doskonale – powiedziałem i wyobraziłem sobie dwa kryte skórą fotele koło kominka, w pokoju z boazerią, gdzie dwaj starzy żołnierze będą mogli wypić i porozmawiać. Tymczasem Mary zaprowadziła nas do kuchni. Przystawiła dwa twarde krzesła do kuchennego stołu z białym, porcelanowym blatem, który raził oczy, odbijając światło dwustuwatowej żarówki nad głową. Mary przygotowała salę operacyjną. Postawiła tylko jedną szklankę dla mnie, wyjaśniając, że O'Hare nie może pić wysokoprocentowych napojów od czasu wojny.

Usiedliśmy. O'Hare czuł się głupio, ale nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Nie miałem pojęcia, czym mogłem tak zrazić Mary. Byłem przykładnym ojcem rodziny. Nie byłem pijakiem. Nie zrobiłem jej mężowi żadnego świństwa na wojnie.

Nalała sobie Coca-Coli, hałasując strasznie naczyniem z lodem w stalowym zlewie. Potem znikła w innej części domu, ale nadal dawała o sobie znać. Chodziła po mieszkaniu, trzaskała drzwiami, a nawet przesuwała meble, żeby wyładować zły humor.

Spytałem O'Hare'a, co takiego powiedziałem lub zrobiłem, że ona tak się zachowuje.

– Wszystko w porządku – uspokoił mnie. – Nie przejmuj się tym. Tu nie chodzi o ciebie.

Było to bardzo miłe z jego strony. Oczywiście kłamał. Chodziło jak najbardziej o mnie.

Tak więc próbowaliśmy wspominać wojnę nie zwracając uwagi na Mary. Wypiłem parę szklaneczek przyniesionego przez siebie alkoholu. Od czasu do czasu chichotaliśmy i uśmiechaliśmy się, że to niby przypominamy sobie historię z wojny, ale żaden z nas nie potrafił przypomnieć sobie nic naprawdę dobrego. O'Hare pamiętał faceta, który trafił w Dreźnie, jeszcze przed bombardowaniem, do piwnicy pełnej wina i musieliśmy odwieźć go do domu na taczkach. Nie była to rzecz, o której warto by pisać książkę. Ja pamiętałem dwóch rosyjskich żołnierzy, którzy palili ogromne papierosy skrócone w kawałkach gazet.

To było wszystko, co się tyczy wspomnień, a Mary nadal hałasowała. Wreszcie znowu przyszła do kuchni po Coca-Colę. Wyjęła z lodówki nowe naczynie z lodem i wrzuciła je z łoskotem do zlewu, mimo że było jeszcze dość lodu na stole.

Potem odwróciła się w moją stronę, żeby mi pokazać, jak bardzo jest zła i że jest zła na mnie. Mówiła sama do siebie, tak więc to, co powiedziała, stanowiło tylko fragment dłuższego monologu.

– Byliście wtedy jeszcze dziećmi! – powiedziała.

– Słucham? – spytałem.

– Na wojnie byliście jeszcze dziećmi – jak te na górze!

Kiwnąłem głową, że to prawda. Rzeczywiście, byliśmy wtedy naiwnymi dziewczycami, wyrastającymi

zaledwie z dziecinnych lat.

– Ale tego pan nie napisze, prawda? To nie było pytanie. To było oskarżenie.

– Ja... nie wiem jeszcze – wyjąkałem.

– Ale ja wiem – powiedziała Mary. – Będziecie udawać, że byliście mężczyznami, a nie dziećmi, i w filmie będą was grali Frank Sinatra i John Wayne albo któryś z tych wspaniałych, zakochanych w wojnie oblesnych staruchów. I wojna będzie wyglądać tak cudownie, że zapagniemy nowych wojen. A walczyć będą dzieci, jak te na górze.

I wtedy zrozumiałem. Ona była zła na wojnę. Nie chciała, żeby jej dzieci czy dzieci innych ludzi ginęły na wojnie. I uważała, że książki i filmy mają swój udział w zachęcaniu do wojny.

* * *

Podniosłem więc prawą rękę i złożyłem jej obietnicę: – Mary – powiedziałem. – Nie sędzę, aby kiedykolwiek udało mi się skończyć tę książkę. Napisałem już chyba z pięć tysięcy stron i wszystko wyrzuciłem. Jeżeli jednak kiedykolwiek ją skończę, to dam ci słowo honoru, że nie będzie w niej roli dla Franka Sinatry ani Johna Wayne'a. Wiesz, co ci powiem? Dam jej tytuł Krucjata dziecięca.

Od tej chwili byliśmy przyjaciółmi.

* * *

O'Hare i ja zrezygnowaliśmy ze wspomnień, przeszliśmy do bawialni i rozmawialiśmy o innych sprawach. Chcieliśmy dowiedzieć się czegoś o prawdziwej krucjacie dziecięcej, więc O'Hare znalazł odpowiedni ustęp w książce Charlesa Mackaya pod tytułem *Niezwykłość pewnych powszechnych iluzji i szaleństwo tłumów*, którą miał w swojej bibliotece. Książka była po raz pierwszy wydana w Londynie w roku 1841.

Mackay był nie najlepszego zdania o wszystkich wyprawach krzyżowych. Krucjatę dziecięcą uważał za nieco tylko podlejszą od dziesięciu krucjat dla dorosłych. O'Hare odczytał na głos następujący piękny fragment:

“Historia zapewnia nas solennie, iż krzyżowcy byli ludźmi ciemnymi i dzikimi, iż kierowała nimi bezmierna bigoteria, a drogę ich znaczyły krew i łzy. Autorzy romansów zaś rozwodzą się nad ich pobożnością i męstwem, przedstawiając w najjaskrawszych, rozpalających wyobraźnię barwach ich enoty i wielkoduszność, honor, jakim okryli się na wieki, i wielkie usługi, jakie oddali chrześcijaństwu.”

A potem O'Hare przeczytał taki kawałek:

“I jakież wspaniałe rezultaty przyniosły wszystkie te wojny? Europa poświęciła miliony ze swoich skarbców i krew dwóch milionów swoich mieszkańców po to, by garstka kłótliwych rycerzy uzyskała sto lat panowania nad Palestyną!”

Od Mackaya dowiedzieliśmy się, że krucjata dziecięca rozpoczęła się w roku 1213, kiedy to dwaj mnisi wpadli na pomysł zebrania armii dzieci we Francji i w Niemczech i sprzedania ich do Afryki Północnej jako niewolników. Zgłosiło się na ochotnika trzydzieści tysięcy dzieci przekonanych, że pójdą do Palestyny. “Bez wątpienia były to dzieci opuszczone i bezdomne, jakie zazwyczaj gnieźdzą się w dużych miastach, wzrastając

wśród występku, zuchwałe i na wszystko gotowe."

Papież Innocenty III też myślał, że dzieci wyruszają do Palestyny, i był tym wstrząśnięty. "Te dzieci czuwają, kiedy my śpimy!" – powiedział.

Większość dzieci wyruszyła okrętami z Marsylii i prawie połowa z nich zginęła na morzu. Druga połowa dopłynęła do Afryki i została sprzedana.

Na skutek nieporozumienia część dzieci stawiała się w Genui, gdzie nie było przygotowanych okrętów. Dobrzy ludzie udzielili im schronienia, nakarmili i porozmawiali z nimi grzecznie – potem dali im na drogę trochę pieniędzy oraz dużo dobrych rad i odesłali je do domu.

– Brawo dobrzy ludzie z Genui! – powiedziała Mary O'Hare.

* * *

Spałem tej nocy w jednym z pokojów dziecinnych. O'Hare zostawił dla mnie na nocnym stoliku książkę Mary Endell z 1908 roku pod tytułem: *Drezno. Historia, miasto i galeria*. Zaczyna się tak:

"Autorka ma nadzieję, że ta niewielka książeczka okaże się użyteczną. Próbuje ona dać angielskiemu czytelnikowi ogólny pogląd na to, w jaki sposób Drezno uzyskało swój obecny kształt architektoniczny; jak, dzięki geniuszowi kilku ludzi, stało się poważnym ośrodkiem kultury muzycznej; zwraca także uwagę na kilka trwałych pomników sztuki, które sprawiają, że Galeria Drezdeńska niezmiennie przyciąga ludzi szukających głębokich doznań artystycznych."

Dalej dowiedziałem się trochę na temat historii:

"W 1760 roku Drezno było oblegane przez Prusaków. Piętnastego lipca rozpoczęto bombardowanie. W galerii obrazów wybuchł pożar. Wiele płócien ewakuowano do Königstein, niektóre jednak zostały poważnie uszkodzone odłamkami pocisków – na przykład *Chrzest Chrystusa* Francii. Następnie stanęła w ogniu i zawaliła się okazała wieża kościoła Św. Krzyża, skąd w dzień i w nocy śledzono ruchy wojsk przeciwnika. W przeciwieństwie do kościoła Św. Krzyża, z którym los obszedł się tak okrutnie, kościół Najświętszej Marii Panny wyszedł nietknięty, gdyż pruskie pociski odskakiwały od jego kamiennej kopuły niby krople deszczu. Ostatecznie Fryderyk musiał odstąpić od oblężenia, kiedy dowiedział się o upadku Kłodzka, które było newralgicznym punktem jego nowo zdobytych terenów. «Trzeba ruszać na Śląsk, aby nie stracić wszystkiego.»"

Drezno było straszliwie zniszczone. Kiedy Goethe jako młody student odwiedził miasto, zastał tam jeszcze smutne ruiny:

"Von der Kuppel der Frauenkirche sah ich diese leidi-gen Trummer zwischen die schbne städtische Ordnung hineingesat; da riihmte mir der Kiister die Kunst des Bau-meisters, welcher Kirche und Kuppel auf einen so uner-wiinschten Fali schon eingerichtet und bombenfest erbauthatte. Der gute Sakristan deutete mir alsdann auf Ruinen nach allen Seiten und sagte bedenklich lakonisch: Das hat der Feind gethan!"

* * *

Następnego ranka dwie małe dziewczynki i ja przekroczyliśmy rzekę Delaware w miejscu, gdzie kiedyś przeprawił się przez nią George Washington. Zwiedziliśmy Światową Wystawę w Nowym Jorku, zobaczyliśmy, jak wygląda przeszłość według Forda i Walta Disneya oraz jak będzie wyglądała przyszłość według General Motors.

Ja zaś zapytywałem siebie o teraźniejszość: jak jest szeroka i głęboka i ile z niej należy do mnie.

* * *

Przez następnych kilka lat prowadziłem zajęcia w znanym Studium Autorskim przy Uniwersytecie Stanu Iowa. Wpadłem tam w pewne zupełnie cudowne tarapaty, ale wybrnąłem z nich jakoś. Zajęcia miałem po południu. Przed południem pisałem i nie wolno mi było przeszkadzać. Pracowałem nad swoją słynną książką o Dreźnie.

Wtedy właśnie pewien dobry człowiek nazwiskiem Seymour Lawrence podpisał ze mną umowę na trzy książki. Powiedziałem:

– W porządku. Pierwszą z nich będzie moja słynna książka o Dreźnie.

Przyjaciele nazywają Seymoura Lawrence'a po prostu Samem. I ja mówię teraz do niego:

– Sam, to jest ta książka.

* * *

Jest taka cienka, rozwichrzona i bełkotliwa, Sam, bo trudno jest powiedzieć coś mądrego na temat masakry. Wszyscy powinni być zabici, nigdy już niczego nie mówić ani nie pragnąć. Po masakrze powinna zapanować wielka cisza i rzeczywiście jest cisza, którą naruszają tylko ptaki. A co mówią ptaki? To, co można powiedzieć na temat masakry: "It-it?"

* * *

Zapowiedziałem swoim synom, że pod żadnym pozorem nie wolno im brać udziału w rzeziach ani cieszyć się na wieść o masakrze wrogów.

* * *

Powiedziałem im również, żeby nie pracowali w firmach produkujących narzędzia mordy i żeby wyrażali pogardę dla ludzi, którzy myślą, że takie narzędzia są nam potrzebne.

Jak już wspomniałem, odwiedziłem niedawno Drezno z moim przyjacielem O'Hare'em. Bawiliśmy się znakomicie w Hamburgu, w Berlinie Zachodnim i w Berlinie Wschodnim, w Wiedniu i w Salzburgu, w Helsinkach, a także w Leningradzie. Było to dla mnie bardzo cenne, gdyż obejrzałem wiele autentycznych scenerii do moich przyszłych wymyślonych opowiadań. Jedno z nich będzie zatytułowane *Rosyjski barok*, inne – *Pocałunki wzbronione* i *Bar walutowy*, jeszcze inne – *Jeśli wypadek pozwoli*, i tak dalej.

I tak dalej.

* * *

Samolot Lufthansy miał lecieć z Filadelfii przez Boston do Frankfurtu. O'Hare wsiada w Filadelfii, a ja w Bostonie. Jednak lotnisko w Bostonie nie przyjmowało i samolot poleciał z Filadelfii prosto do Frankfurtu, a ja stałem się niepotrzebnym człowiekiem w bostońskiej mgle i Lufthansa wsadziła mnie do samochodu razem z innymi niepotrzebnymi ludźmi i wysłała nas do motelu na niepotrzebną noc.

Czas stanął w miejscu. Ktoś igrał sobie zegarami, i to nie tylko ściennymi, lecz także ręcznymi. Małeńka wskazówka na moim zegarku drgała, a potem mijał rok, zanim drgnęła znowu.

Byłem całkowicie bezradny wobec tego zjawiska. Jako człowiek musiałem wierzyć zegarom i kalendarzom.

* * *

Wiozłem ze sobą dwie książki, które miałem zamiar czytać w samolocie. Jedną z nich były *Słowa na wiatr* Teodora Roethke i oto co w niej znalazłem:

– *Budzę się, aby śnić, i wracam w sen powoli.*

Tam, gdzie strach się nie czai, szukam przeznaczenia.

Idąc, uczę się drogi, którą zmierzać muszę.

Drugą książką był *Céline i jego wizja* Eriki Ostrowskiej.

Céline był dzielnym francuskim żołnierzem w pierwszej wojnie światowej – dopóki nie został raniony w głowę. Od tego czasu nie sypiał i słyszał głosy. Został lekarzem i w dzień leczył biedaków, zaś nocami pisał swoje groteskowe powieści. Nie ma sztuki bez tańca ze śmiercią, pisał Céline.

“Prawdą jest śmierć – pisał. – Walczyłem z nią pięknie, jak długo mogłem... tańczyłem z nią, stroiłem ją, nadskakiwałem jej... obwieszałem ją serpentynami, łaskotałem.”

Czas był jego obsesją. Panna Ostrowsky przypominała mi zadziwiającą scenę ze *Śmierci na raty*, gdzie Céline, chcąc zatrzymać kłębiący się na ulicy tłum, krzyczy na papierze: “Zatrzymajcie ich... nie pozwólcie im zrobić ani kroku dalej... Niech zastygną w bezruchu raz na zawsze!... Tak, żeby już nigdy nie zniknęli!”

* * *

Przejrzałem u siebie w motelu Biblię, w poszukiwaniu opowieści o wielkich kataklizmach. “Słońce weszło na ziemię: a Lot wszedł do Segora. Tedy Pan dździł na Sodomę i Gomore siarką i ogniem od Pana z nieba. I wyrzucił miasta te, i wszystką wokół krainę: wszystkie obywatele miast i wszystko, co się zieleni na ziemi.”

Zdarza się.

Jak wiadomo, mieszkańcy obu tych miast byli grzesznikami i świat tylko na tym zyskał.

I żonie Lota oczywiście zapowiedziano, że ma się nie oglądać tam, gdzie zostali wszyscy ci ludzie i ich domy. Ona jednak obejrzała się i za to ją kocham, bo to było tak bardzo ludzkie.

Została za karę zmieniona w słup soli. Zdarza się.

* * *

Ludzie nie powinni oglądać się za siebie. Ja w każdym razie nie zrobię tego już nigdy.

Skończyłem swoją książkę o wojnie. Następna książka, jaką napiszę, będzie śmieszna.

Ta jest nieudana i tak być musiało, gdyż napisał ją słup soli. A zaczyna się tak:

Posłuchajcie:

Billy Pilgrim wypadł z czasu.

A kończy się tak:

It – it?

2

Posłuchajcie:

Billy Pilgrim wypadł z czasu.

Zasnął jako podstarzały wdowiec, a obudził się w dniu swego ślubu. Wszedł w drzwi w roku 1955, a wyszedł innymi drzwiami w roku 1941. Wrócił przez te same drzwi, aby znaleźć się w roku 1963. Powiada, że wielokrotnie widział swoje narodziny i śmierć i że przenosi się w zupełnie przypadkowej kolejności do różnych momentów dzielących te dwa wydarzenia.

Tak mówi.

Billy nie panuje nad czasem, nie ma żadnego wpływu na to, dokąd się przenosi, i te odwiedziny nie zawsze są zabawne. Mówi, że dręczy go nieustannie trema, gdyż nigdy nie wie, jaki fragment swojego życia będzie musiał za chwilę odegrać

* * *

Billy urodził się w roku 1922 w Ilium, w stanie Nowy Jork, jako jedyne dziecko tamtejszego fryzjera. Był śmiesznym dzieckiem, które wyrosło na śmiesznego młodzieńca – wysokiego i wątłego, przypominającego posturą butelkę Coca-Coli. Ukończył szkołę średnią w Ilium, plasując się w górnych trzydziestu procentach, i uczęszczał do wieczorowej szkoły optycznej przez jeden semestr, gdyż potem powołano go do wojska na drugą wojnę światową. Jego ojciec zginął podczas wojny w wypadku na polowaniu.

Zdarza się.

Billy odbywał służbę w piechocie na froncie europejskim i został przez Niemców wzięty do niewoli. Kiedy w roku 1945 zwolniono go ze wszystkimi honorami do cywila, zapisał się z powrotem do Szkoły Optyki w Ilium. Na ostatnim roku zaręczył się z córką założyciela i właściciela szkoły, a potem przeżył krótkotrwały rozstrój nerwowy.

* * *

Trafił do szpitala dla weteranów wojennych nad jeziorem Placid, gdzie poddano go elektrowstrząsom i wypuszczono. Ożenił się z narzeczoną, zakończył naukę i teść pomógł mu rozpocząć praktykę w Ilium. Ilium jest szczególnie dobrym miastem dla optyków, ponieważ znajdują się tu zakłady General Forge and Foundry. Każdy pracownik zakładów obowiązany jest mieć okulary ochronne i nosić je na terenie hal produkcyjnych. GF & F zatrudnia w Ilium sześćdziesiąt osiem tysięcy pracowników. Wymaga to ogromnych ilości szkła i oprawek.

Najwięcej zarabia się na oprawkach.

* * *

Billy dorobił się. Miał dwoje dzieci, Barbarę i Roberta. W odpowiednim czasie jego córka Barbara wyszła za mąż za innego optyka, któremu Billy pomógł rozpocząć praktykę. Syn Billy'ego Robert miał poważne

kłopoty w szkole, ale potem wstąpił do słynnych Zielonych Beretów, gdzie zrobiono z niego człowieka i posłano do Wietnamu.

Na początku roku 1968 grupa optyków, wśród których był także Billy, zamówiła specjalny samolot, aby udać się z Ilium na międzynarodową konferencję optyków do Montrealu. Samolot ten rozbił się o szczyt góry Sugarbush w stanie Vermont. Wszyscy prócz Billy'ego zginęli. Zdarza się.

Podczas gdy Billy wracał do zdrowia w szpitalu w Vermont, jego żona zmarła na skutek przypadkowego zatrucia tlenkiem węgla. Zdarza się i tak.

* * *

Kiedy Billy wrócił wreszcie do domu po tej katastrofie samolotowej, przez jakiś czas zachowywał się spokojnie. Miał straszliwą szramę na czubku głowy. Nie podjął pracy. Dom prowadziła gosposia. Córka odwiedzała go prawie codziennie.

I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Billy pojechał do Nowego Jorku i wystąpił w całonocnej audycji radiowej poświęconej rozmowom z różnymi ludźmi. Billy opowiedział o tym, że wypadł z czasu. Powiedział też, że w roku 1967 został porwany przez latający talerz. Talerz ten pochodził z planety Tralfamadorii, jak powiedział. Zabrano go na Tralfamadorię, gdzie pokazywano go nagiego w Zoo. Skojarzono go tam z inną Ziemianką, była gwiazdą filmową nazwiskiem Montana Wildhack.

* * *

Jakiś nocny marek z Ilium usłyszał Billy'ego przez radio i zatelefonował do jego córki Barbary. Barbara była ogromnie poruszona. Pojechała z mężem do Nowego Jorku i przywieźli Billy'ego do domu. Billy spokojnie, ale stanowczo twierdził, że wszystko, co mówił przez radio, jest prawdą. Powiedział, że został porwany przez Tralfamadorczyków w dniu ślubu córki. Nie zauważono jego zniknięcia, ponieważ Tralfamadorczycy wykorzystali fałdę czasu, tak że mógł spędzić lata na Tralfamadorii i wrócić na Ziemię po upływie zaledwie ułamka sekundy.

Miesiąc minął w spokoju, po czym Billy napisał list do miejscowej gazety "News Leader", który redakcja opublikowała. W liście opisał mieszkańców Tralfamadorii.

Było tam powiedziane, że mają dwie stopy wzrostu, są zieloni i kształtem przypominają gumowe przyssawki używane przez hydraulików do przetykania zlewu. Część rozszerzona dotyka zawsze podłogi, zaś niezwykle elastyczne trzonki są najczęściej skierowane w górę. Na końcu trzonka wyrasta mała rączka z zielonym okiem na wewnętrznej stronie dłoni. Tralfamadorczycy mają przyjazne usposobienie, widzą w czterech wymiarach i litują się nad Ziemianami, że ci widzą tylko w trzech. Mogliby nauczyć Ziemian wielu wspaniałych rzeczy, zwłaszcza na temat czasu. Billy obiecał opowiedzieć o niektórych z tych wspaniałych rzeczy w następnym liście.

* * *

Kiedy gazeta opublikowała pierwszy list, Billy pracował już nad drugim. Drugi list zaczynał się tak:

“Najważniejszą rzeczą, jakiej nauczyłem się na Tralfamadorii, było to, że śmierć jest tylko złudzeniem. Człowiek żyje nadal w przeszłości, tak więc głupotą jest płakać na pogrzebie. Wszystkie chwile, przeszłe, obecne i przyszłe, zawsze istniały i zawsze będą istnieć. Tralfamadorczycy mogą oglądać te różne chwile tak, jak my możemy oglądać na przykład Góry Skaliste. Widzą, że poszczególne momenty są niezienne, i mogą wybierać te spośród nich, które ich w danej chwili interesują. To tylko my na Ziemi mamy złudzenie, że chwile następują jedna za drugą, jak korale na sznurku, i że chwila raz przeżyta jest stracona na zawsze.

Tralfamadorczyk widząc trupa myśli sobie po prostu, że zmarły jest aktualnie w złej formie, ale jednocześnie wie, że ta sama osoba czuje się znakomicie w wielu innych momentach. Kiedy teraz słyszę o czyjejś śmierci, wzruszam tylko ramionami i mówię to, co mówią w takich razach Tralfamadorczycy; to znaczy: «Zdarza się.»”

* * *

I tak dalej.

Billy pisał ten list w graciarni, w piwnicy swego pustego domu. Jego gospodyni miała tego dnia wychodne. W graciarni stała stara maszyna do pisania. Był to istny potwór. Ważyła tyle co akumulator. Billy przeniósł ją z miejsca na miejsce z największym trudem i dlatego właśnie pisał w tej graciarni, a nie gdzie indziej.

Piec na ropę nie działał, ponieważ mysz przegryzła izolację przewodu prowadzącego do termostatu. Temperatura w domu spadła do dziesięciu stopni. Billy jednakże tego nie zauważał. Nie był też ciepło ubrany. Siedział boso i wciąż jeszcze w piżamie i szlafroku, mimo późnego popołudnia. Bose stopy miał sinozółte.

Ale serce Billy'ego płonęło jasnym ogniem. Rozgrzewała je myśl, że ujawniając prawdę na temat czasu przyniesie ulgę i pocieszenie wielu ludziom. Dzwonek przy drzwiach wejściowych dzwonił i dzwonił. To jego córka Barbara dobijała się do domu. Po chwili otworzyła sobie własnym kluczem i chodziła po mieszkaniu nad jego głową wołając:

– Tato! tato, gdzie jesteś?

I tak dalej.

Billy nie odpowiadał, więc była już bliska hysterii, bo spodziewała się znaleźć jego trupa. Wreszcie zajrzała do ostatniego pomieszczenia, gdzie można było go szukać – to znaczy do graciarni.

* * *

– Dlaczego nie odpowiadałeś, kiedy cię wołałam? – spytała Barbara stając w drzwiach. Miała w ręku popołudniową gazetę, w której Billy opisywał swoich przyjaciół Tralfamadorczyków.

– Nie słyszałem – powiedział Billy.

Układ sił w danym momencie wyglądał następująco: Barbara miała zaledwie dwadzieścia jeden lat, ale uważała ojca za niedołęznego starca – mimo że miał dopiero czterdzieści sześć lat – z powodu uszkodzenia

mózgu w katastrofie lotniczej. Uważała się również za głowę rodziny, ponieważ na nią spadły sprawy związane z pogrzebem matki, znalezieniem ojcu gospodyni i tak dalej. Barbara i jej mąż musieli też doglądać rozlicznych interesów Billy'ego, gdyż Billy robił wrażenie, że ma teraz gdzieś wszelkie interesy. Cała ta odpowiedzialność, która spadła na nią w tak młodym wieku, sprawiła, że stała się dość pyską jędzą. Billy starał się w tym wszystkim zachować godność, przekonać Barbarę i swoje otoczenie, że nie jest niedołężny, lecz wprost przeciwnie, poświęca się dziełu znacznie wznioślejszemu niż jakieś tam interesy.

Wyobrażał sobie ni mniej, ni więcej, tylko że przepisuje lecznicze okulary duszom Ziemi. Tyle tych dusz było straconych i chorych, ponieważ nie widziały tego, co widzą jego mali, zieloni przyjaciele z Tralfamadorii.

* * *

– Nie kłam, ojcie – powiedziała Barbara. – Wiem doskonale, że słyszałeś, jak cię wołałam.

Byłaby zupełnie niebrzydką dziewczyną, gdyby nie to, że nogi miała jak wiktoriański fortepian. Teraz robiła piekło z powodu tego listu w gazecie. Mówiła, że Billy wystawia na pośmiewisko siebie i wszystkich swoich bliskich.

– Tato, tato. I co mamy z tobą robić? Czy chcesz nas zmusić, żebyśmy cię oddali tam, gdzie jest twoja matka?

Matka Billy'ego jeszcze żyła. Przykuta do łóżka, przebywała w domu starców w Pine Knoll koło Ilium.

– Co cię tak złości w moim liście? – zainteresował się Billy.

– Przecież to czyste wariactwo. Nie ma tam ani słowa prawdy!

– To wszystko jest prawdą – odpowiedział Billy spokojnie. Nigdy nie unosił się gniewem. Pod tym względem był wspaniały.

– Nie ma żadnej planety Tralfamadorii.

– Rzeczywiście nie można jej dostrzec z Ziemi, jeśli o to ci chodzi. Podobnie jak z Tralfamadorii nie można dostrzec Ziemi. Obie są bardzo małe i dzieli je ogromna odległość.

– Skąd wzięłeś tę głupią nazwę Tralfamadoria?

– Tak nazywają swoją planetę istoty, które ją zamieszkują.

– O Boże – jęknęła Barbara i odwróciła się tyłem, demonstracyjnie załamując ręce. – Czy mogę zadać ci jedno proste pytanie?

– Oczywiście.

– Dlaczego nigdy nie wspominałeś o tym wszystkim przed katastrofą?

– Uważałem, że nie nadszedł jeszcze czas.

* * *

I tak dalej. Billy powiada, że po raz pierwszy wypadł z czasu w roku 1944, na długo przed swoim pobytem na Tralfamadorii. Tralfamadorezycy nie mieli z tym nic wspólnego. Oni pomogli mu tylko zrozumieć, co się naprawdę dzieje.

Billy po raz pierwszy wypadł z czasu, kiedy toczyła się jeszcze druga wojna światowa. Był na wojnie

pomocnikiem kapelana. W amerykańskim wojsku pomocnik kapelana jest zazwyczaj ogólnym pośmiewiskiem. Billy nie stanowił wyjątku. Nie mógł ani zaszkodzić wrogom, ani pomóc przyjaciołom. Prawdę mówiąc to nie miał przyjaciół. Był ordynansem pastora, nie mógł liczyć na awans ani na odznaczenia, nie miał broni i pokornie wierzył w miłosiernego Jezusa, co większość żołnierzy uważała za gówniarstwo.

Na manewrach w Południowej Karolinie Billy grywał zapamiętane z dzieciństwa hymny na małych, czarnych, wodoszczelnych organach. Miały trzydzieści dziewięć klawiszów i dwa rejestry: *vox humana* i *vox celeste*. Billy opiekował się również składanym ołtarzem i walizeczką. Była to walizeczką w kolorze ochronnym, z wysuwanymi nóżkami, wybita od wewnątrz szkarłatnym aksamitem. W tym ognistym pluszu spoczywał posrebrzany aluminiowy krzyż i Biblia.

Ołtarz i organy zostały wyprodukowane przez fabrykę odkurzaczy w Camden, stan New Jersey, co było na nich uwidocznione.

* * *

Pewnego razu w czasie manewrów Billy grał psalm *Pan twierdzą moją* Jana Sebastiana Bacha. Był niedzielny poranek. Billy i kapelan zebrali około pięćdziesięciu żołnierzy na zboczach wzgórz w Karolinie. Nagle pojawił się rozjemca. Wszędzie było pełno rozjemców – ludzi, którzy mówili, kto zwycięża, a kto przegrywa teoretyczną bitwę, kto żyje, a kto jest zabity.

Rozjemca przyniósł śmieszny wieści. Zgromadzenie wiernych zostało teoretycznie zauważone z powietrza przez teoretycznego przeciwnika i wszyscy zostali teoretycznie zabici. Teoretyczne nieboszczyki pośmiały się i zjadły suty obiad.

Wspominając to zdarzenie w wiele lat później, Billy zdumiał się, jak bardzo tralfamadoriańska była ta przygoda ze śmiercią – ludzie byli zabici i jednocześnie w najlepsze spożywali posiłek.

Pod koniec manewrów Billy dostał urlop okolicznościowy, ponieważ jego ojciec, fryzjer z Ilium, stan Nowy Jork, został zastrzelony przez swego przyjaciela w czasie polowania na jelenie. Zdarza się.

* * *

Kiedy Billy wrócił z urlopu, czekał już na niego rozkaz wyjazdu. Był potrzebny w kompanii dowodzenia pułku piechoty walczącego w Luksemburgu. Pomocnik pułkowego kapelana zginął na polu walki. Zdarza się.

Billy dotarł do swego oddziału, gdy ten był właśnie rozbijany przez Niemców w słynnej bitwie w Ardenach. Billy nie zobaczył nawet kapelana, któremu miał pomagać, nie otrzymał stalowego hełmu ani butów polowych. Działo się to w grudniu 1944 roku, podczas ostatniego potężnego uderzenia niemieckiego w tej wojnie.

Billy uszedł z życiem, ale znalazł się oglupiały i zbłąkany daleko na tyłach Niemców. Trzej inni żołnierze, również zbłąkani, ale nieco przytomniejsi, pozwolili mu wlec się za sobą. Dwaj z nich byli zwiadowcami, a trzeci artylerzystą. Nie mieli map ani żywności. Unikając spotkania z Niemcami, zapuszczali się coraz głębiej w sielską ciszę. Jedli śnieg.

Szli gęsiego. Na czele zwiadowcy, sprytni, zgrabni, cisi. Byli uzbrojeni w karabiny. Za nimi szedł

artylerzysta, niezdamy i tępawy, odstrasżając Niemców automatycznym Coltem trzymany w jednej ręce i nożem w drugiej.

Na końcu szedł Billy Pilgrim z pustymi rękami, z ponurą determinacją przygotowany na śmierć. Wyglądał idiotycznie – sześć stóp i trzy cale wzrostu, pierś i ramiona jak pudełko gabinetowych zapalek. Nie miał hełmu, broni, płaszcza ani butów. Na nogach miał tanie cywilne trzewiki, które kupił na pogrzeb ojca. Zgubił jeden obcas i teraz szedł podrygując w górę i w dół. Od tego mimowolnego tańca bolał go staw biodrowy.

Billy miał na sobie cienką kurtkę połową, koszulę i spodnie z szorstkiego sukna oraz długie, mokre od potu kalesony. Z całej czwórki on jeden nosił brodę. Broda była rzadka, szczeciniasta i częściowo siwa, mimo że Billy miał dopiero dwadzieścia jeden lat. Zaczynał już także łysieć. Na skutek wiatru, mrozu i gwałtownego wysiłku jego twarz nabrała barwy szkarłatu.

Nie wyglądał wcale na żołnierza. Przypominał raczej złachanego flaminga.

* * *

Na trzeci dzień wędrówki ostrzelano ich z daleka, kiedy przechodzili przez wąską, wykładaną ceglami drogę. Padły cztery strzały. Pierwszy przeznaczony był dla zwiadowców. Następny dla artylerzysty, który nazywał się Roland Weary.

Trzecia kula była przeznaczoną dla złachanego flaminga, który zatrzymał się na samym środku drogi, kiedy śmiercionośna pszczoła bzyknęła mu koło ucha. Billy stał grzecznie, dając strzelcowi szansę poprawki. Zgodnie z jego mętnymi wyobrażeniami o zasadach prowadzenia wojen, strzelec powinien mieć szansę poprawki. Następną kula – koziołkująca w powietrzu, jak można było sądzić po dźwięku – przeleciała o kilka cali od kolan Billy'ego.

Roland Weary wraz ze zwiadowcami leżeli bezpiecznie w rowie i Weary ryczał na Billy'ego:

– Złaż z drogi, ty kretyński matkojebco!

To ostatnie słowo było w roku 1944 czymś nowym dla białego. Zabrzmiało tak świeżo i zaskakująco w uszach Billy'ego, który nie jebał jeszcze nikogo, że spełniło swoje zadanie. Billy ocknął się i złaż z drogi.

* * *

– Znowu uratowałem ci życie, kretyński skurwielu – powiedział Weary do Billy'ego w rowie. Ratował mu tak życie od kilku dni lżąc go, kopiąc, bijąc, zmuszając do marszu. Stosowanie brutalnego przymusu było absolutnie konieczne, ponieważ sam Billy nie ruszyłby palcem, żeby się ratować. Billy chciał zrezygnować. Był głodny, przemarznięty, zagubiony, bezradny. Teraz, po trzech dniach wędrówki, przestał odróżniać sen od jawy i nie robiło mu większej różnicy, czy idzie, czy stoi nieruchomo. Pragnął tylko, aby zostawiono go w spokoju. “Idźcie, chłopcy, dalej beze mnie” – powtarzał w kółko.

* * *

Weary był takim samym nowicjuszem na wojnie jak Billy. On również przybył jako uzupełnienie.

Wraz z resztą obsługi działa oddał jeden gniewny strzał z pięćdziesięciosiedmiomilimetrowego działka przeciwpancernego. Działko wydało dźwięk, jakby sam Pan Bóg Wszechmogący rozpiął zamek błyskawiczny u spodni. Długi na trzydzieści stóp język ognia wypalił śnieg i trawę, pozostawiając czarną strzałę, która wskazywała Niemcom stanowisko działka. Strzał był niecelny.

Strzelali do Tygrysa. Czołg pokręcił swoim osiemdziesięcioośmiomilimetrowym ryjem, jakby węszył, i zobaczył strzałę na śniegu. Wystrzelił i zabił wszystkich żołnierzy z obsługi działka oprócz Weary'ego. Zdarza się i tak.

* * *

Roland Weary miał osiemnaście lat. Dobiał kresu swego nieszczęśliwego dzieciństwa, które upłynęło głównie w Pittsburghu, w stanie Pensylwania. Nie lubiano go tam w Pittsburghu. Nie lubiano, ponieważ był głupi, gruby, złośliwy i zalatywało od niego bekonem, choćby nie wiadomo jak starannie się mył. Nikt w Pittsburghu nie chciał się z nim zadawać i wszyscy go odpędzali.

Weary nie mógł tego przeboleć. Ilekroć go odpędzono, znajdował sobie kogoś jeszcze bardziej pogardzanego i kręcił się przez jakiś czas koło tego kogoś, udając przyjaźń. A potem pod byle pretekstem katował go do nieprzytomności.

Był to niezmienny wzorzec. Weary nawiązywał z ludźmi szaleńcze, seksualne niemal, mordercze stosunki, a potem bił ich i katował. Opowiadał im o kolekcji broni palnej i siecznej, kajdan i narzędzi tortur swego ojca. Ojciec Weary'ego, hydraulik, rzeczywiście zbierał takie rzeczy i ubezpieczył swoją kolekcję na cztery tysiące dolarów. Nie był w tym odosobniony. Należał do liczego klubu ludzi, którzy zbierali takie rzeczy.

Ojciec Weary'ego dał kiedyś matce Weary'ego jako przycisk do papierów doskonale działające hiszpańskie urządzenie do łamania palców. Kiedy indziej podarował jej stojącą lampę, której podstawę stanowiła miniatura słynnej Żelaznej Dziewicy z Norymbergi. Autentyczna Żelazna Dziewica była średniowiecznym narzędziem tortur, czymś w rodzaju kotła o kształtach kobiety, najeżonego od środka kolcami. Z przodu figury znajdowały się drzwi na zawiasach. Idea urządzenia polegała na tym, aby wsadzić przestępcę do środka i następnie powoli zamykać drzwi. Były nawet dwa specjalne kolce na wysokości oczu skazańca. A w dnie znajdował się otwór, którym mogła odpływać krew.

Zdarza się.

* * *

Weary opowiedział Billy'emu o Żelaznej Dziewicy, o otworze w dnie i do czego to służyło. Opowiedział mu o pociskach dum-dum. Opowiedział mu, że jego ojciec ma pistolet marki Derringer, który jest tak mały, iż mieści się w kieszonce kamizelki, a mimo to robi w człowieku dziurę, przez którą mógłby swobodnie przelecieć nietoperz.

Weary stwierdził kiedyś z pogardą w głosie, że Billy pewnie nawet nie wie, co to jest strużynka do

krwi. Billy odpowiedział, że otwór w dnie Żelaznej Dziewicy, ale to nie było to. Strużynka, jak się dowiedział Billy, to wyżłobienie biegnące wzdłuż brzeszczotu szabli.

Weary opowiedział Billy'emu o różnych wymyślnych torturach, które widział na filmach, o których czytał w książkach lub słyszał przez radio – i o innych wymyślnych torturach, które sam zaprojektował. Jednym z jego wynalazków było wiercenie facetowi w ucho wiertarką dentystyczną. Spytał też Billy'ego, jaki jest jego zdaniem najgorszy rodzaj egzekucji. Billy nie miał żadnego poglądu na tę sprawę. Okazało się, że poprawna odpowiedź brzmi następująco:

– Przywiązuje się faceta na mrowisku gdzieś w pustyni, kapujesz? Kładzie się go twarzą do góry i smaruje mu się jaja miodem, a potem odcina mu się powieki, żeby musiał patrzeć na słońce, dopóki nie umrze.

Zdarza się.

* * *

Leżąc teraz w rowie z Billym i zwiadowcami, w chwilę po tym jak do nich strzelano, Weary podsunął Billy'emu pod nos swój nóż. Nóż nie był własnością państwową. Weary dostał go w prezencie od ojca. Jego ostrze miało dziesięć cali długości i było trójgraniaste. Rękojeść, będąca jednocześnie kastetem, składała się z pierścieni, do których Weary wsunął swoje krótkie, grube paluchy. Pierścienie też nie były zwykłe – sterczały z nich metalowe kolce.

Weary przyłożył kolce do policzka Billy'ego i ukłął go czule, z krwiożerczą powściągliwością.

– Chciałbyś dostać czymś takim – hm? Hmmmm? – dopytywał się.

– Nie chciałbym – odpowiedział Billy.

– Wiesz, dlaczego ostrze jest trójgraniaste?

– Nie.

– Żeby rana się nie zamykała.

– Aha.

– Robi w facycie trójkątną dziurę. Jak dziabniesz faceta zwykłym nożem, to robisz szparę, tak? Szpara zamyka się natychmiast, tak?

– Tak.

– Gówno. Co ty wiesz? Czego was uczą na tych studiach?

– Studiowałem bardzo krótko – powiedział Billy, co było prawdą. Miał za sobą zaledwie sześć miesięcy wyższej uczelni, a właściwie nie była to nawet uczelnia w pełnym tego słowa znaczeniu. Była to tylko Wieczorowa Szkoła Optyki w Ilium.

– Studenciak – rzucił Weary zjadliwie.

Billy wzruszył ramionami.

– Z książek niewiele się dowiesz o życiu – powiedział Weary. – Sam się przekonasz.

Billy nic na to nie odpowiedział tam w rowie, gdyż nie chciał przeciągać tej rozmowy dłużej, niż to było konieczne. Czuł jednak niejasną pokusę wyznania, że on też ma niejaki pojęcie o makabrze. Ostatecznie Billy kontemplował torturę i odrażające rany na początku i przy końcu każdego dnia przez cały prawie okres swojego dzieciństwa. Na ścianie jego dziecięcej sypialni w Ilium wisiał wyjątkowo okropny krucyfiks. Chirurg wojskowy musiałby pochwalić kliniczny realizm, z jakim artysta przedstawił wszystkie rany Chrystusa – ranę od

włócznie, rany od cierni, dziury od żelaznych hufnali. Chrystus Billy'ego miał straszną śmierć. Budził litość.

Zdarza się.

* * *

Billy nie był katolikiem, mimo że rósł pod upiornym krucyfiksem na ścianie. Jego ojciec nie wyznawał żadnej religii. Matka grywała w zastępstwie organistów w kościołach kilku różnych wyznań w mieście. Zawsze brała wtedy ze sobą Billy'ego i poduczała go gry na organach. Mówiła, że zostanie członkiem jednego z tych Kościołów, gdy tylko zorientuje się, który z nich ma rację.

Nigdy się jakoś nie zdecydowała, ale za to niezwykle upodobała sobie krucyfiksy i wreszcie kupiła jeden w sklepie z pamiątkami w Santa Fe, gdy ich mała rodzina wyruszyła na Zachód w latach wielkiego kryzysu. Podobnie jak wielu Amerykanów, usiłowała nadać sens życiu za pomocą przedmiotów nabytych w sklepach z pamiątkami.

W ten to sposób krucyfiks znalazł się na ścianie sypialni Billy'ego Pilgrima.

* * *

Dwaj zwiadowcy, którzy leżąc w rowie pieścili orzechowe kolby swoich karabinów, szepnęli, że czas ruszać dalej. Minęło dziesięć minut i nikt nie przychodził sprawdzić, czy zostali trafieni i czy nie trzeba ich dobić. Ktokolwiek do nich strzelał, musiał być daleko i sam jeden.

Wszyscy czterej wypelzli z rowu i tym razem nikt już nie strzelał. Czołgali się w stronę lasu jak wielkie, nieszczęśliwe ssaki, którymi zresztą byli. Potem wstali i poszli szybkim krokiem. Bór był ciemny i stary. Sosny rosły równymi rzędami. Nie było żadnego poszycia. Ziemię zaścieniała czterocalowa warstwa nietkniętego śniegu. Amerykanie nie mieli wyboru i musieli zostawiać ślady równie łatwe do odczytania jak wykresy w podręczniku tańca – krok, przesunięcie, pauza – krok, przesunięcie, pauza.

* * *

– Morda na kłódkę! – ostrzegł Roland Weary Billy'ego. Weary wyglądał jak Kubuś Puchatek wyruszający na wojnę. Był niski i gruby.

Miał na sobie całe wyposażenie, jakie mu kiedykolwiek wydano, i wszystko, co otrzymał z domu: hełm, nakładkę na hełm, wełnianą czapkę, szalik, rękawiczki, bawełniany podkoszulek, wełniany podkoszulek, wełnianą koszulę, sweter, bluzę, kurtkę, płaszcz, bawełniane gacie, wełniane gacie, wełniane spodnie, bawełniane skarpetki, wełniane skarpetki, buty bojowe, maskę gazową, manierkę, przybory do jedzenia, apteczkę, nóż, koc, pół namiotu, pelerynę, kuloodporną Biblię, broszurę pod tytułem *Poznaj swojego wroga*, broszurę pod tytułem *Dlaczego walczymy* oraz słowniczek niemieckich zdań zapisanych fonetycznie, które miały mu umożliwić zadawanie Niemcom pytań w rodzaju: "Gdzie jest wasz sztab?" i "Ile macie haubic?", lub powiedzenie: "Poddajcie się. Wasza sytuacja jest beznadziejna."

Weary taszczył też klocek z drzewa balsa, który miał mu służyć za poduszkę w okopie, oraz pakiet profilaktyczny zawierający dwie mocne prezerwatywy "Wyłącznie dla zapobieżenia zakażeniu!". Miał gwizdek,

który chował do czasu, aż zostanie kapralem, i zdjęcie pornograficzne kobiety usiłującej spółkować z szetlandzkim kucem. Billy Pilgrim musiał wielokrotnie podziwiać to zdjęcie.

* * *

Kobieta z kucem pozowała na tle aksamitnej kotary z frędzlami, zawieszonej między dwiema doryckimi kolumnami. Przed jedną z kolumn stała palma w donicy. Była to odbitka pierwszego zdjęcia pornograficznego w historii ludzkości. Słowo fotografia zostało po raz pierwszy użyte w roku 1839 i w tym samym roku Louis J. M. Daguerre wykazał w Akademii Francuskiej, że obraz odbity na posrebrzanej płytce metalowej, pokrytej cienką warstwą jodku srebra, można wywołać w obecności par rtęci.

Zaledwie dwa lata później, w roku 1841, pomocnik Daguerre'a, Andre Le Fevre, został aresztowany w ogrodach Tuileries, kiedy usiłował sprzedać pewnemu dżentelmenowi zdjęcie tej właśnie kobiety z kucem. Weary kupił fotografię w tym samym miejscu – w Tuileries. Le Fevre twierdził, że zdjęcie jest dziełem sztuki i że miało na celu ożywienie greckiej mitologii. Dowodem tego były według niego kolumny i donica z palmą.

Zapytany, któryż to z mitów chciał przedstawić, Le Fevre odpowiedział, że są tysiące takich mitów i że kobieta reprezentuje świat śmiertelnych, kuc zaś bóstwo.

Skazano go na sześć miesięcy więzienia. Umarł tam na zapalenie płuc. Zdarza się.

* * *

Billy i zwiadowcy byli chudzi, Roland Weary spalał swój tłuszcz. Pod wszystkimi tymi warstwami wełny i drelichu był jak rozgrzany do czerwoności piecyk. Energia tak go rozpierała, że biegał nieustannie pomiędzy Billym a zwiadowcami, przekazując głupawe polecenia, których nikt nie wydawał i których nikt nie chciał słuchać. Zaczynał też sobie wyobrażać, że skoro jest o tyle aktywniejszy od pozostałych, to on tu dowodzi.

Był tak opatulony i tak rozgrzany, że opuściło go zupełnie poczucie niebezpieczeństwa. Widział tylko tyle z otaczającego świata, na ile pozwalała wąska szparka pomiędzy skrajem hełmu i szalikiem z domu, zakrywającym jego dziecinną twarz wraz z nosem. Było mu pod tym wszystkim tak przytulnie, że mógł sobie wyobrażać, jakoby wrócił cało z wojny, siedział bezpiecznie w domu i opowiadał rodzicom i siostrze o swoich prawdziwych wojennych przygodach. Tymczasem prawdziwa wojenna przygoda jeszcze trwała.

Prawdziwa wojenna przygoda w wersji Weary'ego wyglądała następująco: Niemcy poszli do natarcia i Weary wraz z kolegami artylerzystami walczył jak diabli, aż wszyscy prócz niego zginęli. Zdarza się. Potem Weary związał się z dwoma zwiadowcami, z którymi natychmiast się zaprzyjaźnił, i postanowili wspólnie przebić się do swoich. Mieli iść forsownym marszem i raczej zginąć, niż się poddać. Uścisnęli sobie dłonie i nazwali się "trzema muszkietierami".

Potem jednak zjawił się ten cholerny studenciak, słabeusz taki, że w ogóle nie powinni go brać do wojska, i spytał, czy może iść z nimi. Nie miał karabinu ani nawet noża. Nie miał hełmu ani czapki. Nie umiał nawet chodzić normalnie – cały czas podrygiwał w górę i w dół, w górę i w dół, czym doprowadzał wszystkich do szaleństwa i zdradzał ich pozycję. Był godny pożałowania. Trzej muszkietierowie pchali, ciągnęli i nieśli studenciaka całą drogę aż do własnych pozycji, brzmiała wersja Weary'ego, ratując jego nędzne życie.

Tymczasem w rzeczywistości Weary wracał po swoich śladach, żeby zobaczyć, co się stało z Billym. Powiedział zwiadowcom, żeby zaczekali, a on wróci po tego skurwiela studenciaka. Przechodził pod nisko zwisającą gałęzią, która uderzyła go w czubek hełmu z głośnym brzękiem. Weary tego nie słyszał. Gdzieś szczekał duży pies. Tego również Weary nie słyszał. Jego opowieść o wojnie doszła właśnie do najbardziej pasjonującego miejsca. Oficer gratulował trzem muszkietierom, informując ich, że zostaną przedstawieni do Brązowej Gwiazdy.

– Czy mogę coś dla was zrobić, chłopcy? – spytał oficer.

– Tak jest – odpowiedział jeden ze zwiadowców. – Chcielibyśmy trzymać się razem do końca wojny. Czy może pan sprawić, aby nie rozdzielano trzech muszkietierów?

* * *

Billy Pilgrim stanął, oparł się o drzewo i zamknął oczy. Głowę miał odchyloną do tyłu, nozdrza rozdęte. Wyglądał jak poeta w Partenonie.

Wtedy właśnie po raz pierwszy wypadł z czasu. Jego świadomość wahała się pełnym łukiem wzdłuż jego życia, dochodząc aż do śmierci, która była liliową poświatą. Poza tym nie było tam nikogo ani niczego. Nic tylko liliowa poświata i ciche brzęczenie.

A potem Billy wahał się z powrotem w życie, i dalej, aż do okresu przed swoim urodzeniem, kiedy była czerwona poświata i jakieś bulgoczące dźwięki. Potem znowu wrócił do życia i zatrzymał się. Był małym chłopcem i stał pod natryskiem obok swego włochatego ojca w lokalu Ymki w Ilium. Czuł zapach chloru z pobliskiego basenu pływackiego i słyszał trzask trampoliny.

Mały Billy był przerażony, gdyż ojciec zapowiedział, że będzie go uczył pływania metodą "toń albo pływaj". Ojciec miał wrzucić Billy'ego na głęboką wodę, a Billy miał zacząć pływać jak diabli.

Przypominało to egzekucję. Billy był zupełnie odrętwiały, kiedy ojciec zaniósł go z natrysków na basen. Oczy miał zamknięte. Kiedy je otworzył, znajdował się na dnie basenu i dookoła rozlegała się piękna muzyka. Stracił przytomność, ale muzyka nie milkła. Jak przez mgłę czuł, że ktoś go ratuje. Wcale sobie tego nie życzył.

* * *

Stamtąd przeskoczył w rok 1955. Miał czterdzieści jeden lat i odwiedzał swoją niedołęzną matkę w Pine Knoll, w domu starców, gdzie umieścił ją zaledwie przed miesiącem. Zachorowała na zapalenie płuc i uważano, że już z tego nie wyjdzie. Żyła jednak jeszcze przez wiele lat.

Straciła prawie całkiem głos i Billy, żeby ją słyszeć, musiał przyłożyć ucho do jej pergaminowych warg. Miała widocznie coś bardzo ważnego do powiedzenia.

– Dlaczego...? – zaczęła i umilkła. Była zbyt słaba. Miała nadzieję, że nie będzie musiała kończyć zdania, że Billy za nią dokończy.

Billy jednak nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

– Co dlaczego, mamó? – spytał.

Przełknęła z trudem, kapnęło jej kilka łez. Potem zebrała energię całego swego schorowanego ciała, od

koniuszków palców. Zebrała jej tyle, że mogła wyszeptać całe zdanie:

– Dlaczego ja się tak zestarzałam?

* * *

Stara matka Billy'ego straciła przytomność i ładna pielęgniarka wyprowadziła go z pokoju. Właśnie korytarzem przewożono ciało starca przykryte prześcieradłem. Swego czasu był słynnym maratończykiem. Zdarza się. Działo się to, jeszcze zanim Billy doznał uszkodzenia głowy w katastrofie lotniczej i zanim zaczął wypowiadać się na temat latających talerzy i podróży w czasie.

Billy usiadł w poczekalni. Nie był wtedy jeszcze wdowcem. Wyczuł coś twardego pod siedzeniem wyściełanego fotela. Sięgnął tam i znalazł książkę Williama Bradforda Huie pod tytułem *Egzekucja szeregowego Słowika*. Była to dokumentalna relacja o śmierci przed amerykańskim plutonem egzekucyjnym szeregowego Eddie'ego D. Słowika, numer ewidencyjny 36 896 415, jedyne amerykańskie żołnierza rozstrzelanego za tchórzostwo od czasu wojny domowej. Zdarza się.

Billy przeczytał orzeczenie wojskowego sędziego, który rozpatrywał apelację. Kończyło się ono tak:

“Szeregowy Słowik rzucił otwarte wyzwanie władzy państwowej i dyscyplina w przyszłości zależeć będzie od tego, czy zdecydowanie odpowiemy na to wyzwanie. Jeśli dezercja ma być karana śmiercią, to należy w tym wypadku zastosować karę śmierci nie jako środek karny czy zadośćuczynienie, ale po to, aby utrzymać dyscyplinę, bez której żadna armia nie może stawiać czoła nieprzyjacielowi. W sprawie nie wnoszono o łaskę i uważam, że nie powinna ona znaleźć tu zastosowania.”

Zdarza się.

* * *

Billy zmrużył oczy w roku 1965 i przeniósł się w rok 1958. Był na przyjęciu wydanym na cześć drużyny piłkarskiej juniorów, w której grał jego syn Robert. Przemawiał trener, stary kawaler. Wzruszenie ścisnęło mu gardło.

– Słowo daję – mówił – uważałbym za zaszczyt noszenie walizek za tymi chłopcami.

* * *

Billy zmrużył oczy w roku 1958 i przeniósł się w rok 1961. Obchodzono Sylwestra i Billy urznął się haniebnie na przyjęciu, gdzie byli sami optycy i żony optyków.

Billy zazwyczaj nie pił dużo, gdyż wojna zrujnowała mu żołądek, ale teraz był niewątpliwie zalany w drobny mak i zdradzał swoją żonę Walencję po raz pierwszy i ostatni w życiu. Udało mu się przekonać pewną damę, aby zeszła z nim do pralni i usiadła na gazowej suszarce, która nawiasem mówiąc była włączona.

Dama również była mocno pijana i pomagała Billy'emu, który zdejmował jej pasek od pończoch.

– O czym chciałeś porozmawiać? – pytała.

– Wszystko w porządku – odpowiedział Billy. Naprawdę myślał, że wszystko jest w porządku. Nie mógł sobie przypomnieć imienia damy.

– Dlaczego wszyscy mówią do ciebie Billy, a nie William?

– Ze względów zawodowych – odpowiedział Billy. Była to prawda. Jego teść, właściciel Szkoły Optyki w Ilium, który pomagał mu rozpocząć praktykę, był geniuszem w swojej dziedzinie. To on poradził zięciowi, żeby pozwalał ludziom nazywać się po prostu Billym, bo to pozostaje w pamięci. Będzie w tym również coś niezwykłego, jako że nikt z dorosłych nie nazywa się Billy. Poza tym ludzie będą myśleli o nim jak o kimś bliskim.

* * *

Potem rozegrała się okropna scena. Goście oburzali się na postępek Billy'ego i jego damy i Billy wylądował w swoim samochodzie, gdzie usiłował odnaleźć kierownicę.

Najważniejszą rzeczą było teraz dla niego znalezienie kierownicy. Początkowo wymachiwał rękami na oślep, w nadziei, że natrafi na nią przypadkiem. Kiedy to nie dało rezultatu, rozpoczął systematyczne poszukiwania, działając w taki sposób, żeby kierownica nie mogła mu się wymknąć. Przesunął się do lewych drzwiczek i przeszukał każdy cal przestrzeni przed sobą. Nie znalazłszy kierownicy przesunął się o kilka cali w prawo i powtórzył operację. Ku swemu zdumieniu wylądował w końcu przy prawych drzwiczkach, a kierownicy jak nie było, tak nie było. Doszedł w końcu do wniosku, że ktoś mu ją ukradł. Tak go to rozzłościło, że natychmiast zasnął.

Nie mógł znaleźć tej kierownicy, bo siedział na tylnym siedzeniu.

* * *

Ktoś budził Billy'ego potrząsając go za ramię. Billy wciąż jeszcze był pijany i zły, że ukradziono mu kierownicę. Ocknął się znów na drugiej wojnie światowej, na tyłach Niemców. Potrząsał nim Roland Weary, trzymając go za klapy kurtki polowej. Wyrznął Billym o drzewo, a potem odciągnął go od pnia i pchnął w kierunku, w którym miał iść dalej o własnych siłach.

Billy stanął i potrząsnął głową.

– Idźcie sami – powiedział.

– Co?

– Idźcie dalej sami. Mnie tu dobrze.

– Co mówisz?

– Nie martwcie się o mnie.

– Jezu Chryste, nie jesteś chyba chory? – powiedział Weary przez kilka warstw wilgotnego szalika przysłanego z domu. Billy nigdy nie widział jego twarzy. Kiedyś próbował ją sobie wyobrazić i wysła mu kijanka w kulistym akwarium.

Weary kopał i popychał Billy'ego przez ćwierć mili. Zwiadowcy czekali na nich w korycie zamrożonego strumienia. Słyszeli psa. Słyszeli nawoływania ludzi brzmiące jak okrzyki myśliwych, którzy dobrze wiedzą, gdzie szukać zwierzyny.

Brzegi strumienia były na tyle wysokie, że zwiadowcy mogli stać, pozostając w ukryciu. Billy pokracznie zsunął się z brzegu, a za nim nadszedł Weary, rozgrzany, dzwoniąc, szczękając i brzęcząc.

– Mam go, chłopcy – powiedział Weary. – Nie chce żyć, ale my go zmusimy. A kiedy się stąd wydostaniemy, to będzie pamiętał, że zawdzięcza życie trzem muszkietierom.

Zwiadowcy po raz pierwszy usłyszeli, że Weary myśli o nich i o sobie jako o trzech muszkietierach.

Billy Pilgrim zaś wyobrażał sobie tam, w korycie potoku, że bezboleśnie zamienia się w parę. Gdyby go choć na chwilę pozostawiono w spokoju, myślał, to nikomu już nie sprawiałby kłopotu. Wyparowałby i unosił się wśród wierzchołków drzew.

Gdzieś w oddali rozlegało się szczekanie wielkiego psa. Na tle zimowej ciszy głos jego, zwielokrotniony przez strach i echo, rozbrzmiewał jak ogromny gong.

* * *

Osiemnastoletni Roland Weary wcisnął się między dwóch zwiadowców i położył im na ramionach ciężkie łapy. – I cóż zrobią trzej muszkietierowie teraz? – spytał.

Billy Pilgrim przeżywał urocze halucynacje. Miał na sobie suche, ciepłe, białe skarpety i ślizgał się po posadzce sali balowej. Tysiące widzów biły brawo. To nie była podróż w czasie. Coś takiego nigdy się nie zdarzyło i nigdy się nie zdarzy. Były to przedśmiertne majaki młodego człowieka, który miał trzewiki pełne śniegu.

Jeden ze zwiadowców opuścił głowę, pozwalając ślinie spłynąć na ziemię. Drugi zrobił to samo. Badali nieskończenie drobne efekty splunięcia na śnieg i historię. Obaj byli szczupli i zgrabni. Bywali już niejednokrotnie poza niemieckimi liniami – żyjąc jak leśne zwierzęta od chwili do chwili w zbawczym strachu, myśląc bez udziału mózgu, samymi tylko rdzeniami pacierzowymi.

Teraz obaj uwolnili się z czułych objęć Weary'ego. Powiedzieli, żeby on i Billy poszukali kogoś, komu będą mogli się poddać. Zwiadowcy mieli dość ciągłego czekania na nich.

I zostawili Weary'ego i Billy'ego na lodzie.

* * *

Billy Pilgrim ślizgał się w swoich skarpetach dalej, wykonując ewolucje, które większość ludzi uznałaby za niemożliwe – zataczał kręgi, zatrzymywał się w miejscu i tak dalej. Nadal słychać było brawa, ale ich ton uległ zmianie, gdyż halucynacje ustąpiły miejsca podróży w czasie.

Billy już się nie ślizgał, lecz stał na mównicy w chińskiej restauracji w Ilium, stan Nowy Jork, wczesnym popołudniem na jesieni 1957 roku. Odbywało się zebranie Klubu Lwów, zgotowali mu gorącą owację. Wybrano go właśnie prezesem i musiał przemówić. Był sztywny ze strachu i uważał, że popełniono koszmarny błąd. Wszyscy ci zamożni, solidni mężczyźni za chwilę przekonają się, że wybrali śmiesznego przybłędę. Usłyszają jego drżący, cienki głos, jaki miał w okresie wojny. Przełknął ślinę świadom, że jego organ głosowy ma siłę gwizdka wyciętego z wierzbowej gałązki. Co gorsza, nie miał nic do powiedzenia. Zgromadzenie ucichło. Wszyscy byli różowi i rozpromienieni.

Billy otworzył usta, z których wydobył się głęboki, wibrujący ton. Jego głos był wspaniałym instrumentem. Opowiadał dowcipy, po których sala pokładała się ze śmiechu. Potem uderzył w ton powagi, potem znów opowiadał dowcipy i zakończył nutą pokory. Ten cud miał swoje wyjaśnienie: Billy ukończył kurs

krasomówstwa.

A potem znowu znalazł się w łożysku zamrożonego strumienia i Roland Weary zabierał się do dawania mu wycisku.

* * *

Weary pałał tragicznym gniewem. Znowu dostał kopniaka. Wepchnął pistolet do kabury. Wsunął do pochwy sztylet z trójgraniastym ostrzem i rowkami do krwi na wszystkich trzech powierzchniach. A potem potrząsnął Billym z całej siły, zagrzechotał jego szkieletem, wyrznął nim o brzég.

Weary ujądał i skamlał pod warstwami swego domowego szalika. Bełkotał coś na temat poświęceń, jakie robił dla Billy'ego. Rozwodził się nad pobożnością i bohaterstwem trzech muszkietarów, które przedstawiał w najbardziej jaskrawych i namiętnych barwach, rozwodził się nad ich cnotą i wielkodusznością, nad nieprzemijającą sławą, jaką się okryli, i nad ich zasługami wobec chrześcijaństwa.

Było wyłączną winą Billy'ego, jak twierdził Weary, że ta wspaniała jednostka bojowa przestała istnieć, i Billy musi teraz za to zapłacić. Palnął Billy'ego sierpowym w szczękę, zwalając go na pokryty śniegiem lód. Billy upadł na czworaki i Weary kopnął go w żebra, przewracając na bok. Billy usiłował zwinąć się w kłębek.

– Takich nie powinni w ogóle brać do wojska – powiedział Weary.

Billy mimo woli wydawał konwulsyjne dźwięki, bardzo przypominające śmiech.

– Uważasz, że to śmieszne, co? – spytał Weary i zaszedł go od tyłu. W czasie szarpaniny kurtka, koszula i podkoszulek Billy'ego podjechały do góry, odsłaniając nagie plecy. Żalodne paciorki jego kręgosłupa znajdowały się w odległości kilku cali od czubków polowych butów Weary'ego.

Weary zamachnął się prawą nogą, celując w kręgosłup, w tę rurkę zawierającą tyle ważnych dla Billy'ego przewodów. Miał zamiar rozwalić tę rurkę.

I wtedy zauważył, że ma widzów. Z wysokiego brzegu przyglądało im się pięciu niemieckich żołnierzy i alzacki owczarek na smyczy. Niebieskie oczy żołnierzy zdradzały najzupełniej cywilną ciekawość, dlatego jeden Amerykanin usiłuje zamordować innego Amerykanina tak daleko od kraju i dlatego ofiara się śmieje.

3

Niemcy wraz z psem przeprowadzali operację wojskową znaną pod zabawną nazwą, która mówi sama za siebie. Jest to przedsięwzięcie rzadko opisywane ze szczegółami, przedsięwzięcie, którego sama nazwa napotkana w komunikatach wojennych lub w podręczniku historii kojarzy się licznym entuzjastom wojny z zaspokojeniem seksualnym. W wyobraźni miłośników wojen jest to cudownie łagodna gra miłosna po orgazmie zwycięstwa. Nazywa się przeczesywaniem terenu.

Pies, którego głos rozlegał się tak groźnie w zimowym krajobrazie, to była suka. Miała podkulony ogon i drżała na całym ciele. Została tego ranka wypożyczona od gospodarza. Nigdy dotychczas nie brała udziału w wojnie. Nie miała pojęcia, na czym ta zabawa polega. Nazywała się Princessa.

* * *

Dwaj Niemcy byli prawie dziećmi. Towarzyszyli im dwaj sterani życiem starcy, zaślinieni i bezzębni jak karpie. Byli to folkszturmiści, uzbrojeni i umundurowani w rzeczy ściągnięte ze świeżo poległych prawdziwych żołnierzy. Zdarza się. Byli wieśniakami zza niemieckiej granicy, która przechodziła tuż obok.

Dowodził nimi kapral w średnim wieku – z zaczerwienionymi oczami, żyłasty, wysuszony na rzemień i mający wojny powyżej uszu. Był czterokrotnie ranny. Połatano go i odesłano z powrotem na wojnę. Był bardzo dobrym żołnierzem, który miał już dość i szukał tylko kogoś, komu mógłby się poddać. Na jego krzywych nogach lśniły złociste oficerki zdjęte w Rosji z zabitego węgierskiego pułkownika. Zdarza się.

Te buty były prawie jedynym jego majątkiem na tym świecie. Były jego domem rodzinnym. Anegdota: Pewnego razu jakiś rekrut przyglądał się, jak pucuje i glansuje te swoje złociste cholewy. Kapral podsunął mu jeden z tych butów pod nos mówiąc: "Jeśli dobrze się przyjrzeć, to można tam zobaczyć Adama i Ewę."

Billy Pilgrim nie słyszał tej anegdoty, ale leżąc tam na czarnym lodzie i wpatrując się w lśniące buty kaprała, zobaczył w ich złocistej głębi Adama i Ewę. Byli nadzy. Byli tak niewinni, tak bezbronni, tak bardzo chcieli zachowywać się przyzwoicie. Billy Pilgrim poczuł, że ich kocha.

* * *

Obok złocistych butów stała para nóg owiniętych szmatami. Były przewiązane na krzyż brezentowymi paskami i wsunięte w drewniaki z zelówką na zawiasach. Billy spojrział w górę na twarz należącą do tych drewniaków. Była to twarz jasnowłosego piętnastoletniego cherubina.

Chłopiec był piękny jak Ewa.

* * *

Właśnie ten cudowny chłopiec, niebiański hermafrodyta, pomógł Billy'emu wstać. Pozostali podeszli, otrzepali go ze śniegu i zrewidowali, szukając broni. Nie znaleźli niczego. Najbardziej niebezpiecznym przedmiotem, jaki przy nim znaleziono, był dwucalowy ogryzek ołówka.

Gdzieś w oddali rozległy się trzy niezbyt głośne huki. Pochodziły z niemieckich karabinów. To zastrzelono dwóch zwiadowców, którzy zostawili Billy'ego i Weary'ego na lodzie. Leżeli w zasadzce, ale Niemcy zaszli ich od tyłu i zastrzelili. Teraz umierali na śniegu, nie czując nic, barwiąc śnieg na kolor malinowego soku. Zdarza się. W ten sposób Roland Weary został ostatnim z trzech muszkieterów.

Rozbrajano również Weary'ego, który stał z wytrzeszczonymi ze strachu oczami. Jego pistolet kapral dał pięknemu chłopcu. Następnie z podziwem obejrzał okrutny sztylet i powiedział po niemiecku, że Weary na pewno chciałby wypróbować swój nóż na nim, rozorać mu twarz kolczastym kastetem, wbić mu ostrze w brzuch albo w gardło. Kapral nie mówił po angielsku, zaś Billy i Weary nie rozumieli niemieckiego.

– Ładne macie zabawki – powiedział kapral i oddał nóż staremu. – Piękna rzecz, nie?

Potem szarpnął płaszcz i bluzę Weary'ego. Mosiężne guziki odskakiwały jak ziarna prażonej kukurydzy. Sięgnął ku piersi Weary'ego, jakby chciał wyrwać z niej bijące serce, ale zamiast tego wyciągnął kuloodporną Biblię.

Kuloodporna Biblia jest mała, aby żołnierz mógł wsunąć ją do kieszonki bluzy na sercu, i ma stalową okładkę.

* * *

Kapral znalazł też w tylnej kieszeni spodni Weary'ego pornograficzne zdjęcie kobiety i kuca.

– Trafiło się kucykowi, co? – powiedział. – Hmmm? Chciałbyś być na jego miejscu, co?

Wręczył zdjęcie drugiemu ze starych.

– Łup wojenny! To dla ciebie, tylko dla ciebie, szczęśliwczu.

Potem kazał Weary'emu usiąść na śniegu i zdjąć buty, które przekazał pięknemu chłopcu. Weary dostał drewniaki. W ten sposób obaj z Billym byli teraz pozbawieni porządnego wojskowego obuwia, a musieli przejść wiele mil, i całą drogę Weary stukał drewniakami, a Billy podrygiwał w górę i w dół, w górę i w dół, wpadając od czasu do czasu na Weary'ego.

– Przepraszam – mówił wtedy Billy albo: – Najmocniej przepraszam.

W końcu doprowadzono ich do murowanego budynku na rozstajach. Był to punkt zborny jeńców wojennych. Billy i Weary zostali wpuszczeni do ciepłego i zadymionego wnętrza. Na kominku syczał i trzaskał ogień. Za opał służyły meble. Znajdowało się tam około dwudziestu innych Amerykanów, którzy siedzieli oparci plecami o ścianę, patrzyli w ogień i myśleli o tym, o czym można było myśleć – czyli o wszystkim i o niczym.

Nikt nie rozmawiał. Nikt nie miał dobrych wojennych historii frontowych do opowiedzenia.

Billy i Weary znaleźli sobie miejsca i Billy zasnął z głową na ramieniu kapitana, który nie protestował przeciwko temu. Kapitan był wojskowym rabinem. Miał przestrzeloną rękę.

* * *

Billy przeniósł się w inny czas, otworzył oczy i stwierdził, że wpatruje się w szklane oczy nefrytowe zielonej mechanicznej sowy. Sowa zwisała głową w dół z lśniącego stalowego pręta. Był to dioptriomierz Billy'ego w jego gabinecie w Ilium. Dioptriomierzem określa się wadę wzroku – aby można było przepisać

okulary.

Billy zasnął podczas badania pacjentki, która siedziała w fotelu po drugiej stronie sowy. Zdarzało mu się to nie po raz pierwszy. Początkowo go to bawiło, ale teraz zaczynał się martwić, niepokoił go w ogóle stan jego umysłu. Nie potrafił sobie przypomnieć, ile ma lat. Nie potrafił sobie przypomnieć, który jest rok.

– Doktorze – odezwała się pacjentka ostrożnie.

– Hm?

– Pan tak nagle umilkł.

– Przepraszam.

– Mówił pan i nagle pan umilkł.

– Hm.

– Czy zobaczył pan coś strasznego?

– Strasznego?

– Czy to jakaś choroba w moich oczach?

– Ależ nie – powiedział Billy czując nowy przypływ senności. – Pani oczy są w porządku. Potrzebne są pani tylko szkła do czytania.

I powiedział jej, żeby przeszła do drugiego pokoju obejrzeć sobie bogatą kolekcję oprawek.

* * *

Kiedy pacjentka wyszła, Billy rozsunął zasłony, ale niewiele dowiedział się o świecie. Okno było jeszcze zasłonięte żaluzją, którą podniósł z trzaskiem. Do pokoju wdarł się słoneczny blask. Na dole stały tysiące zaparkowanych samochodów, połyskujących na rozległym jeziorze czarnego asfaltu. Gabinet i sklep Billy'ego znajdował się na terenie podmiejskiego ośrodka handlowego.

Tuż pod oknem stał Cadillac Billy'ego, El Dorado Coupe de Ville. Odczytał naklejki na tylnym zderzaku. "Czy widziałeś już przepaść Ausable?", "Popieraj swoją policję", "Pod sąd Earla Warrena!" Dwie ostatnie naklejki były darem teścia, członka Towarzystwa im. Johna Bircha. Na tablicy rejestracyjnej widniała data 1967, co oznaczało, że Billy ma czterdzieści cztery lata. "Gdzie się podziały wszystkie te lata?" – zadał sobie Billy pytanie.

* * *

Uwagę Billy'ego przykuło biurko. Leżał tam otwarty numer "Przeglądu Optycznego". Numer był otwarty na artykule wstępnym, który Billy zaczął czytać, z lekka poruszając wargami.

"Rok 1968 zadecyduje o losach europejskich optyków na najbliższe pięćdziesiąt lat! Pod tym hasłem Jean Thiriart, sekretarz Ogólnokrajowego Związku Optyków w Belgii, dąży do utworzenia Europejskiego Towarzystwa Optycznego. Jeśli nie zadamy już teraz o podniesienie rangi zawodu, to po roku 1971 zostaniemy zepchnięci do roli sprzedawców okularów."

Billy Pilgrim usiłował się tym przejąć.

Nagle przeraził go ryk syreny. Billy był w każdej chwili przygotowany na wybuch trzeciej wojny światowej. Tymczasem syrena sygnalizowała po prostu godzinę dwunastą w południe. Mieściła się w kopule

wieńczącej budynek straży pożarnej naprzeciwko.

Billy zamknął oczy. Kiedy je otworzył, był z powrotem na drugiej wojnie światowej. Jego głowa spoczywała na ramieniu rannego rabina. Niemiec kopał go w nogę, dając mu w ten sposób do zrozumienia, żeby się obudził, bo czas ruszać dalej.

* * *

Amerykanie, a wśród nich i Billy, zostali ustawieni na drodze przed budynkiem.

Był przy tym obecny fotograf, niemiecki korespondent wojenny z Leiką. Sfotografował nogi Billy'ego i Weary'ego. W dwa dni później zdjęcie obiegło prasę jako krzepiący dowód, że armia amerykańska jest nędźnie wyposażona mimo legend o jej bogactwie.

Fotograf pragnął jednak czegoś bardziej dramatycznego, na przykład sceny wzięcia jeńca. Konwojenci odegrali dla niego taką scenę. Wepchnęli Billy'ego w krzaki. Kiedy Billy wylazł stamtąd z wyrazem głupawej dobroci na twarzy, wycelowali w niego automaty, jakby właśnie brali go do niewoli.

* * *

Uśmiech Billy'ego, w chwili kiedy wychodził z krzaków, nie ustępował dziwnością uśmiechowi Mony Lizy, gdyż równocześnie szedł pieszko przez Niemcy w roku 1944 i jechał swoim Cadillakiem w roku 1967. Potem Niemcy znikły i pozostał czysty i jasny rok 1967, bez domieszek innych czasów. Billy jechał na zebranie do Klubu Lwów. Był upalny sierpniowy dzień, ale samochód Billy'ego miał klimatyzację. Musiał zatrzymać się pod sygnalem w samym środku czarnego getta Ilium. Ludzie, którzy tu mieszkali, tak nienawidzili swojej dzielnicy, że niespełna miesiąc temu znaczną jej część spalili. Zniszczyli w ten sposób jedyne, co mieli. Dzielnica przypominała Billy'emu miasteczka widziane podczas wojny. Krawężniki i chodniki były w wielu miejscach zmiążdżone gąsienicami transporterów Gwardii Narodowej.

* * *

"Jestem waszym bratem", głosił napis wymalowany różową farbą na ścianie rozgrabionego sklepu z delikatesami.

Ktoś zapukał w szybę samochodu. Był to Murzyn. Chciał o czymś porozmawiać. W tym momencie zapaliło się zielone światło. Billy znalazł najprostsze wyjście. Odjechał.

* * *

Mijał teraz obraz jeszcze większych zniszczeń. Wyglądało to jak Drezno po bombardowaniu, jak powierzchnia Księżycy. Gdzieś tutaj, gdzie teraz było tak pusto, stał dom, w którym Billy mieszkał jako dziecko. Był to teren objęty planami przebudowy miasta. Wkrótce powstanie tu nowe centrum administracyjne, Pawilon Sztuk Pięknych, Laguna Pokoju i luksusowe budynki mieszkalne.

Billy Pilgrim nie miał nic przeciwko temu.

* * *

Na zebraniu Klubu Lwów mówcą był tego dnia major piechoty morskiej. Mówił, że Amerykanie nie mają wyboru i muszą walczyć w Wietnamie aż do zwycięstwa, dopóki komuniści nie zrozumieją, że nie mogą narzucać swoich rządów słabszym krajom. Major był tam już dwukrotnie. Mówił o wielu strasznych i pięknych rzeczach, jakie tam widział. Wypowiadał się na rzecz nasilenia bombardowań, na rzecz zepchnięcia Wietnamczyków z Północy z powrotem do epoki kamiennej, jeśli nic innego nie przemówi im do rozsądku.

* * *

Billy nie miał ochoty protestować przeciwko bombardowaniu Wietnamu Północnego, nie zadrżał na myśl o potwornych skutkach bombardowania, które sam kiedyś oglądał. Po prostu jadł obiad w Klubie Lwów jako jego były przewodniczący.

* * *

W gabinecie przyjęć Billy powiesił sobie na ścianie oprawioną w ramki modlitwę, która była jego sposobem na to, żeby jakoś funkcjonować, mimo że życie nie budziło w nim entuzjazmu. Wielu pacjentów, którzy zobaczyli tę modlitwę na ścianie u Billy'ego, mówiło mu, że im ona także pomaga żyć. Brzmiała następująco:

*– Boże, daj mi pogodę ducha, abym
godził się z tym, czego zmienić nie mogę,
odwagę, abym zmieniał to, co zmienić
mogę, i mądrość, abym zawsze potrafił
odróżnić jedno od drugiego.*

Do rzeczy, których Billy nie mógł zmienić, należała przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

* * *

Billy'ego przedstawiono majorowi piechoty morskiej. Ten, kto go przedstawiał, powiedział, że Billy jest weteranem i że jego syn służy w Wietnamie w Zielonych Beretach.

Major powiedział Billy'emu, że Zielone Berety robią tam dobrą robotę i że powinien być dumny z syna.

– Jestem dumny – odpowiedział Billy Pilgrim. – Oczywiście, że jestem.

* * *

Billy poszedł do domu zdrzemnąć się po obiedzie. Robił to na zalecenie lekarza. Doktor miał nadzieję, że wyleczy Billy'ego, który od czasu do czasu, bez żadnego powodu popłakiwał. Nikt go nigdy na tym nie przyłapał i tylko doktor o tym wiedział. Billy płakał bardzo cicho i niezbyt obficie.

* * *

Billy posiadał w Ilium piękny dom w stylu kolonialnym. Był bogaty jak Krezus, a czegoś takiego nie spodziewał się nigdy w życiu. Zatrudniał pięciu innych optyków w swoim zakładzie przy centrum handlowym i zarabiał netto ponad sześćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Poza tym należała do niego piąta część "Świątecznego Zajazdu" przy szosie numer pięćdziesiąt cztery oraz połowa udziału w trzech stoiskach Tastee-Freeze. Tastee-Freeze był to rodzaj mrożonego kremu. Zapewniał te same wrażenia co lody, a jednocześnie nie był tak twardy i przejmująco zimny.

* * *

W domu Billy'ego nie było nikogo. Jego córka Barbara miała wyjść za mąż i pojechała z Walencją do miasta wybrać wzory kryształów i sreber. Stwierdziła to notatka pozostawiona na stole w kuchni. Służby nie było. Zawód służącego przestał być atrakcyjny. Psa również nie było.

Mieli kiedyś psa imieniem Spot, ale im zdechł. Zdarza się. Billy bardzo lubił Spota, a Spot jego.

* * *

Billy wszedł po wyłożonych chodnikiem schodach do swojej małżeńskiej sypialni. Pokój miał tapetę w kwiatki. Stało tam podwójne łóżko i radio z budzikiem na nocnym stoliku. Na tym samym stoliku znajdował się wyłącznik elektrycznego koca i łagodnego wibratora, podłączonego do sprężyn materaca. Wibrator nosił nazwę "Magiczne Palce" i był również pomysłem doktora.

Billy zdjął swoje specjalne okulary o trzech ogniskowych, marynarkę, buty i krawat, zapuścił żaluzje i zasłony i położył się na zaścielonym łóżku. Sen jednak nie przychodził. Zamiast tego przyszły łyzy. Kapały. Billy włączył "Magiczne Palce". Płakał i był kołysany.

* * *

Odezwwał się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Billy wstał i wyjrzał przez okno, żeby zobaczyć, kto czeka przed drzwiami. Był to kaleka, miotany drgawkami w przestrzeni, tak jak Billy miotany był drgawkami w czasie. Drgawki zmuszały go do nieustannego konwulsyjnego tańca i nieustannych zmian wyrazu twarzy, jakby chciał naśladować różnych słynnych aktorów filmowych.

Drugi kaleka dzwonił do domu naprzeciwko. Ten nie miał nogi. Był tak wciśnięty pomiędzy swoje kule, że ramiona zasłaniały mu uszy.

Billy wiedział, co się święci: kalecy wyłudzały pieniądze rzekomo na przedpłatę czasopism. Ludzie wpłacali, ponieważ agenci budzili w nich litość. Billy słyszał o tej szajce od mówcy na obiedzie w Klubie Lwów dwa tygodnie temu – był to przedstawiciel Biura Rozwoju Przemysłu i Handlu. Powiedział, że każdy, kto zobaczy tych połamańców zbierających w sąsiedztwie przedpłatę na prasę, powinien natychmiast zawiadomić policję.

Billy spojrział w głąb ulicy i zobaczył nowy samochód marki Buick Riviera zaparkowany o kilkadziesiąt jardów dalej. Siedział w nim jakiś człowiek i Billy domyślił się całkiem słusznie, że jest to facet, który wynajął tych nieszczęśników do pracy. Billy obserwował kaleki oraz ich szefa, nie przestając ani na chwilę płakać. Tymczasem dzwonek przy drzwiach dzwonił jak oszalały.

Billy przymknął oczy i zaraz znów je otworzył. Łzy leciały mu nadal, ale znalazł się z powrotem w Luksemburgu. Maszerował drogą wraz z innymi jeńcami. Tym razem łzy wyciskał mu zimowy wiatr.

* * *

Billy, od momentu kiedy go wepchnięto w krzaki celem zrobienia zdjęcia, widział ogień Świętego Elma, rodzaj elektronicznego promieniowania wokół głów swoich towarzyszy i konwojentów. Występowało ono również na czubkach drzew i na szczytach dachów Luksemburga. Było to bardzo piękne.

Wędrował z rękami założonymi za głowę, podobnie jak i pozostali Amerykanie. Podrygiwał przy tym w górę i w dół, w górę i w dół. Raz wpadł niechcący na Rolanda Weary'ego i powiedział: "Najmocniej przepraszam."

Weary również miał łzy w oczach. Płakał, ponieważ potwornie bolały go nogi. Drewniaki zmieniły jego stopy w dwa krwawe befsztyki.

Na każdym skrzyżowaniu do grupy, w której szedł Billy, dołączano nowych Amerykanów z rękami założonymi za głowy i z aureolami. Billy wszystkich witał uśmiechem. Płynęli jak woda, cały czas w dół, aż dotarli do głównej szosy idącej dnem doliny. Doliną płynęła Missisipi upokorzonych Amerykanów. Dziesiątki tysięcy amerykańskich jeńców wlokło się na wschód z rękami splecionymi za głowę. Słychać było westchnienia i jęki.

* * *

Billy i jego grupa dołączyli do rzeki upokorzonych. Późnym popołudniem wyjrzało zza chmur słońce. Amerykanie nie byli sami na drodze. Drugą połowę szosy parł na zachód strumień pojazdów wiozących niemieckie rezerwy na front. Niemcy byli brutalni, ogorzali, zarośnięci. Mieli zęby jak klawiatura fortepianu. Byli obwieszani taśmami do karabinów maszynowych, palili cygara i żłopali alkohol. Odgryzali ogromne kęsy kielbasy i bawili się granatami w kształcie tłuczków do kartofli.

Jakiś żołnierz w czarnym mundurze urządził sobie na czołgu jednoosobową ucztę na swoją cześć. Po drodze pluł na Amerykanów. Jego plwocina trafiła Rolanda Weary'ego w ramię, obdarzając go mieszaniną flegmy, krwawej kiszki, tytoniu i sznapsa.

* * *

Billy przeżywał niezwykle interesujące popołudnie. Tyle tu było do oglądania – betonowe przeszkody zwane zębami smoka, różne maszyny do zabijania oraz trupy z bosymi, sinożółtymi stopami. Zdarza się.

Podrygując w górę i w dół, w górę i w dół, Billy objął czułym spojrzeniem jasnozielony wiejski dom, upstrzony śladami kul. W przekrzywionych drzwiach stał niemiecki pułkownik ze swoją dziwką, która nie zdążyła się umalować.

Billy wpakował się na Weary'ego, który krzyknął przez łyż:

– Jak leziesz? Jak leziesz?

Droga wspięła się teraz na niewielkie wzgórze. Kiedy weszli na jego szczyt, nie znajdowali się już w Luksemburgu. Byli w Niemczech.

* * *

Na granicy ustawiono kamerę filmową, aby utrwalić sławne zwycięstwo. Kiedy przechodzili Billy i Weary, dwaj cywile w niedźwiedzych futrach stali oparci o kamerę. Taśma skończyła im się już dawno temu.

Jeden z nich wyłowił z tłumu na sekundę twarz Billy'ego i znowu nastawił kamerę na nieskończoność. W nieskończoności widać było małe obłoczki dymu. Toczyła się tam bitwa. Ginęli ludzie. Zdarza się.

Zaszło słońce i Billy podrygiwał teraz w miejscu na rampie kolejowej. Czekają tam nieskończone rzędy bydłych wagonów, które przywiozły rezerwy na front. Teraz miały zabrać jeńców w głąb Niemiec. Światła latarek wykonywały szaleńczy taniec.

* * *

Niemcy podzielili jeńców w zależności od stopni wojskowych. Dali sierżantów do sierżantów, majorów do majorów i tak dalej. Obok Billy'ego stała akurat gromadka pułkowników. Jeden z nich był chory na obustronne zapalenie płuc. Miał wysoką temperaturę i zawroty głowy. Ponieważ rampa zapadała się i krążyła wokół niego, usiłował utrzymać równowagę wpatrując się w oczy Billy'ego.

Pułkownik długo kasłał, a potem zwrócił się do niego z pytaniem:

– Czy jesteś jednym z moich chłopców?

Ten człowiek stracił cały pułk, około czterech i pół tysiąca ludzi. Wielu z nich to były prawie dzieci. Billy nie odpowiedział. Pytanie wydało mu się bez sensu.

– Z jakiej jesteś jednostki? – spytał pułkownik i rozkasłał się na długo. Przy każdym wdechu jego płuca szeleściły jak woskowany papier.

Billy nie pamiętał nazwy swojej jednostki.

– Czy jesteś z czterysta pięćdziesiątego pierwszego?

– Z czego czterysta pięćdziesiątego pierwszego? – spytał Billy.

Zapanowało milczenie.

– Z pułku piechoty – powiedział wreszcie pułkownik.

– Aha – powiedział Billy Pilgrim.

* * *

Znowu zapadła długa chwila milczenia, w czasie której pułkownik umierał powoli, tonąc na stojąco. A potem krzyknął ochryple.

– Chłopcy, to ja, Dzikie Bob!

Zawsze pragnął, aby jego żołnierze nazywali go Dzikim Bobem.

Żaden z ludzi, którzy go słyszeli, nie służył w jego pułku, z wyjątkiem Rolanda Weary'ego, ale Weary nie zwrócił na to uwagi. Weary nie mógł myśleć o niczym prócz swoich obolałych stóp.

Pułkownikowi jednak zdawało się, że po raz ostatni przemawia do swoich ukochanych żołnierzy, i mówił, że nie mają się czego wstydzić, że całe pole bitwy jest usłane zabitymi Niemcami, którzy dużo by dali za to, żeby nigdy nie słyszeć o czterysta pięćdziesiątym pierwszym. Powiedział, że po wojnie zorganizuje spotkanie żołnierzy pułku w swoim rodzinnym mieście, to jest w Cody, w stanie Wyoming. Obiecywał piec na rożnie całe cielęta.

Mówiąc przez cały czas wpatrywał się Billy'emu w oczy i cała ta jego gadanina odbijała się echem wewnątrz czaszki Billy'ego.

– Niech Bóg ma was w swojej opiece! – powiedział pułkownik i echo powtarzało te jego słowa bez końca. A potem dodał:

– Jeśli będziecie kiedyś w Cody, w stanie Wyoming, wystarczy spytać tylko o Dzikiego Boba.

Byłem tam. I mój przyjaciel z wojny Bernard V. O'Hare także.

* * *

Billy Pilgrim został załadowany do wagonu wraz z wieloma innymi szeregowcami. Rozdzielono ich z Rolandem Wearym. Weary trafił do innego wagonu w tym samym pociągu.

W rogach wagonu, pod dachem, były wąskie okienka. Billy stał pod jednym z nich i kiedy tłum zaczął napierać, wszedł na ukośną belkę w narożniku, aby zrobić miejsce. W ten sposób jego oczy znalazły się na poziomie okienka i mógł widzieć pociąg stojący na sąsiednim torze.

Niemcy wypisywali na wagonach niebieską kredą liczbę osób w każdym wagonie, ich stopień wojskowy, narodowość i datę załadowania. Inni Niemcy zabezpieczali zamknięcia wagonów drutem, gwoździami i innym złomem, jaki można znaleźć przy torach. Billy słyszał, że ktoś pisze również na jego wagonie, ale piszącego nie widział.

Większość szeregowców w wagonie to byli bardzo młodzi chłopcy, na pół jeszcze dzieci. Jednak w rogu obok Billy'ego znalazł się były włóczęga, który miał już czterdziestkę.

– Bywałem bardziej głodny niż dzisiaj – powiedział do Billy'ego. – Bywałem w gorszych opalach. Nie jest tak źle.

W wagonie na sąsiednim torze wołano, że ktoś tam przed chwilą umarł. Zdarza się. Słyszało to czterech konwojentów. Wiadomość nie wywarła na nich większego wrażenia.

– *Ja, ja* – powiedział jeden z nich kiwając sennie głową. – *Ja, ja*.

Konwojenci nie otworzyli wagonu z nieboszczykiem. Otworzyli natomiast sąsiedni wagon i Billy Pilgrim był urzeczony tym, co zobaczył. Wyglądało to jak kawałek raj. Palły się świece, na pryczach leżały kołdry i koce. Był żelazny piecyk z parującym garnkiem kawy. Był stół z butelką wina, bochenkiem chleba i kielbasą. I były cztery talerze zupy.

Na ścianach wisiały fotografie zamków, jezior i pięknych dziewczyn. Był to wędrowny dom strażników kolejowych – ludzi, których praca polegała na pilnowaniu ładunków. Czterej strażnicy weszli do środka i zamknęli drzwi.

W chwilę później wyszli stamtąd paląc cygara i rozmawiając z zadowoleniem w miękkim, dolnym rejestrze języka niemieckiego. Jeden z nich dojrzał twarz Billy'ego w okienku i pogroził żartobliwie palcem, dając mu do zrozumienia, żeby był grzeczny.

Amerykanie z wagonu naprzeciwko znowu powiedzieli strażnikom o nieboszczyku. Strażnicy wyciągnęli ze swojego przytulnego wagonu nosze, otworzyli wagon z nieboszczykiem i weszli do środka. Wagon z nieboszczykiem nie był zatłoczony jak inne. Zajmowało go tylko sześciu żywych pułkowników i jeden nieżywy.

Niemcy wynieśli tego nieżywego. Był to Dzikie Bob. Zdarza się.

* * *

W nocy lokomotywy zaczęły pogwizdywać do siebie i ruszać w drogę. Lokomotywa i ostatni wagon każdego pociągu ozdobione były chorągiewkami w pomarańczowe i czarne pasy, które miały uprzedzać lotników, żeby nie strzelali, bo pociąg wiezie jeńców wojennych.

* * *

Wojna dobiegała końca. Lokomotywy ruszyły na wschód pod koniec grudnia, a wojna miała się skończyć w maju. Wszystkie niemieckie obozy były przepelnione. Więźniów nie było czym karmić, nie było opału, żeby ich ogrzać. A tu tymczasem przybywali nowi.

* * *

Pociąg Billy'ego, najdłuższy ze wszystkich, nie ruszał przez dwa dni.

– Nie jest źle – powiedział Billy'emu na drugi dzień włóczęga. – To jeszcze drobiazg.

Billy wyjrzał przez okienko. Stacja kolejowa opustoszała, jeśli nie liczyć stojącego na dalekiej bocznej linii pociągu sanitarnego ze znakami Czerwonego Krzyża. Jego lokomotywa gwizdnęła. Lokomotywa Billy'ego Pilgrima odpowiedziała. Wymieniały pozdrowienia.

* * *

Mimo że pociąg stał, wagony trzymano przez cały czas zamknięte. Nikomu nie wolno było wychodzić aż do stacji przeznaczenia. Dla strażników chodzących wzdłuż pociągu każdy wagon stał się jednym

organizmem, który jadł, pił i wydalał przez swoje otwory. Przez te same otwory mówił, a czasem krzyczał. Do środka szła woda, bochenki czarnego chleba, kielbasa i ser, a wychodził stamtąd kał, mocz i mowa.

Istoty ludzkie stłoczone w środku oddawały kał do stalowych hełmów, które przekazywano do wylania tym, którzy stali przy okienkach. Billy był jednym z tych wylewaczy. Istoty ludzkie podawały również manierki, które strażnicy napełniali wodą. Kiedy przychodziło jedzenie, istoty stawały się ciche, ufnie i piękne. Dzieliły się wszystkim po równo.

* * *

Istoty ludzkie w wagonach stały i leżały na zmianę. Nogi stojących były jak słupy wbite w ciepłą, drgającą, pierdzącą i wzdychającą glebę. Tę dziwną glebę stanowiła mozaika śpiących, ułożonych jeden przy drugim jak srebrne łyżki w pudełku.

Pociąg zaczął pełznąć na wschód.

Gdzieś tam świętowano Boże Narodzenie. Billy Pilgrim w świąteczną noc leżał jak łyżka w pudełku przytulony do włóczędzy. W tej pozycji zasnął i przeniósł się w czasie do roku 1967 – w noc, kiedy to został porwany przez latający talerz z Tralfamadorii.

4

Billy Pilgrim nie mógł zasnąć po weselu córki. Miał czterdzieści cztery lata. Przyjęcie weselne odbyło się po południu w wesołym, kolorowym namiocie rozpiętym w ogrodzie Billy'ego. Namiot był w pomarańczowo-czarne pasy.

Billy i jego żona Walencja leżeli w wielkim małżeńskim łóżu jak łyżki w pudełku. Kołysały ich "Magiczne Palce". Walencji nie trzeba było kołysać, żeby zasnęła. Chrapała niczym piła mechaniczna. Biedna kobieta nie miała już jajników ani macicy. Usunął je znajomy chirurg, współwłaściciel "Świątecznego Zajazdu".

Była pełnia.

Billy wstał z łóżka w blasku księżyca. Miał wrażenie, że jest świetlisty i upiorny, jakby spowijało go zimne, naelektryzowane futro. Spojrzał w dół na swoje nagie stopy. Były sinożółte.

* * *

Billy człapał po korytarzu na pierwszym piętrze wiedząc, że wkrótce porwie go latający talerz. Korytarz był podzielony na pasy ciemności i księżycowego blasku. Światło księżyca wpadało przez drzwi pustych pokoiów dwojga dzieci Billy'ego. Nie było już dzieci. Odeszły na zawsze. Billym kierował strach i brak strachu. Strach mówił mu, kiedy stanąć. Brak strachu mówił mu, że można iść dalej. Zatrzymał się.

Potem wszedł do pokoju córki. Wszystkie szuflady były powyciągane. Szafa była pusta. Na środku pokoju leżał stos rzeczy, których nie zdołała zabrać w podróż poślubną. Na parapecie okna stał jej własny aparat telefoniczny typu Księżniczka. Jego małe światełko wpatrywało się w Billy'ego, a potem telefon zadzwonił.

Billy podniósł słuchawkę. Dzwonił jakiś pijak. Billy czuł prawie jego oddech – mieszaninę gazu musztardowego i róż. Pomyłka. Billy odłożył słuchawkę. Na parapecie stała butelka lemoniady. Jej etykieta szczyliła się tym, że płyn nie ma żadnych wartości odżywczych.

* * *

Billy zwlókł się na dół na swoich sinożółtych stopach. Wszedł do kuchni, gdzie światło księżyca zwróciło jego uwagę na napoczętą butelkę szampana stojącą na kuchennym stole. To było wszystko, co zostało z przyjęcia w namiocie. Ktoś zakorkował butelkę z powrotem. "Wypij mnie" – zdawała się mówić butelka.

Billy wyciągnął korek palcami. Nie strzeliło. Szampan wywietrzył. Zdarza się.

Spojrzał na zegar nad piecykiem gazowym. Miał jeszcze godzinę do przybycia talerza, poszedł więc do bawialni, potrząsając butelką jak dzwonkiem, i włączył telewizor. Był z lekka obruszany w czasie i oglądał film od końca, a potem jeszcze raz we właściwej kolejności. Film opowiadał o amerykańskich bombowcach z drugiej wojny światowej i o ich dzielnych załogach. Oglądany od tyłu film wyglądał tak:

Amerykańskie samoloty, podziurawione, z rannymi i zabitymi na pokładach, startowały tyłem z lotniska w Anglii. Nad Francją naleciało na nie tyłem kilka niemieckich myśliwców, wysysając pociski i

odłamki z niektórych bombowców i członków załogi. To samo zrobiły z zestrzelonymi amerykańskimi samolotami na ziemi, które wzbily się tyłem w powietrze, zajmując miejsca w szyku.

Bombowce nadleciały tyłem nad płonące niemieckie miasto. Tam otworzyły swoje luki bombowe i wysłały jakieś cudowne promieniowanie magnetyczne, które stłumiło pożary, zebrało je do stalowych pojemników i wciągnęło te pojemniki do brzuchów samolotów. Tam zostały one ułożone w równiutkie rzędy. Niemcy na dole mieli swoje własne cudowne urządzenia. Były to długie stalowe rury, które wysysały odłamki z ciał ludzi i samolotów. Mimo to nadal było kilku rannych Amerykanów i kilka uszkodzonych bombowców. Dopiero nad Francją pojawiły się ponownie niemieckie myśliwce i zrobiły porządek, tak że wszystko było jak nowe.

* * *

Po powrocie bombowców do bazy wylądowano z nich stalowe cylindry i odesłano je z powrotem do Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie pracujące dzień i noc fabryki rozmontowywały cylindry, rozdzielając ich niebezpieczną zawartość na minerały. Szczególnie wznuszało to, że pracę wykonywały prawie same kobiety. Potem minerały rozsyłano do specjalistów w różnych odległych okolicach. Ich zadaniem było ukryć je pod ziemią w tak sprytny sposób, żeby już nikomu nie zrobiły krzywdy.

Amerykańscy lotnicy oddali swoje mundury i zmienili się w zwykłych uczniaków. I Hitler też zmienił się w niemowlę, jak przypuszczał Billy Pilgrim, choć tego nie było już w filmie. Billy kontynuował tylko myśl filmu. Wszyscy zmienili się w dzieci i cała ludzkość bez wyjątku brała udział w biologicznym spisku, aby wydać parę doskonałych ludzi – Adama i Ewę.

* * *

Billy obejrzał film wojenny od końca do początku, potem od początku do końca, a potem był już czas, aby wyjść do ogródka na spotkanie latającego talerza. Wszedł więc na dwór, miażdżąc swoimi sinożółtymi stopami wilgotną sałatę trawnika. Przystanął i pociągnął łyk szampana bez gazu. Smakował jak lemoniada. Billy nie podnosił wzroku w górę, chociaż wiedział, że jest tam latający talerz z Tralfamadorii. Zdąży go sobie obejrzeć z zewnątrz i od wewnątrz, zdąży też obejrzeć planetę, z której przyleciał, zdąży.

Usłyszał w górze coś jakby melodyjny krzyk sowy, tylko że to nie była wcale muzykalna sowa. Był to latający talerz z Tralfamadorii, który poruszał się zarazem w czasie i przestrzeni i dlatego wyłonił się przed Billym jakby z nicości. Gdzieś w oddali słyhać było ujadanie dużego psa.

* * *

Talerz miał sto stóp średnicy i liczne okienka na obwodzie. W okienkach pulsowało purpurowe światło. Jedyne dźwięk to był ten sowy śpiew. Talerz zatrzymał się nad Billym i zamknął go w snopie pulsującego purpurowego światła. Teraz rozległ się odgłos jakby pocałunku i otworzył się hermetyczny luk w spodzie pojazdu. Wijąc się wypadła stamtąd drabinka ozdobiona kolorowymi światełkami, jak diabelski młyn.

Wola Billy'ego była sparaliżowana przez miotacz specjalnych promieni, skierowany na niego z

okienka. Poczul, że musi schwycić dolny szczebel wijącej się drabinki, co też zrobił. Drabinka była naelektryzowana i dłonie Billy'ego przywarły do niej z wielką siłą. Został wciągnięty do śluzy powietrznej i automat zamknął dolny właz. Dopiero wtedy nawinięta na bęben drabinka pozwoliła mu zwolnić uchwyt. I dopiero wtedy mózg Billy'ego zaczął na nowo funkcjonować.

* * *

W ścianie mieścił się głośnik i dwa wzierniki, za którymi widać było żółte oczka. Tralfamadorczycy nie posiadali strun głosowych. Porozumiewali się drogą telepatii. Z Billym mogli rozmawiać dzięki pośrednictwu komputera i czegoś w rodzaju organów elektrycznych, które naśladowały wszystkie dźwięki ziemskiej mowy.

– Witamy na pokładzie, panie Pilgrim – odezwał się głośnik. – Czy ma pan jakieś pytania?

Billy oblizal wargi, zastanowił się chwilę i wreszcie spytał:

– Dlaczego akurat ja?

– To bardzo ziemskie pytanie, panie Pilgrim. Dlaczego pan? A dlaczego my? A dlaczego w ogóle cokolwiek? Ponieważ ta chwila po prostu jest. Czy widział pan kiedyś owady uwięzione w bursztynie?

– Widziałem.

Billy miał nawet na biurku przycisk do papierów, który był kawałkiem oszlifowanego bursztynu z trzema biedronkami w środku.

– Oto więc, panie Pilgrim, jesteśmy wszyscy razem uwięzieni w bursztynie danej chwili. Taka rzecz jak "dlaczego" nie istnieje.

* * *

Billy'ego uśpiono dodając jakiegoś gazu do powietrza, którym oddychał. Przeniesiono go do kabiny i przywiązano do żółtej kanapy ukradzonej z magazynów Searsa i Roebucka. Ładownia latającego talerza była zavalona wszelkim kradzionym dobrem, które później miano wykorzystać przy urządzaniu wybiegu dla Billy'ego w Zoo na Tralfamadorii.

Potworne przyspieszenie przy odlocie z Ziemi skrzywiło senne ciało Billy'ego, zniekształciło jego rysy i wyrzuciło go z czasu, przenosząc z powrotem na wojnę.

Kiedy odzyskał przytomność, nie znajdował się już na pokładzie latającego talerza. Był znowu w bydlęcym wagonie jadącym przez Niemcy.

Jedni wstawali z podłogi, inni kładli się na ich miejsce. Billy również miał zamiar się położyć. Byłoby cudownie móc zasnąć. W wagonie panował czarny mrok, na dworze również było czarno. Wagon toczył się z szybkością chyba dwóch mil na godzinę. Nigdy jej nie przekraczał. Między stukami na złączach szyn upływały długie chwile. Słychać było stuk, potem mijał rok i rozlegał się następny stuk.

Pociąg często stawał, aby przepuścić naprawdę ważne pociągi pędzące z hukiem i gwizdem. Stawał też na bocznicach koło obozów, zostawiając przy każdym kilka wagonów. Pełznął w ten sposób przez Niemcy, coraz to krótszy i krótszy.

* * *

Billy zaczął bardzo ostrożnie opuszczać się na podłogę, przytrzymując się ukośnej belki w narożniku, aby wydać się lekkim jak piórko tym, między których chciał się wcisnąć. Wiedział, że musi być prawie bezcielesny, kiedy się kładzie. Zapomniał, dlaczego tak jest, ale zaraz mu przypomniano.

– Pilgrim – powiedział człowiek, do którego się dopasowywał – czy to ty?

Billy nie odpowiedział, tylko ułożył się bardzo grzecznie i zamknął oczy.

– Do jasnej cholery – powiedział ten sam człowiek. – Przecież to ty.

Człowiek usiadł i brutalnie obmacał Billy'ego rękami.

– Tak, to ty. Spieprzaj stąd!

Billy również usiadł – nieszczęśliwy, bliski płaczu.

– Zjeżdżaj stąd. Chcę spać!

– Zamknij się – odezwał się ktoś inny.

– Nie zamknę się, dopóki Pilgrim stąd nie pójdzie.

Billy wstał z powrotem, przytrzymując się poprzecznej belki.

– A gdzie mam spać? – spytał cicho.

– Byle nie koło mnie.

– Ani koło mnie, ty skurwysynu. Krzyczysz i wierzgasz.

– Ja?

– Tak, ty, do cholery. I kwiczysz.

– Ja?

– Trzymaj się od nas z daleka, Pilgrim.

I teraz rozległ się zjadliwy madrygał, śpiewany na głosy przez cały wagon. Prawie każdy, zdawało się, mógł opowiedzieć o okrucieństwie, jakiego Billy dopuścił się na nim przez sen. Wszyscy kazali mu trzymać się z daleka od siebie.

* * *

Tak więc Billy Pilgrim miał do wyboru spać na stojąco albo nie spać w ogóle. Przez okienko nie podawano jedzenia, dnie i noce były coraz chłodniejsze.

* * *

Ósmego dnia czterdziestoletni włóczęga powiedział do Billy'ego:

– Nie jest jeszcze tak źle. Ja tam potrafię się urządzać wszędzie.

– Naprawdę? – spytał Billy.

Dziewiątego dnia włóczęga umarł. Zdarza się. Jego ostatnie słowa brzmiały:

– Myślisz, że tu jest źle? Tu nie jest jeszcze tak źle.

Ten dziewiąty dzień był pechowy. Tego samego dnia zmarł też człowiek w wagonie poprzedzającym wagon Billy'ego. Był to Roland Weary, który zmarł na skutek gangreny, jaka zaczęła się od pokaleczonych stóp. Zdarza się.

Weary w prawie nieustannej malinie opowiadał w kółko o trzech muszkietierach i czując, że umiera, przekazywał liczne polecenia dla swojej rodziny w Pittsburghu. Nade wszystko jednak pragnął być pomszczony, powtarzał więc ciągle nazwisko człowieka, który go zabił. Wszyscy w wagonie znali je na pamięć.

– Kto mnie zabił? – pytał Weary.

Wszyscy znali odpowiedź, która brzmiała: Billy Pilgrim.

* * *

Posłuchajcie: dziesiątego dnia wieczorem wyciągnięto skobel zamykający drzwi wagonu i otworzono drzwi. Billy Pilgrim wisiał na belce wzmacniającej ścianę wagonu jak na krzyżu, wczepiwszy się sinożółtymi szponami w ramę okienka. Kiedy otworzono drzwi, Billy zaczął kasłać, a kaszląc popuszczał rzadkim łajnem. Było to zgodne z trzecią zasadą dynamiki sir Izaaka Newtona. Zasada ta mówi, że każdemu działaniu towarzyszy równe mu i przeciwnie skierowane przeciwdziałanie.

Zasadę tę wykorzystuje się w technice raketowej.

* * *

Pociąg przybył na bocznice obozu, który został pomyślany jako obóz śmierci dla rosyjskich jeńców wojennych.

Konwojenci zajrzeli do środka i zagruchali coś uspokajająco. Nigdy dotychczas nie mieli do czynienia z Amerykanami, ale niewątpliwie znali się ogólnie rzecz biorąc na tego rodzaju ładunku. Wiedzieli, że jest to zasadniczo płynna masa, której ruchem można kierować za pomocą światła i wabiących dźwięków. Była noc.

* * *

Jedynе światło na dworze pochodziło od pojedynczej żarówki zawieszanej na słupie – wysoko i daleko. Wszędzie panowała cisza i tylko konwojenci gruchali jak gołąbki. I masa popłynęła. Tworząc zagęszczenia w drzwiach wagonów ściekała na peron.

Billy był przedostatnią istotą ludzką, która dotarła do drzwi. Ostatnią był włóczęga. Włóczęga nie mógł popłynąć, nie mógł wylać się z wagonu. On już przeszedł ze stanu ciekłego w stan stały. Zdarza się.

* * *

Billy nie chciał wypaść z wagonu na ziemię. Był święcie przekonany, że stłucze się jak szklanka.

Konwojenci pomogli mu wysiąść, nie przestając gruchać. Postawili go twarzą do pociągu. Jaki malutki był teraz ten pociąg!

Składał się z lokomotywy, węglarki i trzech małych wagonów. Trzeci wagon to był raj na kółkach strażników. I znowu w tym raju stał stół zastawiony do obiadu.

* * *

Przy słupie, na którym wisiała żarówka, piętrzyły się trzy jakby stogi siana. Amerykanów wabiono do tych stogów, które, jak się okazało, były stosami płaszczy zdjętych ze zmarłych jeńców. Zdarza się.

Konwojenci wyrazili zdecydowane życzenie, aby wszyscy Amerykanie, którzy nie mają płaszczy, wzięli sobie po jednym. Płaszcze były sklezione lodem w jedną bryłę, więc konwojenci, posługując się bagnetami, nadziewali jakiś kołnierz albo rękaw, oddzielali płaszcz i wręczali go komuś na oślep. Płaszcze były sztywne i miały kształt dzwonów od leżenia na stosie.

Billy Pilgrim dostał płaszcz tak mały, pognieciony i zmarznięty, że wyglądał nie jak płaszcz, ale jak duży, czarny, trójgraniasty kapelusz. Były na nim jakieś lepkie plamy, jakby rdzawe zacieki albo zaschły dżem truskawkowy. Przymarzło do niego coś, co przypominało zdechłego kota. Był to, okazało się, futrzany kołnierz.

Billy rozejrzał się tępo po płaszczech swoich sąsiadów. Wszystkie miały mosiężne guziki, jakieś blaszki, sznury, numery albo naszywki, orły, gwiazdki czy inne księżyce. Widać było, że to płaszcze wojskowe. Tylko Billy dostał płaszcz z nieboszczyka cywila. Zdarza się.

Potem Billy'ego wraz z resztą zachęcono, aby powlekli się w stronę obozu, mijając po drodze swój lilipuci pociąg. Nie było tam nic tylko tysiące długich, niskich, wąskich, nieoświetlonych baraków.

Gdzieś w oddali rozszczełał się pies. Strach, echo i zimowa cisza sprawiały, że jego głos rozbrzmiewał jak wielki mosiężny gong.

* * *

Billy'ego i pozostałych jeńców wabiono kolejno przez kilka bram, aż wreszcie Billy zobaczył swojego pierwszego Rosjanina. Człowiek ten był zupełnie sam pośród nocy – kupa lachmanów z okrągłą, płaską twarzą, która świeciła jak fosforyzująca tarcza zegarka.

Billy minął go w odległości jarda. Oddzielał ich drut kolczasty. Rosjanin nie zrobił żadnego znaku ani się nie odezwał, tylko zajrzał Billy'emu prosto w duszę ze słodką nadzieją, jakby oczekiwał od niego dobrej nowiny – nowiny, której może nie potrafi zrozumieć, ale która mimo to będzie dobrą nowiną.

* * *

Billy przeżył chwilę zamroczenia, kiedy tak przechodził przez kolejne bramy. Wreszcie wszedł do jakiegoś budynku i wydało mu się, że jest na Tralfamadorii. Wnętrze było jaskrawo oświetlone i wyłożone białymi kafelkami. Znajdował się jednak na Ziemi, w obozowej odwieszalni, przez którą musieli przejść wszyscy nowo przybyli więźniowie.

Billy rozebrał się, tak jak mu kazano. Na Tralfamadorii też tak się zaczęło.

Jakiś Niemiec objął dłonią ramię Billy'ego i spytał swego towarzysza, co to za armia wysyła takich cherlaków na front. Rozglądali się teraz wśród pozostałych Amerykanów, wskazując sobie wielu innych, którzy wyglądali nie lepiej niż Billy.

* * *

Jedno z najlepszych ciał należało do Amerykanina dużo starszego od reszty, nauczyciela szkoły średniej z Indianapolis. Nazywał się Edgar Derby i jechał w innym wagonie niż Billy. Jechał z Rolandem Wearym i trzymał jego głowę na kolanach, kiedy ten umierał. Zdarza się. Derby miał czterdzieści cztery lata. Był tak stary, że miał syna, który służył w piechocie morskiej gdzieś na froncie japońskim.

Derby musiał skorzystać z wysokiej protekcji, aby w tym wieku pójść do wojska. W Indianapolis uczył przedmiotu pod nazwą "Współczesne problemy zachodniej cywilizacji". Był również trenerem drużyny tenisowej i bardzo dbał o swoje ciało.

Syn Derby'ego przeżyje wojnę. Derby nie. Jego dobrze utrzymane ciało podziurawi pluton egzekucyjny w Dreźnie za sześćdziesiąt osiem dni. Zdarza się.

* * *

Billy nie miał najgorszego ciała. Posiadaczem najgorszego ciała był mały złodziej samochodów z Cicero w stanie Illinois. Nazywał się Paul Lazzaro. Miał nie tylko przegniłe kości i zęby, lecz również odrażającą skórę. Był cały pokryty bliznami wielkości dziesięciocentymetrowej monety, gdyż stale cierpiał na czyraki.

Lazzaro również jechał z Rolandem Wearym i dał mu słowo honoru, że znajdzie jakiś sposób, aby Billy Pilgrim zapłacił za jego śmierć. Rozglądał się teraz, usiłując odgadnąć, która z tych nagich istot ludzkich jest Billym.

Nadzy Amerykanie stanęli pod prysznicami wzdłuż wyłożonej kafelkami ściany. Nie było żadnych kurków. Mogli tylko czekać cierpliwie na to, co się wydarzy. Penisy skurczyły im się z zimna. Czynności rozrodcze nie były przewidziane w programie wieczoru.

* * *

Niewidzialna ręka odkręciła główny kran. Z sitek trysnął parzący deszcz. Był to płomień, który nie ogrzewał. Bębnił po skórze Billy'ego nie topiąc zmarzniętego na lód szpiku jego długich kości.

Tymczasem ubrania Amerykanów przechodziły przez gaz trujący. Wszy, pchły i bakterie ginęły całymi miliardami. Zdarza się.

Nowy przeskok w czasie przeniósł Billy'ego w dzieciństwo. Był niemowlęciem wykąpanym właśnie przez matkę. Teraz owinęła go w ręcznik i przeniosła do różowego, pełnego słońca pokoju. Odwinęła go, położyła na łaskoczącym ręczniku, posypała pudrem między nóżkami, bawiła się z nim, poklepując go po małym, grubym brzuszku, który pod jej dłonią wydawał mlaskające dźwięki.

Billy śmiał się i gaworzył.

* * *

A potem znowu był dorosły, był optykiem i grał w golfa w upalne niedzielne przedpołudnie. Nie chodził już do kościoła. Grał z trzema innymi optykami. Siedmioma uderzeniami zbliżył się do dołka i teraz znowu była jego kolej.

Wycelował bezbłędnie z odległości ośmiu stóp. Schylił się, aby wyjąć piłkę z dołka, i w tym momencie słońce zaszło za chmurę. Billy'ego na chwilę zamroczyło. Kiedy się ocknął, nie znajdował się już na polu golfowym. Był przywiązany do żółtej kanapy w białej kajucie na pokładzie latającego talerza, który zmierzał ku Tralfamadorii.

* * *

– Gdzie ja jestem? – spytał budząc się Billy Pilgrim.

– Jest pan uwięziony w innej bryłce bursztynu, panie Pilgrim. Jesteśmy tam, gdzie musimy być w danej chwili, to znaczy w odległości trzystu milionów mil od Ziemi, i zbliżamy się do fałdy czasu, która skróci naszą podróż na Tralfamadorię z kilku stuleci do kilku godzin.

– Jak... ja się tu znalazłem?

– To mógłby panu wyjaśnić tylko inny Ziemianin. Ziemianie są wielkimi specjalistami od wyjaśniania. Wyjaśniają, dlaczego dane wydarzenie jest tak a nie inaczej skonstruowane, tłumaczą, w jaki sposób można pewne sytuacje stworzyć, a innych uniknąć. Ja jestem Tralfamadorczykiem i patrzę na czas tak, jak wy moglibyście patrzeć na łańcuch Gór Skalistych. Czas to jest czas i nie ulega zmianie. Żadne ostrzeżenia ani wyjaśnienia nie mają wpływu na czas. On po prostu jest. Jeśli przyjrzy się pan poszczególnym chwilom, to przekona się pan, że – jak już wspomniałem – wszyscy jesteśmy owadami w bursztynie.

– Mówi pan tak, jakby pan nie wierzył w wolną wolę – powiedział Billy Pilgrim.

– Gdyby nie moje długoletnie studia nad Ziemianami – odpowiedział Tralfamadorczyk – nie wiedziałbym w ogóle, co to znaczy "wolna wola". Byłem na trzydziestu jeden zamieszkanym planetach i studiowałem materiały dotyczące stu innych. Ziemia jest jedyną planetą, na której wspomina się o czymś takim jak wolna wola.

5

Billy Pilgrim mówi, że mieszkańcom Tralfamadorii Wszechświat nie przedstawia się w postaci mnóstwa świecących punktów na niebie. Oni widzą wszystkie miejsca, w których każda z gwiazd była i będzie, tak więc dla nich niebo jest wypełnione jakby rozrzedzonym, świetlistym makaronem. Również ludzie nie są dla Tralfamadorczyków istotami dwunogimi. Widzą oni ludzi jako ogromne krocionogi, z nóżkami niemowlęcia na jednym końcu i nogami starca na drugim końcu, jak powiada Billy Pilgrim.

* * *

Billy poprosił o coś do czytania w drodze na Tralfamadorię. Ci, którzy go porwali, wieźli mikrofilmy pięciu milionów ziemskich książek, ale nie mogli wyświetlić ich w kabinie Billy'ego. Mieli tylko jedną normalną książkę w języku angielskim, którą chcieli umieścić w tralfamadoriańskim muzeum. Była to *Dolina lalek* Jacqueline Susann. Billy przeczytał ją i uznał, że miejscami jest całkiem niezła. Jej bohaterowie niewątpliwie bywali raz na wozie, raz pod wozem, ale Billy nie chciał czytać w kółko tylko o zmianach pozycji, poprosił więc o coś lepszego.

– Mamy powieści tralfamadoriańskie, ale obawiam się, że byłyby dla pana niezrozumiałe – odezwał się głośnik na ścianie.

– Chciałbym zobaczyć choć jedną z nich.

Przysłano mu kilka. Były bardzo cienkie. Tuzin takich książeczek musiałby się złożyć na jedną *Dolinę lalek* z jej raz na wozie, raz pod wozem, raz na wozie, raz pod wozem.

* * *

Billy oczywiście nie umiał czytać po tralfamadoriańsku, ale widział przynajmniej, jak wygląda wnętrze takiej książki – krótkie akapity oddzielone gwiazdkami. Billy wspomniał, że te grupki symboli przypominają mu telegramy.

– Słusznie – powiedział głos.

– Więc to są rzeczywiście telegramy?

– Na Tralfamadorii nie używa się telegramów, ale w zasadzie ma pan rację: każda taka grupka symboli to krótka, pilna informacja opisująca jakąś sytuację czy wydarzenie. My, Tralfamadorczycy, czytamy je wszystkie naraz, a nie jedną po drugiej. Wiadomości te nie mają ze sobą żadnego szczególnego związku, ale autor dobrał je starannie w ten sposób, aby widziane jednocześnie składały się na obraz piękny, zaskakujący i głęboki. Nie ma początku, środka ani końca, nie ma sensacyjnej fabuły, morału, przyczyn ani skutków. My cenimy w naszych książkach głębię, jaką daje jednoczesne oglądanie wielu pięknych momentów życia.

* * *

W chwilę później latający talerz pokonywał barierę czasu i Billy'ego odrzuciło z powrotem do

dzieciństwa. Miał dwanaście lat i trzął się ze strachu stojąc wraz z rodzicami w Miejscu Jasnego Anioła na skraju Wielkiego Kanionu. Mała ludzka rodzina patrzyła na dno Kanionu, które rozciągało się o milę niżej.

– Tak – powiedział ojciec Billy'ego odważnie strącając butem kamyczek w przepaść – otóż i on.

Przyjechali do tego słynnego miejsca samochodem. Po drodze siedem razy łapali gumę.

– Warto było przyjechać – powiedziała matka Billy'ego z zachwytem. – O Boże, naprawdę warto było.

Billy nienawidził Kanionu. Miał uczucie, że zaraz tam wpadnie. Matka dotknęła jego ramienia i wtedy popuścił w spodnie.

* * *

Obok nich stali inni turyści, również zaglądając do Kanionu, i przewodnik, który miał odpowiadać na pytania. Jakiś Francuz, który przyjechał tutaj aż z Francji, spytał go łamaną angielszczyzną, czy wielu samobójców skacze stąd w przepaść.

– Owszem – odpowiedział przewodnik. – Średnio trzy osoby rocznie.

Zdarza się.

* * *

Billy zrobił bardzo krótką podróż w czasie, maleńki, zaledwie dziesięciodniowy przeskok, tak że nadal miał dwanaście lat i nadal zwiedzał z rodziną Dzikie Zachód. Byli teraz w grotach Carlsbad i Billy modlił się gorąco, aby Bóg pozwolił mu wydostać się stąd, zanim strop spadnie im na głowy.

Przewodnik opowiadał, że jaskinie odkrył pewien cowboy, kiedy zobaczył wielką chmurę nietoperzy wylatujących z dziury w ziemi. Potem powiedział, że zgasi wszystkie światła i że większość obecnych zapewne po raz pierwszy w życiu znajdzie się w doskonałych ciemnościach.

Światła zgasły. Billy nie wiedział nawet, czy jeszcze żyje. Nagle w powietrzu z jego lewej strony ukazał się jakiś upiór. Upiór składał się z cyferek. To jego ojciec wyjął swój kieszonkowy zegarek z fosforyzującą tarczą.

* * *

Billy przeskoczył z całkowitej ciemności do całkowitej jasności i znalazł się znowu na wojnie. Był z powrotem w odwszalni. Przynic się skończył. Niewidzialna ręka zakręciła kurek.

Kiedy Billy dostał z powrotem swoje ubranie, nie było ono ani odrobinę czystsze, ale wszystkie gnieźdzące się w nim drobne zwierzątka wyginęły. Zdarza się. Jego nowy płaszcz odtajał i nie sterczał już sztywno. Był o wiele za mały na Billy'ego. Miał futrzany kołnierz i jedwabną szkarłatną podszewkę. Został widocznie uszyty na jakiegoś impresaria o posturze małego katarzyniarza. Poza tym był cały podziurawiony kulami.

Billy Pilgrim ubrał się i włożył ten swój za mały płaszcz, który trzasnął na plecach i w ramionach, tak że rękawy oderwały się całkowicie. Z płaszcza zrobiła się więc kamizelka z futrzanym kołnierzem. Płaszcz miał być wcięty w pasie, ale Billy'emu wcięcie wypadło pod pachami. Niemcy uznali Billy'ego za najśmieszniejszą rzecz, jaką widzieli podczas całej drugiej wojny światowej. Zarykiwali się ze śmiechu.

* * *

A potem kazano jeńcom ustawić się piątkami i Billy był prawoskrzydłowym. Wyszli na dwór i znowu przedelfilowali przez kolejne bramy. Widzieli teraz więcej zagłodzonych Rosjan z twarzami jak fosforyzujące cyferblaty. Amerykanie wracali nieco bardziej ożywieni. Polanie gorącą wodą poprawiło im nastrój. Wreszcie przyszedli do baraku, gdzie jednoręki i jednooki kapral wpisał nazwisko i numer ewidencyjny każdego z nich do wielkiej czerwonej księgi. W ten sposób zostali prawnie zaliczeni do grona żyjących. Przed wpisaniem ich nazwisk i numerów do tej księgi byli uznani za zaginionych na polu bitwy, czyli prawdopodobnie zabitych.

* * *

Kiedy Amerykanie stali na dworze, w ostatnim szeregu wybuchło zamieszanie. Jeden z jeńców mruknął coś, co nie spodobało się konwojentowi. Konwojent, który znał angielski, wyciągnął Amerykanina z szeregów i powalił go na ziemię.

Amerykanin zgłupiał ze szczeniem. Podniósł się niepewnie, spluwając krwią i zębami. Nie miał na myśli nic złego, poza tym widocznie nie przyszło mu do głowy, że konwojent może usłyszeć i zrozumieć.

– Dlaczego ja? – spytał konwojenta.

Konwojent wepchnął go z powrotem do szeregu.

– Dlaczego ty? A dlaczego kto inny? – powiedział.

* * *

Kiedy Billy Pilgrim został wpisany do obozowej księgi, otrzymał numer i metalową tabliczkę, na której ten numer odbito. Zrobił to niewolnik wywieziony z Polski. Ten człowiek już nie żyje. Zdarza się.

Billy'emu kazano powiesić ten numer na szyi razem z jego amerykańskimi numerkami, co też zrobił. Numerki były przedzielone dziurkowaną linią jak herbatnik, tak że silny mężczyzna mógł go przełamać na pół gołymi rękami. Gdyby Billy umarł, co nie nastąpiło, połowa numerka miała identyfikować jego ciało, a druga połowa grób.

Kiedy biedny Edgar Derby, nauczyciel szkoły średniej, został później rozstrzelany w Dreźnie, doktor stwierdził zgon i przełamał jego numerki. Zdarza się.

* * *

Przepisowo zaksięgowani i oznakowani Amerykanie musieli znowu przejść przez szereg bram. Za dwa dni ich rodziny dowiedzą się przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, że są żywi.

Obok Billy'ego szedł mały Paul Lazzaro, który obiecał pomścić Rolanda Weary'ego. Lazzaro nie myślał teraz o zemście. Myślał jedynie o okropnym bólu brzucha. Jego żołądek skurczył się do rozmiarów włoskiego orzecha. Ten wyschnięty skurczony woreczek bolał niczym czyrak.

Idący obok Lazzara biedny Edgar Derby, któremu już niewiele życia zostało, włożył swoje amerykańskie i niemieckie numerki na ubranie, niczym naszyjnik. Miał nadzieję, że ze względu na wiek i doświadczenie zostanie kapitanem i dowódcą kompanii. Tymczasem znajdował się w środku nocy na granicy czesko-niemieckiej.

– *Halt!* – zawołał konwojent.

Amerykanie zatrzymali się i stali bez ruchu na mrozie. Baraki, wśród których się znajdowali, wyglądały tak samo jak tysiące innych mijanych tego dnia baraków. Była tylko jedna różnica: te baraki miały blaszane kominy, z których buchały snopy iskier.

Konwojent zapukał do drzwi.

Otworzono je od wewnątrz. Ze środka wyrwało się światło, uciekając na wolność z szybkością stu osiemdziesięciu sześciu tysięcy mil na sekundę. Wyszło też pięćdziesięciu Anglików w średnim wieku, śpiewając "Hej-ho, hej-ho, banda jest w komplecie" z operetki *Piraci z Penzance*.

* * *

Ci dziarscy i krzepcy śpiewacy byli jednymi z pierwszych anglosaskich jeńców wziętych do niewoli w drugiej wojnie światowej. Teraz śpiewali na cześć prawie ostatnich. Od czterech lat, albo dłużej, nie widzieli kobiety, dziecka ani ptaka. Nawet wróble omijały obóz z daleka.

Wszyscy Anglicy byli oficerami. Każdy z nich co najmniej raz próbował ucieczki z innego obozu. Teraz znaleźli się tutaj, otoczeni morzem umierających Rosjan.

Mogli robić podkopy, ile dusza zapagnie. I tak zawsze wyszliby na powierzchnię w obrębie drutów kolczastych, gdzie milcząco powitaliby ich na pół żywi Rosjanie, którzy nie znali angielskiego, nie mieli ani żywności, ani użytecznych informacji, ani własnych projektów ucieczki. Mogli sobie, ile dusza zapagnie, planować ukrycie się w ciężarówce czy kradzież samochodu, gdyż żadne samochody nie wjeżdżały na teren ich obozu. Mogli symulować chorobę, jeśli chcieli, ale to też nie zapewniało im wyjścia na zewnątrz. Jedyne szpital dla jeńców to była salka na sześć łóżek właśnie na terenie obozu Brytyjczyków.

* * *

Anglicy byli czysti, pełni wigoru, schludni i silni. Śpiewali diabło dobrze. Ostatecznie ćwiczyli co wieczór od lat.

Również od lat podnosili ciężary i podciągali się na drążku. Brzuchy mieli jak tarki do prania. Ich łydki i bicepsy były jak kule armatnie. Wszyscy grali po mistrzowsku w warcaby, szachy, w brydża, pokera i domino, w bilard i w ping-ponga, po mistrzowsku rozwiązywali też anagramy i krzyżówki.

Pod względem zaopatrzenia w żywność należeli do najbogatszych ludzi w Europie. W rezultacie arytmetycznego błędu na początku wojny, kiedy do jeńców docierały jeszcze paczki, Czerwony Krzyż wysyłał im co miesiąc pięćset paczek zamiast pięćdziesięciu. Anglicy gromadzili je tak przemyślnie, że teraz, pod koniec wojny, mieli trzy tony cukru, tonę kawy, tysiąc sto funtów herbaty, dwie tony mąki, tonę konserw mięsnych, tysiąc dwieście funtów masła w puszkach, tysiąc sześćset funtów sera, osiemset funtów mleka w proszku i dwie tony pomarańczowej marmolady.

Trzymali to wszystko w pomieszczeniu bez okien. Dla ochrony przed szczurami wybili je całe blachą z puszek po konserwach.

* * *

Niemcy odnosili się do nich z uwielbieniem, bo uważali, że są właśnie tacy, jacy powinni być Anglicy. W ich wykonaniu wojna wyglądała stylowo, sensownie i zabawnie. Dlatego też Niemcy pozwalali im zajmować cztery baraki, mimo że z powodzeniem mogli pomieścić się w jednym. Poza tym w zamian za kawę, czekoladę i tytoń dawali im farbę, drzewo, gwoździe i materiał na urządzenie wnętrza.

Anglicy dowiedzieli się na dwanaście godzin wcześniej, że przybywają Amerykanie. Nigdy dotychczas nie mieli okazji podejmować gości, więc rzucili się do pracy jak szaleńcy. Czyścili, zmiotali, piekli, gotowali, napychali słomą sienniki, nakrywali stoły, przygotowywali dla każdego z gości małe podarki.

Teraz wśród zimowej nocy witali gości śpiewem. Ich odzież przesiąkła zapachami uczt, którą przygotowywali. Ubrani byli trochę jak do bitwy, a trochę jak na tenisa albo krokietu. Byli tak podnieceni swoją gościnnością i całym tym bogactwem, jakie czekało w środku, że nie przyjrzeni się dobrze gościom podczas powitania. Wydawało im się, że śpiewają dla braci oficerów przybyłych prosto z ognia bitwy.

Anglicy popychali przyjaźnie Amerykanów w stronę drzwi baraku, wypełniając noc gwarem męskiej paplaniny i przyjaznej fanfaronady. Nazywali Amerykanów Jankesami, mówili "byczo jest", obiecywali, że "Jerry już długo nie pociągnie" i tak dalej.

Billy Pilgrim zastanawiał się półprzytomnie, kto to jest Jerry.

* * *

Znajdował się teraz w baraku obok żelaznego pieca kuchennego płonącego jaskrawą czerwienią. Stało na nim kilkanaście czajników. Niektóre z gwizdkami. Stał tam też kocioł pełen złocistej zupy. I ta zupa była gęsta. Na jej powierzchni z majestatyczną powolnością wypływały prehistoryczne bąble, od których Billy Pilgrim nie mógł oderwać wzroku.

Stały tam też długie stoły zastawione do bankietu. Przy każdym miejscu znajdował się talerz z puszki po mleku w proszku. Mniejsza puszka to była filizanka. Wyższa i węższa puszka zastępowała szklankę. W każdej szklance było gorące mleko.

Przy każdym nakryciu leżała maszynka do golenia, ręcznik, paczka żyletek, tabliczka czekolady, dwa cygara, mydło, dziesięć papierosów, pudełko zapalek, ołówki i świeca.

Jedynie świece i mydło były produkcji niemieckiej. Łączyło je jakieś upiorne, opalizujące podobieństwo. Brytyjczycy nie mogli tego wiedzieć, ale świece i mydło były produkowane z tłuszczu

wytopionego z Żydów, Cyganów, pederastów, komunistów i innych wrogów Rzeszy.

Zdarza się.

* * *

Bankiet odbywał się przy świecach. Na stołach piętrzyły się stosy świeżo upieczonego białego chleba, bryły masła, gary marmolady. Stały półmiski krojonej wołowiny z puszek. Zupa, jajecznica i tort z marmolady miały być dopiero podane.

Zaś na drugim końcu baraku Billy ujrzał łuk z błękitnymi draperiami, olbrzymi zegar, dwa złote trony oraz wiadro i miotłę. W tej dekoracji miała się odbyć część artystyczna wieczoru, muzyczna wersja *Kopciuszka*, najpopularniejszej opowieści wszystkich czasów.

* * *

Billy Pilgrim zapalił się, gdyż stanął zbyt blisko rozżarzonego piecyka. Zajął się skraj jego za małego płaszcza. Był to spokojny, cierpliwy ogień – jakby tliło się próchno.

Billy zastanawiał się, czy jest tu gdzieś telefon. Chciał zadzwonić do matki, powiedzieć jej, że jest cały i zdrowy.

* * *

Zapanowała cisza i zdumieni Anglicy przyglądali się niechlujnym istotom, które tak ochoczo wciągali do środka. Jeden z Anglików spostrzegł, że Billy się pali.

– Palisz się, chłopie! – zawołał. Odciągnął Billy'ego od kuchni i uderzeniami dłoni ugasił ogień.

Kiedy Billy nie zareagował na to ani słowem, Anglik spytał:

– Czy możesz mówić? Słyszysz mnie? Billy kiwnął głową.

Anglik, przepełniony litością, dotknął go na próbę w kilku miejscach.

– Wielki Boże, chłopie, co oni z tobą zrobili? To nie człowiek, to połamany latawiec. Czy naprawdę jesteś Amerykaninem? – spytał Anglik.

– Uhum – odpowiedział Billy.

– Jaki masz stopień?

– Szeregowy.

– Gdzie się podziały twoje buty, chłopie?

– Nie pamiętam.

– Włożyłeś ten płaszcz dla kawału?

– Słucham?

– Gdzie wytrzasnąłeś coś takiego? Billy musiał się nad tym zastanowić.

– Dali mnie to – powiedział wreszcie.

– Kto, Jerry?

– Jaki Jerry?

– Dostałeś to od Niemców?

– Tak.

Billy'emu nie podobały się te pytania. Bardzo go męczyły.

– Och, Jankesie, Jankesie – powiedział Anglik – przecież ten płaszcz to zniewaga.

– Słucham?

– Jerry zrobił to specjalnie, żeby cię poniżyć. Nie wolno do tego dopuszczać.

Billy Pilgrim zemdlał.

Ocknął się na krześle zwróconym ku scenie. Był już po kolacji i teraz oglądał *Kopciuszka*. Jakaś część jego świadomości bawiła się widocznie już od dłuższego czasu, gdyż ryczał ze śmiechu.

Role kobiece grali oczywiście mężczyźni. Zegar właśnie wybił północ i Kopciuszek lamentował:

– *O Boże Wielki, już bije dwunasta.*

Zasrane moje szczęście, biednaż ja niewiasta!

Billy'ego ten wierszyk tak rozbawił, że dostał ataku śmiechu. Rehcującego przeniesiono go do innego baraku, w którym mieściła się izba chorych. Stało tam sześć łóżek. Billy był jedynym pacjentem.

* * *

Położono go do łóżka, związano i dano zastrzyk morfiny. Jeden z Amerykanów zgodził się przy nim czuwać. Tym ochotnikiem był Edgar Derby, nauczyciel szkoły średniej, którego później rozstrzelają w Dreźnie. Zdarza się.

Derby usiadł na taborecie o trzech nogach. Dano mu do czytania książkę. Było to *Szkarłatne godło odwagi* Stephena Crane'a. Derby znał tę powieść. Teraz czytał ją po raz drugi, Billy Pilgrim zaś w tym czasie wkraczał do morfinowego raj.

* * *

Pod wpływem morfiny przyśniły się Billy'emu żyrafy w ogrodzie. Żyrafy spacerowały po żwirowanych alejkach i czasem przystawały, aby uszczknąć ze szczytu drzewa gruszkę. Billy też był żyrafą. Jadł gruszkę. Była twarda i stawiała opór zębom, ale wreszcie pękła z soczystym protestem.

Żyrafy przyjęły Billy'ego do swego grona, jako nieszkodliwe stworzenie, równie nedorzecznie wyspecjalizowane jak i one. Dwie wzięły go pomiędzy siebie, przytuliły się do niego. Miały długie, mięsiste górne wargi, które mogły zwijać jak kielichy kwiatów. Całowały go tymi wargami. Były to żyrafy rodzaju żeńskiego, kremowe i cytrynowo-żółte. Miały różki jak klamki do drzwi. Te klamki były pokryte aksamitem.

Dlaczego?

* * *

Nad ogrodem żyraf zapadła noc i Billy Pilgrim początkowo spał bez snów, a potem przeniósł się w

czasie. Obudził się z głową pod kocem na oddziale dla nerwowo chorych w szpitalu dla weteranów wojennych nad jeziorem Placid w stanie Nowy Jork. Było to wiosną 1948 roku, w trzy lata po wojnie.

Billy wysunął głowę spod kołdry. Okna sali były otwarte. Na dworze ćwierkały ptaki. "It-it?" pytał jeden z nich. Słońce stało wysoko. Na oddziale było jeszcze dwudziestu dziewięciu pacjentów, ale wszyscy wyszli teraz na dwór, korzystając z pięknej pogody. Pacjenci tego oddziału poruszali się swobodnie, mogli nawet jeździć do domu, jeśli mieli ochotę. Zgłosili się tu dobrowolnie, zaniepokojeni stanem spraw na świecie.

Billy oddał się w ręce lekarzy w połowie swego ostatniego roku studiów w Szkole Optyki w Ilium. Nikt nie podejrzewał, że jest z nim niedobrze. Wszyscy uważali, że doskonale wygląda i nic mu nie można zarzucić. Teraz był w szpitalu i lekarze przyznali mu rację: rzeczywiście było z nim niedobrze.

Lekarze nie sądzili, by miało to coś wspólnego z wojną. Uważali, że Billy dostaje fioła, bo jak był małym chłopcem, ojciec wrzucił go na głęboką wodę w basenie Ymki, a potem zawiózł go na skraj Wielkiego Kanionu.

Sąsiednie łóżko zajmował były kapitan piechoty nazwiskiem Eliot Rosewater. Rosewater miał dosyć nieustającego pijaństwa.

To właśnie on zapoznał Billy'ego z literaturą fantastycznonaukową, a zwłaszcza z pisarstwem Kilgore'a Trouta. Rosewater miał pod łóżkiem nieprawdopodobną kolekcję książek fantastycznonaukowych w kieszonkowych wydaniach. Sprowadził je do szpitala w ogromnym kufrze. Te jego ukochane, postrzępione książki zdążyły już przesiąknąć szpitalnym zapachem nie zmienianych od miesiąca pidzam i duszonej baraniny.

* * *

Kilgore Trout stał się wkrótce ulubionym współczesnym autorem Billy'ego, zaś fantastyka jedynym rodzajem literatury, jaki mógł czytać.

Rosewater był dwakroć inteligentniejszy, ale i on, i Billy w podobny sposób rozwiązywali podobne problemy. Dla nich obu życie straciło sens, częściowo przynajmniej z powodu tego, co zobaczyli na wojnie. Rosewater na przykład zastrzelił czternastoletniego strażaka, biorąc go pomyłkowo za niemieckiego żołnierza. Zdarza się. Billy zaś oglądał największą masakrę w historii Europy, czyli bombardowanie Drezna. Też się zdarza.

Teraz obaj usiłowali na nowo odnaleźć siebie i swoje miejsce w świecie. Fantastyka naukowa była im w tym wielką pomocą.

* * *

Rosewater powiedział kiedyś Billy'emu ciekawą rzecz na temat książki, która nie była fantastyką naukową. Powiedział, że wszystko, czego można się dowiedzieć o życiu, jest w *Braciach Karamazow* Fiodora Dostojewskiego.

* * *

– Ale to już dziś nie wystarczy – powiedział Rosewater.

Innym razem Billy usłyszał, jak Rosewater mówi do psychiatry:

– Myślę, że musicie teraz wyjść z jakimiś pięknymi nowymi kłamstwami, bo inaczej ludzie po prostu stracą wszelką chęć do życia.

* * *

Na nocnej szafce Billy'ego stała martwa natura: dwie pigułki, popielniczka z trzema umazanymi pomadką niedopałkami, z których jeden jeszcze dymił, i szklanka wody sodowej. Woda w szklance była bez gazu. Zdarza się. Powietrze usiłowało się z niej wydostać. Bąbelki przywarły do ścianek nie mając siły wspiąć się ku górze.

Papierosy należały do matki Billy'ego, która bez przerwy paliła. Wyszła poszukać damskiej toalety mieszczącej się w pobliżu oddziału dla byłych członkiń kobiecych wojskowych służb pomocniczych, które dostały kręcka. Powinna lada chwila wrócić.

Billy z powrotem naciągnął kołdrę na głowę. Zawsze chował głowę, kiedy przychodziła matka. Podczas jej odwiedzin jego stan zawsze się pogarszał. Nie dlatego, żeby cuchnęło jej z ust, żeby miała odrażający wygląd czy nieznośny charakter. Nie, była zupełnie miłą, stereotypową, rudowłosą kobietą rasy białej ze średnim wykształceniem.

Jej obecność źle wpływała na Billy'ego wyłącznie dlatego, że była jego matką. Było mu wstyd, czuł się słaby i niewdzięczny, ponieważ matka zadała sobie tyle trudu, żeby mu dać życie i utrzymać go przy życiu, a jemu wcale się to życie nie podobało.

* * *

Billy słyszał, jak Eliot Rosewater wraca i kładzie się. Sprężyny jego łóżka miały na ten temat bardzo dużo do powiedzenia. Rosewater był zwalistym, choć niezbyt silnym mężczyzną. Wyglądał, jakby był zrobiony z kitu.

Potem wróciła z toalety matka Billy'ego i usiadła na krześle między łózkami Billy'ego i Rosewatera. Rosewater powitał ją głosem melodyjnym i ciepłym, pytając o zdrowie. Robił wrażenie zachwyconego, kiedy usłyszał, że pani Pilgrim czuje się dobrze. Przeprowadzał eksperyment, który polegał na okazywaniu szczerzej sympatii każdemu spotkanemu człowiekowi. Uważał, że może to uczynić świat nieco przyjemniejszym miejscem zamieszkania. Zwracał się do matki Billy'ego per "kochana pani". Eksperymentował ze zwracaniem się do wszystkich per "kochany".

– Któregoś dnia – zapewniała Rosewatera matka Billy'ego – przyjdę tutaj i Billy wysunie głowę spod kołdry, i wie pan, co powie?

– Cóż on takiego powie, kochana pani Pilgrim?

– Powie: "Jak się masz, mammo?", i uśmiechnie się. Powie: "Cieszę się, że cię widzę, mammo. Jak się czujesz?"

– Może dzisiaj właśnie będzie taki dzień.

– Modłę się o to co wieczór.

- To bardzo dobrze.
- Ludzie byliby zdziwieni, gdyby dowiedzieli się, jak dużo zawdzięczamy modlitwom.
- Święte słowa, kochana pani.
- Czy pańska matka często pana odwiedza?
- Moja matka nie żyje – odpowiedział Rosewater. Zdarza się.
- Bardzo mi przykro.
- Miała za to szczęśliwe życie.
- To jest pocieszenie.
- Ojciec Billy'ego też nie żyje, wie pan? – powiedziała matka Billy'ego. Zdarza się.
- Chłopiec powinien mieć ojca.

I tak to szło – nie kończący się dialog pomiędzy niezbyt rozgarniętą dewotką i tym dużym człowiekiem, po którego opustoszałym wnętrzu błąkały się echa miłości.

* * *

- Był najlepszym studentem na roku, kiedy to się zdarzyło – powiedziała matka Billy'ego.
- Może się przepracował – powiedział Rosewater. Trzymał w ręku książkę, którą chciał czytać, był jednak zbyt dobrze wychowany, aby czytać w trakcie rozmowy, mimo że matce Billy'ego nietrudno było dawać zadowolające odpowiedzi. Książka nosiła tytuł *Maniacy w czwartym wymiarze* i jej autorem był Kilgore Trout. Była to historia o ludziach, których schorzenia umysłowe nie dają się uleczyć, ponieważ ich przyczyny leżą w czwartym wymiarze i trójwymiarowi ziemscy lekarze nie potrafią ich sobie nawet wyobrazić.

Rosewaterowi bardzo przypadło do gustu twierdzenie Kilgore'a Trouta, że wampiry, wilkołaki, chochliki, anioły i tak dalej istnieją naprawdę, ale w czwartym wymiarze. Podobnie, twierdził Trout, jak ulubiony poeta Rosewatera William Blake. Podobnie jak niebo i piekło.

* * *

- Jest zaręczony z bardzo bogatą panną – powiedziała matka Billy'ego.
- To dobrze – odpowiedział Rosewater. – Pieniądze mogą być czasem wielką pociechą.
- Tak, to prawda.
- Tak, tak...
- To wcale nie takie zabawne, kiedy trzeba się liczyć z każdym groszem.
- Tak, człowiek powinien mieć trochę swobody.
- Jej ojciec jest właścicielem szkoły optycznej, w której Billy studiował. Posiada również sześć sklepów na terenie naszego stanu. Ma też własny samolot i willę nad jeziorem George.
- To bardzo piękne jezioro.

* * *

Billy zasnął z głową pod kołdrą. Kiedy się obudził, leżał przywiązany do łóżka w obozowej izbie

chorych. Otworzył jedno oko i zobaczył biednego starego Edgara Derby'ego czytającego przy blasku świecy *Szkarłatne godło odwagi*.

Billy zamknął oko i przypomniał sobie scenę z przyszłości: biednego starego Edgara Derby'ego przed plutonem egzekucyjnym w ruinach Drezna. Pluton składał się zaledwie z czterech ludzi. Billy słyszał, że jeden z żołnierzy w plutonie egzekucyjnym dostaje zwyczajowo karabin załadowany ślepym nabojem, i pomyślał sobie, że w tak małym plutonie egzekucyjnym i po tylu latach wojny na pewno nikomu nie dano ślepego naboju.

* * *

Najstarszy stopniem Anglik przyszedł sprawdzić, co słyhać z Billym. Był to pułkownik piechoty wzięty do niewoli pod Dunkierką. To on dał Billy'emu morfinę. W obozie nie było żadnego lekarza, leczenie spadło więc na jego barki.

– Jak tam nasz pacjent? – spytał Derby'ego.

– Nieobecny duchem.

– Ale nie umarł jeszcze?

– Nie.

– Jakie to przyjemne: nic nie czuć, a mimo to cieszyć się wszelkimi przywilejami żywego człowieka. Derby dopiero teraz stanął ponuro na baczność.

– Nie, nie, proszę siedzieć. W sytuacji, kiedy na jednego oficera przypada tylko dwóch szeregowych i wszyscy oni są chorzy, myślę, że możemy obyć się bez tych zwyczajowych ceremonii.

Derby stał nadal.

– Wyglądacie na starszego niż reszta – zauważył pułkownik.

Derby wyjaśnił, że ma czterdzieści pięć lat, był więc o dwa lata starszy od pułkownika. Pułkownik powiedział, że wszyscy pozostali Amerykanie już się ogolili, że tylko Billy i Derby mają jeszcze brody.

– Wiecie – powiedział jeszcze pułkownik – my tutaj musieliśmy wyobrazać sobie wojnę i wydawało nam się zawsze, że udział w niej biorą dojrzały mężczyźni, tacy jak my. Zapomnieliśmy, że wojny toczą dzieci. Kiedy ujrzałem te świeżo ogolone twarze, przeżyłem szok. "Mój Boże! – pomyślałem sobie – przecież to istna kruczata dzieci."

Pułkownik spytał Derby'ego, jak trafił do niewoli, i Derby opowiedział o tym, jak znalazł się wraz z setką przestraszonych żołnierzy w małym zagajniku. Bitwa toczyła się od pięciu dni. Żołnierze zostali zapędzeni do lasu przez czołgi.

Derby opisał nieprawdopodobną sztuczną pogodę, jaką Ziemianie potrafią czasem zgotować dla innych Ziemian, kiedy nie chcą, żeby ci inni Ziemianie mieszkali dłużej na Ziemi. Pociski wybuchały w koronach drzew z przeraźliwym hukiem, zasypując ich deszczem noży, igieł i żyłek. Poniżej przeszywały lasek małe grudki ołowiu w stalowych koszulkach, pędząc z szybkością znacznie przewyższającą prędkość dźwięku.

Było wielu rannych i zabitych. Zdarza się.

Potem ostrzał ustał i ukryty Niemiec z megafonem powiedział Amerykanom, żeby złożyli broń i wyszli z lasu z rękami na karku, gdyż w przeciwnym razie wznowią ostrzał i nie przerwą go, dopóki w lasu pozostanie choć jedna żywa dusza.

Amerykanie złożyli więc broń i wyszli z lasu z rękami na karku, gdyż chcieli jeszcze pożyć, jeśli to

tylko możliwe.

* * *

Billy przeniósł się w czasie z powrotem do szpitala dla weteranów wojennych. Miał głowę pod kołdrą. Na zewnątrz panowała cisza.

– Czy moja matka poszła? – spytał Billy.

– Tak.

Billy zerknął spod kołdry. Na krześle dla odwiedzających siedziała teraz jego narzeczoną. Nazywała się Walencja Merble. Była córką właściciela Szkoły Optyki w Ilium. Była bogata. I była zwalista jak stodoła, gdyż nie mogła przestać jeść. Teraz też jadła batonik pod nazwą "Trzej Muszkieterowie". Miała trójogniskowe okulary w wymyślnej oprawce wysadzanej sztucznymi diamentami. Ich błyskom odpowiadał echem błysk prawdziwego brylantu w zaręczynowym pierścionku. Brylant ten został ubezpieczony na sumę tysiąca ośmiuset dolarów. Billy znalazł go w Niemczech. Był to jego łup wojenny.

Billy wcale nie chciał żenić się z brzydką Walencją. Była jednym z objawów jego choroby. Wiedział, że traci zmysły, kiedy usłyszał, jak się jej oświadcza i błaga, aby przyjęła pierścionek z brylantem i została jego towarzyszką do końca życia.

* * *

– Jak się masz? – pozdrowił ją Billy, a zapytany, czy chce cukierka, odpowiedział: – Nie, dziękuję.

Potem spytała go, jak się czuje, na co powiedział:

– Dziękuję, znacznie lepiej.

Zapewniała, że w Szkole Optyki wszyscy martwią się o niego i mają nadzieję, że wkrótce wyzdrowieje, na co Billy odrzekł:

– Jak ich zobaczysz, pozdrów ich ode mnie.

Obiecała, że pozdrowi.

* * *

Potem spytała, czy chciałby, żeby mu coś przynieść do szpitala.

– Nie – powiedział. – Mam wszystko, czego mi potrzeba.

– Może jakieś książki? – spytała Walencja.

– Leżę obok jednej z największych prywatnych bibliotek świata – odpowiedział Billy, mając na myśli zbiory fantastyki naukowej Eliota Rosewatera.

Rosewater leżał w sąsiednim łóżku z książką i Billy wciągnął go do rozmowy, pytając, co teraz czyta.

Rosewater odpowiedział, że jest to *Ewangelia z Kosmosu* Kilgore'a Trouta. Była to historia przybysza z Kosmosu, nawiasem mówiąc bardzo podobnego z wyglądu do Tralfamadorczyków. Przybysz prowadził poważne badania chcąc w miarę możliwości wyjaśnić, dlaczego chrześcijanie wykazują taką skłonność do okrucieństwa. Doszedł do wniosku, że przynajmniej częściowo wynika to z niedbałej konstrukcji fabularnej

Nowego Testamentu. Przybysz zakładał, że zamiarem Ewangelii było między innymi nauczenie ludzi miłosierdzia, nawet dla najędzniejszych z nędznych.

Tymczasem wymowa Ewangelii była taka:

Zanim kogoś zabijecie, upewnijcie się, czy nie ma on zbyt mocnych pleców. Zdarza, się.

* * *

Brakiem wszystkich opowieści o Chrystusie, twierdził ów przybysz z Kosmosu, jest to, że Chrystus, który nie prezentował się zbyt okazale, był w rzeczywistości Synem Najpotężniejszej Istoty Wszechświata. Czytelnicy wiedzieli o tym od początku, toteż kiedy dochodzili do sceny ukrzyżowania, myśleli sobie to, co Rosewater odczytał na głos:

O rany, też wybrali sobie faceta do linczowania!

Za tą myślą jak cień szła inna: są inni faceci, których można linczować. Jacy? Tacy, którzy nie mają pleców. Zdarza się.

* * *

Przybysz z Kosmosu podarował Ziemianom nową Ewangelię. Jezus był w niej naprawdę nikim i stał ością w gardle wielu facetom, którzy mieli znacznie lepsze plecy niż on. Mimo to nadal głosił wszystkie te cudowne i zagadkowe rzeczy, które znamy z innych Ewangelii.

Tak więc pewnego dnia ludzie zabawili się, przybijając go do krzyża i wkopując ten krzyż w ziemię. Uczestnicy linczu byli przekonani, że sprawa nie wywoła żadnych następstw. Czytelnik powinien być również o tym przekonany, ponieważ nowa Ewangelia podkreślała przy każdej okazji, że Jezus był nikim.

I nagle, na chwilę przed śmiercią tego włóczęgi, rozwarły się niebiosa wśród grzmotów i błyskawic i rozległ się głos Boga. Bóg powiedział ludziom, że adoptuje tego włóczęgę, czyniąc go swoim synem i dając mu wszelką władzę i przywileje Syna Stwórcy Wszechświata na wsze czasy. I powiedział Bóg, że od tej chwili będzie karał okrutnie każdego, kto spróbuje znęcać się nad jakimś biedakiem, który nie ma pleców.

* * *

Narieczona Billy'ego skończyła jeść "Trzech Muszkieterów" i zabrała się do "Drogi Mlecznej".

– Dajmy spokój książkom – powiedział Rosewater, rzucając tę, o której mówił, pod łóżko. – Do diabła z książkami.

– Ta wygląda na interesującą – wtrąciła Walencja.

– Jezu, gdyby tylko ten Kilgore Trout umiał pisać! – westchnął Rosewater. I miał rację: brak sławy Kilgore'a Trouta był całkowicie zasłużony. Proza w jego wykonaniu budziła grozę. Miał tylko dobre pomysły.

* * *

– Myślę, że ten Trout nigdy nie był za granicą – kontynuował Rosewater. – Mój Boże, pisze stale o Ziemianach, a wszyscy ci jego Ziemianie są po prostu Amerykanami. Tymczasem na świecie prawie nikt nie jest Amerykaninem.

– A gdzie on mieszka? – spytała Walencja.

– Nikt tego nie wie – odpowiedział Rosewater. – Wydaje mi się, że jestem jedynym człowiekiem, który w ogóle wie o jego istnieniu. Każda z jego książek ukazywała się w innym wydawnictwie i za każdym razem, kiedy pisałem do niego na adres wydawcy, list wracał, ponieważ okazywało się, że wydawca zbankrutował.

Rosewater zmienił temat i wyraził podziw dla zaręczynowego pierścionka Walencji.

– Dziękuję – powiedziała Walencja i podsunęła pierścionek Rosewaterowi, żeby mógł go lepiej obejrzeć. – Billy zdobył ten brylant na wojnie.

– Dlatego właśnie wojny są takie pociągające – powiedział Rosewater. – Absolutnie każdy znajdzie tam coś dla siebie.

Co zaś do miejsca zamieszkania Kilgore'a Trouta, to żył on otoczony pogardą i lekceważeniem w Ilium, rodzinnym mieście Billy'ego. Billy pozna go w przyszłości osobiście.

* * *

– Billy... – odezwała się Walencja Merble.

– Hm?

– Czy chcesz porozmawiać na temat wzoru naszych srebrnych nakryć?

– Oczywiście.

– Waham się pomiędzy Królem Duńskim a Pnącą Różą.

– Pnąca Róża – powiedział Billy.

– Nie powinniśmy decydować zbyt pochopnie – powiedziała Walencja. – Pamiętaj, że wybieramy coś na całe życie.

Billy obejrzał fotografie.

– Król Duński – powiedział.

– Blask Księżycy jest także piękny.

– Tak, to prawda – powiedział Billy Pilgrim.

* * *

I przeniósł się w czasie do ogrodu zoologicznego na Tralfamadorii. Miał czterdzieści cztery lata i był wystawiony na pokaz pod kopułą geodezyjną. Leżał na kanapie, do której przywykł w czasie podróży kosmicznej. Był nagi. Tralfamadorczycy chcieli widzieć jego ciało w całej okazałości. Tysiące ich stały na zewnątrz, wyciągając swoje małe rączki, aby móc go lepiej zobaczyć. Billy przebywał na Tralfamadorii już od sześciu ziemskich miesięcy. Przyzwyczał się do tłumów.

Ucieczka nie wchodziła w rachubę. Atmosfera na zewnątrz kopuły składała się głównie z cyjanu, zaś od

Ziemi dzieliło go 446 120 000 000 000 000 mil.

* * *

Billy'ego pokazywano w Zoo na tle sztucznego otoczenia ziemskiego. Większość sprzętów skradziono z magazynu Searsa i Roebucka w Iowa City, w stanie Iowa. Był tam odbiornik kolorowej telewizji i rozkładana amerykańska amerykanka. Obok niej stały stoliki z lampami i popielniczkami. Był domowy bar i dwa stołki. Był stolik do bilardu. Całą podłogę, z wyjątkiem kuchni i łazienki oraz żelaznej pokrywy włazu pośrodku pokoju, zaścierał dywan w kolorze starego złota. Na stoliczku przed amerykańką rozrzucono kilka kolorowych czasopism.

Był też stereofoniczny adapter. Adapter działał. Telewizor nie. Ekran zaklejony był zdjęciem, na którym jeden cowboy zabijał drugiego. Zdarza się.

Pod kopułą nie było ścian, żadnego miejsca, gdzie Billy mógłby się ukryć. Lawendowe wyposażenie łazienki znajdowało się na oczach wszystkich. Billy wstał z kanapy, poszedł do łazienki i oddał moc. Tłum widzów szalał z zachwytem.

* * *

Billy umył zęby, włożył do ust protezę i poszedł do kuchni. Jego lodówka, kuchenka gazowa i maszyna do mycia naczyń również miały kolor lawendowy. Na drzwiczkach lodówki był wymalowany obrazek. Tak je sprzedawano. Obrazek przedstawiał secesyjną parę przy tandemie.

Billy wpatrywał się w obrazek, usiłując pomyśleć coś o tej parze, nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Widocznie nie istniało nic takiego, co można by o tych dwojgu pomyśleć.

* * *

Billy zjadł solidne śniadanie złożone z konserw. Umył po sobie filiżankę, talerz, nóż, widelec, łyżeczkę oraz patelnię i schował je na miejsce. Potem przerobił ćwiczenia gimnastyczne, jakich nauczył się w wojsku: żabkę, przysiady, pompki i siady. Większość Tralfamadorczyków nie mogła wiedzieć, że Billy nie ma pięknego ciała ani twarzy. Uważali, że jest wspaniałym okazem. Wywierało to dodatni wpływ na Billy'ego, który po raz pierwszy w życiu zaczął odczuwać dumę ze swego ciała.

Po gimnastyce wziął natrysk i obciął paznokcie u nóg. Potem ogolił się, spryskał się pod pachami dezodorantem, podczas gdy przewodnik stojący na specjalnym podwyższeniu objaśniał, co Billy robi i dlaczego. Przewodnik udzielał objaśnień drogą telepatyczną, po prostu stał tam i przekazywał swoje myśli zebrany. Na podwyższeniu znajdował się też mały przyrząd z klawiaturą, za pomocą którego przewodnik mógł przekazywać Billy'emu pytania publiczności.

Głośnik telewizora przekazał pierwsze pytanie:

– Czy jest ci tutaj dobrze?

– Mniej więcej tak samo jak na Ziemi – odpowiedział Billy zgodnie z prawdą.

* * *

Na Tralfamadorii istniało pięć różnych płci i każda z nich miała swoją rolę w procesie tworzenia nowego osobnika. Dla Billy'ego jednak wszyscy mieszkańcy planety wyglądali identycznie, ponieważ ich różnice płciowe uwidaczniały się wyłącznie w czwartym wymiarze. Prawdziwą bombą z punktu widzenia moralności była, nawiasem mówiąc, wiadomość, jaką Billy uzyskał od Tralfamadorczyków na temat życia płciowego na Ziemi. Powiedzieli mu, że załogi latających talerzy zidentyfikowały na Ziemi co najmniej siedem płci niezbędnych dla podtrzymania gatunku. I znowu Billy nie był w stanie wyobrazić sobie, jaki udział w procesie powstawania dziecka ma pięć spośród tych płci, ponieważ ich aktywność seksualna ograniczała się do czwartego wymiaru.

Tralfamadorczycy próbowali dać Billy'emu jakieś pojęcie o tym, na czym polega życie płciowe w tym niewidzialnym wymiarze. Powiedzieli mu, że na Ziemi nie byłoby dzieci bez męskich homoseksualistów. Homoseksualistki nie były do tego niezbędne. Nie byłoby dzieci bez kobiet po sześćdziesiątce. Mężczyźni po sześćdziesiątce nie byli natomiast konieczni. Nie byłoby dzieci bez innych dzieci, które zmarły w pierwszej godzinie po urodzeniu. I tak dalej.

Billy nic z tego nie rozumiał.

* * *

Wiele z tego, co mówił Billy, było z kolei niezrozumiałe dla Tralfamadorczyków. Nie mogli na przykład wyobrazić sobie, czym jest dla niego czas. Billy zrezygnował z wszelkich wyjaśnień. Przewodnik był zdany wyłącznie na własne siły.

Zaproponował zebranym, aby wyobrazili sobie, że w jasny, pogodny dzień patrzą na łańcuch gór, od których dzieli ich połać pustyni. Mogą spojrzeć na szczyt góry, na ptaka, chmurę lub na kamień tuż przed sobą. Jest jednak wśród nich ten biedny Ziemianin z głową zakutą na stałe w stalową kulę. Kula ma tylko jeden otwór, przez który można patrzeć, i do tego otworu przyspawana jest luneta długości sześciu stóp.

Był to zaledwie początek tortur, jakim poddano Billy'ego w tej metaforze. Został on jeszcze przywiązany do stalowego rusztowania, przymocowanego z kolei do wózka na szynach, i nie mógł poruszać głową ani dotykać lunety. Drugi koniec lunety opierał się na dwójnogu, również przysrubowanym do wózka. W ten sposób Billy widział tylko maleńki wycinek świata, na który w danej chwili skierowany był koniec lunety. Nie wiedział przy tym, że znajduje się na wózku, i nie podejrzewał nawet, że w jego sytuacji jest coś szczególnego.

Wózek poruszał się raz wolno, raz bardzo szybko, a chwilami stawał w ogóle; wjeżdżał pod górę, zjeżdżał w dół, zakręcał. Biedny Billy nie miał innego wyboru, jak patrzeć przez lunetę i wmawiać sobie, że tak wygląda życie.

* * *

Billy spodziewał się, że Tralfamadorczycy będą zdumieni i zaniepokojeni wojnami oraz innymi formami morderstw uprawianymi na Ziemi. Powinni, jak sądził, obawiać się, że ziemskie okrucieństwo w połączeniu z imponującym arsenałem broni może kiedyś doprowadzić do zniszczenia części, a może nawet całego Bogu ducha winnego Wszechświata. Wyniósł to przekonanie z lektury książek fantastycznonaukowych.

Ponieważ jednak nikt nawet nie wspomniał o wojnach, Billy sam z tym wystąpił. Ktoś z publiczności spytał go za pośrednictwem przewodnika, co z rzeczy, jakie zobaczył na Tralfamadorii, uważa za najcenniejsze.

– To, że mieszkańcy całej planety potrafią żyć w pokoju! – odpowiedział Billy. – Jak zapewne wiecie, pochodzę z planety, która od zarania swoich dziejów pogrążona jest w bezsensownej rzezi. Ja sam widziałem ciała uczennic ugotowanych żywcem w wieży ciśnień przez moich rodaków, którzy szczycili się tym, że walczą ze złem. – (To była prawda. Billy widział ugotowane dzieci w Dreźnie.) – W obozie przyświecałem sobie w nocy świecami wyrabianymi z tłuszczu ludzi pomordowanych przez braci i ojców tamtych ugotowanych dziewczynek. Ziemianie są postrachem Wszechświata! Jeśli na razie nie zagrażają jeszcze innym planetom, to wkrótce do tego dojdzie. Zradźcie mi więc swój sekret, abym mógł zabrać go na Ziemię i uratować nas wszystkich. Powiedzcie: jak można żyć w pokoju?

Billy uświadomił sobie, że jego oracja zabrzmiała górnolotnie, był jednak zaskoczony, kiedy zobaczył, że Tralfamadorczycy zasłaniają oczy dłońmi. Znał tę reakcję z poprzednich swoich doświadczeń. Oznaczało to, że się wygłupił.

* * *

– Czy... czy mógłby mi pan wyjaśnić – zwrócił się zbity z tropu do przewodnika – co ja takiego głupiego powiedziałem?

– My wiemy, jak zginie Wszechświat – powiedział przewodnik – i Ziemia nie ma z tym nic wspólnego, chyba tylko tyle, że również zostanie zniszczona.

– A jak zginie Wszechświat? – spytał Billy.

– Wysadzimy go w powietrze przeprowadzając eksperyment z nowym paliwem dla naszych latających talerzy. Tralfamadorski pilot-oblatywacz naciśnie dźwignię startową i cały Wszechświat przestanie istnieć.

Zdarza się.

* * *

– Jeśli wiecie o tym – spytał Billy – to czy nie możecie w jakiś sposób temu zapobiec? Czy nie możecie powstrzymać tego pilota od naciśnięcia dźwigni?

– On zawsze ją naciska i zawsze będzie to robił. Nigdy go nie powstrzymujemy i nigdy nie powstrzymamy. Ta chwila jest skonstruowana w ten właśnie sposób.

* * *

– Tak więc – powiedział z wahaniem Billy – przypuszczam, że pomysł zapobieżenia wojnom na Ziemi również nie ma sensu?

– Oczywiście.

– Ale na waszej planecie panuje pokój.

– Teraz tak. W innych czasach miewaliśmy wojny nie mniej straszliwe od tych, które pan widział lub o których czytał. Nie możemy nic na to poradzić, więc po prostu nie patrzymy na nie. Ignorujemy je. Spędzamy wieczność na oglądaniu przyjemnych chwil – takich jak na przykład dzisiejszy dzień w Zoo. Czyż nie jest to piękna chwila?

– Niewątpliwie.

– Jest to coś, czego Ziemianie mogliby się nauczyć, gdyby się rzeczywiście postarali: sztuki kontemplowania dobrych chwil i ignorowania złych.

– Hm – mruknął Billy Pilgrim.

* * *

Tej nocy Billy zasnął i prawie natychmiast przeskoczył w inną chwilę, trzeba przyznać, zupełnie przyjemną. Był to wieczór jego ślubu z Walencją Merble. Wyszedł ze szpitala dla weteranów przed pół rokiem. Czuł się całkiem dobrze. Ukończył Szkołę Optyki z trzecią lokatą na czterdziestu siedmiu studentów.

Znajdował się teraz w łóżku z Walencją, w uroczym domku zbudowanym na samym końcu mola, na półwyspie Ann w Massachusetts. Za wodą widniały światła Gloucester. Billy był właśnie na Walencji. W wyniku tego aktu urodzi się Robert Pilgrim, z którym będą kłopoty w szkole średniej, ale z którego zrobią potem człowieka w słynnych Zielonych Beretach.

Walencja nie miała daru podróżowania w czasie, ale posiadała bujną wyobraźnię. Podczas gdy Billy ją kochał, wyobrażała sobie, że jest którąś ze słynnych kobiet. Ona była na przykład królową Elżbietą angielską, Billy zaś Krzysztofem Kolumbem.

* * *

Billy wydał dźwięk przypominający skrzyp zardzewiałych zawiasów. Właśnie wstrzyknął Walencji zawartość swoich pęcherzyków nasiennych, pomnażając w ten sposób szeregi Zielonych Beretów. Oczywiście, jeśli wierzyć Tralfamadorczykom, Zielony Beret musiał mieć w sumie siedmioro rodziców.

Potem sturlał się ze swojej rozłożystej małżonki, z oblicza której nadal nie znikał wyraz ekstazy. Billy leżał z rękami założonymi pod głowę, wyczuwając kręgosłupem skraj materaca. Był teraz bogaty. Otrzymał nagrodę za poślubienie dziewczyny, z którą nie ożeniłby się żaden człowiek przy zdrowych zmysłach. Teść podarował mu nowego Buicka Roadmastera oraz całkowicie zelektryfikowany dom i zrobił go kierownikiem swego najlepiej prosperującego sklepu w Ilium, gdzie Billy mógł spodziewać się dochodu w wysokości przynajmniej trzydziestu tysięcy dolarów rocznie. Zupełnie nieźle. Jego ojciec był tylko fryzjerem.

Jak powiedziała jego matka, Pilgrimowie pną się w górę.

* * *

Ich miesiąc miodowy upływał w atmosferze gorzko-słodkiej tajemniczości babiego lata w Nowej

Anglii. Pokój pary kochanków, utrzymany w stylu romantycznym, miał ścianę złożoną całkowicie z oszklonych drzwi. Otwierały się one na taras, z którego widać było oleistą wodę przystani.

Zielono-pomarańczowa barka motorowa, w nocy zupełnie czarna, z hukiem i dudnieniem przepłynęła koło tarasu, w odległości niecałych trzydziestu stóp od ich ślubnego łóża. Wypływała w morze wyłącznie pod światłami pozycyjnymi. Jej puste ładownie rezonowały, wzmacniając śpiew silników. Molo zaczęło śpiewać tę samą pieśń, a potem podjęło ją także wezłowie łóżka młodożeńców.

I śpiewało ją długo jeszcze po zniknięciu barki.

– Dziękuję – powiedziała wreszcie Walencja. Wezłowie brzęczało jeszcze cienko jak komar.

– Nie ma za co.

– To było piękne.

– Cieszę się.

Walencja wybuchnęła płaczem.

– Co się stało?

– Jestem taka szczęśliwa.

– To dobrze.

– Nie myślałam, że ktoś się ze mną ożeni.

– Hm – mruknął Billy Pilgrim.

* * *

– Zaczę się dla ciebie odchudzać.

– Co?

– Będę stosować dietę. Chcę być dla ciebie piękna.

– Podobasz mi się taka, jaka jesteś.

– Naprawdę?

– Naprawdę – odpowiedział Billy Pilgrim. Dzięki podróżom w czasie znał dość dobrze swoje małżeństwo i wiedział, że będzie ono aż do końca co najmniej znośne.

* * *

Teraz z kolei przepływał koło ich małżeńskiego łóża wielki motorowy jacht "Szecherezada". Pieśń jego maszyn brzmiała jak bardzo niska nuta organów. Wszystkie światła na jachcie były zapalone.

Na rufie, przy burcie, stała piękna para, młody mężczyzna i młoda kobieta w wieczorowych strojach. Kochali się we snach i na jawie. Oni również spędzali swój miesiąc miodowy. Byli to Lance Rumfoord z Newport w stanie Rhode Island i jego młoda żona Cynthia, z domu Landry, dziecięca miłość Johna F. Kennedy'ego, z czasów gdy oboje mieszkali w Hyannis Port w stanie Massachusetts.

Zachodził tu niejaki zbieg okoliczności. Billy Pilgrim będzie później leżał w szpitalu razem ze stryjem Rumfoorda, profesorem Bertramem Copelandem Rumfoordem z Uniwersytetu Harvarda, oficjalnym historykiem Sił Powietrznych USA.

* * *

Kiedy piękna para przepłynęła, Walencja zaczęła wypytywać swojego ofermowatego męża o wojnę. Był to naturalny odruch Ziemiarki przywykłej kojarzyć seks i sławę z wojną.

– Czy wspominasz czasem wojnę? – spytała kładąc dłoń na jego udzie.

– Czasem – odpowiedział Billy Pilgrim.

* * *

– Patrzę nieraz na ciebie – mówiła Walencja i mam dziwne uczucie, że jesteś pełen tajemnic.

– Mylisz się – powiedział Billy. Było to oczywiście kłamstwo. Nie wspomniał nikomu o swoich podróżach w czasie, o Tralfamadorii i tak dalej.

– Musisz mieć jakieś tajemnice związane z wojną. Albo nie tajemnice, ale rzeczy, o których nie chcesz mówić.

– Ależ nie.

– Jestem dumna, że byłeś żołnierzem. Czy wiesz o tym?

– To dobrze.

– Czy to było straszne?

– Chwilami.

Billy'emu przyszła do głowy dziwaczna myśl, od której aż się wzdrygnął. Pomyślał, że słowa te byłyby znakomitym epitafium dla niego. I dla mnie zresztą też.

– Czy teraz opowiedziałbyś mi o wojnie, gdybym cię poprosiła? – spytała Walencja. W małym zagłębieniu swego wielkiego ciała zbierała już materiały na przyszłego żołnierza Zielonych Beretów.

– Słuchałabyś tego jak snu. A sny innych ludzi nie są zwykle interesujące.

– Słyszałam, jak opowiadałeś ojcu o niemieckim plutonie egzekucyjnym. Walencja miała na myśli egzekucję biednego starego Derby'ego.

– Uhum.

– Czy musieliście go pochować sami?

– Tak.

– Czy przed rozstrzelaniem widział was, jak stoicie z łopatami?

– Tak.

– Czy coś mówił?

– Nie.

– Bał się?

– Naszpicowali go środkami uspokajającymi. Był na pół przytomny.

– Czy miał przypiętą do piersi tarczę strzelniczą?

– Kawalek zwykłego papieru – powiedział Billy. Wstał z łóżka, powiedział: "Przepraszam", i oddalił się w mrok łazienki, aby oddać mocz. Szukając kontaktu poczuł szorstkość ściany i uświadomił sobie, że cofnął się z powrotem do roku 1944 i jest znowu w obozowej izbie chorych.

* * *

Świeca w baraku zgasła. Biedny stary Edgar Derby zasnął na sąsiedniej pryczy. Billy wstał i macając po ścianach szukał wyjścia, gdyż strasznie chciało mu się łać.

Wreszcie znalazł drzwi, otworzył je i wytoczył się w obozową noc. Był zamroczony podróżą w czasie oraz morfiną i wpakował się na ogrodzenie z drutu kolczastego, który wbił mu się w ubranie w kilkunastu miejscach. Billy próbował się cofnąć, ale druty trzymały mocno, puścił się więc z nimi w jakieś głupie tany, robiąc krok w lewo, krok w prawo i tak w kółko.

Jakiś Rosjanin, który też wyszedł w noc, żeby się odlać z drugiej strony drutów, zobaczył taniec Billy'ego. Zbliżył się do dziwnego stracha na wróble i przemówił do niego łagodnie, dopytując się, z jakiego kraju pochodzi. Strach na wróble nie zwrócił na niego uwagi i nadal wykonywał swój taniec. Wówczas Rosjanin uwolnił go z kolców i strach na wróble bez słowa podziękowania oddalił się w podrygach.

Rosjanin pomachał mu na pożegnanie, wołając po rosyjsku: "Do widzenia."

* * *

Billy wyjął kuśkę i wśród obozowej nocy długo lal na ziemię. Potem schował ją byle jak z powrotem i stanął przed nowym problemem: Skąd przyszedł i dokąd powinien pójść?

Gdzieś w ciemności rozlegały się rozpaczliwe jęki. Nie mając żadnego innego planu, Billy powlókł się w ich kierunku. Po drodze zastanawiał się, jaka tragedia sprawiła, że tylu ludzi rozpacza w nocy na dworze.

Billy, nie wiedząc o tym, zbliżał się do latryny. Składała się ona z żerdzi i dwunastu kubłów. Z trzech stron osłaniały ją ścianki z kawałków drewna i blachy z puszek po konserwach. Czwarta strona otwierała się na pokrytą czarną papą ścianę baraku, w którym odbyła się uczta.

Billy szedł wzdłuż ścianki, aż dotarł do miejsca, skąd widać było hasło świeżo wypisane na czarnej ścianie. Słowa wymalowano tą samą różową farbą, która ożywiła dekoracje do Kopciuszka. Billy znajdował się w takim stanie, że słowa te jawiły mu się jako zawieszony w powietrzu lub wypisane na przezroczystej kurtynie, którą zdobiły dodatkowo śliczne srebrne kropeczki. Były to oczywiście łebki gwoździ, którymi przybito papę do ściany. Billy nie pojmował, co utrzymuje tę kurtynę w powietrzu, i wytłumaczył sobie, że ta magiczna kurtyna i przesadne objawy rozpaczcy są elementami jakiejś nie znanej mu ceremonii religijnej.

Hasło brzmiało:

Pozostaw to miejsce w takim stanie, w jakim je zastałeś.

Billy zajrzał do latryny. To stamtąd dochodziły jęki. Roilo się tam od Amerykanów ze spuszczonej spodniami. Przyjęcie powitalne wywarło na nich wstrząsające wrażenie. Kubły były przepełnione, inne poprzewracane.

Siedzący najbliżej Billy'ego Amerykanin jęczał, że wysrał już z siebie wszystko oprócz mózgu. Po chwili dodał:

– O, teraz idzie. – Miał na myśli swój mózg.

To był autor tej książki. To byłem ja.

* * *

Billy cofnął się przed tą wizją piekła. Minał trzech Anglików, którzy z należytej odległości obserwowali tę ekskrementalną orgię. Byli sztywni z obrzydzenia.

– Zapnijcie spodnie! – powiedział jeden z nich Billy'emu.

Billy zapiął spodnie. Przypadkiem trafił do drzwi izby chorych. Wszedł w te drzwi i znalazł się z powrotem w swoim miesiącu miodowym, w drodze z łazienki do łóżka, w którym leżała jego młoda żona.

– Było mi źle bez ciebie – powiedziała Walencja.

– Mnie też – powiedział Billy Pilgrim.

* * *

Billy i Walencja zasnęli przytuleni jak łyżeczki w pudełku i Billy cofnął się w czasie do pociągu, którym jechał w roku 1944 z manewrów w Południowej Karolinie do Ilium na pogrzeb ojca. Nie widział jeszcze Europy ani wojny. Działo się to w czasach, gdy jeździły jeszcze parowozy.

Billy musiał się wielokrotnie przesiadać. Wszystkie były to powolne pociągi osobowe. W wagonach unosił się zaduch dymu węglowego, przydziałowego tytoniu i alkoholu oraz pierdnieć ludzi odżywiających się wojennym jedzeniem. Siedzenia były kryte szorstkim materiałem i Billy długo nie mógł zasnąć. Zapadł w twarde sen, gdy do Ilium pozostało zaledwie trzy godziny jazdy. Spał z nogami wyciągniętymi w ruchliwym przejściu do wagonu restauracyjnego.

W Ilium obudził go konduktor. Billy wytoczył się na peron ze swoim workiem i stał tam obok konduktora, wciąż nie mogąc oprzytomnieć.

– Miałeś chyba miły sen, co? – zagadnął go konduktor.

– Tak – odpowiedział Billy.

– Bracie, ale ci stał – powiedział konduktor.

* * *

O trzeciej nad ranem tej nocy, kiedy Billy dostał morfinę, dwaj krzepcy Anglicy przynieśli do izby chorych nowego pacjenta. Pacjent był malutki. Okazało się, że jest to Paul Lazzaro, cętkowany złodziej samochodów z Cicero w stanie Illinois. Przyłapano go na kradzieży papierosów spod poduszki jednego z Anglików. Anglik, na wpół przytomny, znokautował go i złamał mu prawą rękę.

Był to jeden z tych, którzy go przynieśli. Miał płomiennie rudą czuprynę i ani śladu brwi. W przedstawieniu Kopciuszka grał Dobrą Wróżkę. Teraz jedną ręką podtrzymywał swoją połówkę Lazzara, a drugą zamknął za sobą drzwi.

– Waży tyle co kurczak – powiedział.

– Uhum.

Nogi Lazzara trzymał pułkownik, który dał Billy'emu zastrzyk uspokajający. Dobra Wróżka był zły i

zawstydzony zarazem.

– Gdybym wiedział, że to taki kurczak – powiedział – nie uderzyłbym go tak mocno.

– Uhum.

Dobra Wróżka nie ukrywał swego obrzydzenia do Amerykanów.

– Słabe toto, śmierdzi, rozczuła się nad sobą – banda skomlących, brudnych, pieprzonych złodziejasków.

– Straszne tatałajstwo – zgodził się pułkownik.

* * *

W tym momencie wszedł niemiecki major. Pozostawał w wielkiej zażyłości z Anglikami. Odwiedzał ich prawie codziennie, grywał z nimi w karty, wygłaszał dla nich odczyty na temat historii Niemiec, grał na fortepianie i udzielał im lekcji konwersacji. Często powtarzał, że oszalałby, gdyby nie ich kulturalne towarzystwo. Jego angielszczyzna była nienaganna.

Major przeproszał Anglików, że muszą znosić obecność amerykańskich szeregowców. Obiecywał im, że nie potrwa to dłużej niż kilka dni, że Amerykanie zostaną wkrótce odesłani do Drezna jako kontraktowi robotnicy. Miał przy sobie rozprawę wydaną przez Niemiecki Związek Pracowników Więziennictwa. Był to raport na temat zachowania się w Niemczech amerykańskich jeńców wojennych, pióra dawnego obywatela amerykańskiego, obecnie piastującego wysokie stanowisko w niemieckim Ministerstwie Propagandy. Nazywał się Howard W. Campbell junior. Powiesi się później w więzieniu, oczekując rozprawy jako zbrodniarz wojenny.

Zdarza się i tak.

* * *

Podczas gdy brytyjski pułkownik składał złamaną rękę Lazzara i rozrabiał gips, niemiecki major tłumaczył na głos fragmenty monografii Howarda W. Campbella juniora. Campbell był swego czasu dość wziętym dramaturgiem. Jego monografia zaczynała się tak:

“Ameryka jest najbogatszym krajem na Ziemi, ale jej obywatele to przeważnie ludzie biedni i tych biednych Amerykanów uczy się nienawiści do samych siebie. Amerykański humorysta Kin Hubbard powiada: «Ubóstwo nie hańbi, ale właściwie powinno.» I rzeczywiście, mimo że Ameryka jest krajem ludzi biednych, biedny Amerykanin czuje się jak przestępca. Każdy inny naród ma w swoich tradycjach ludowych bohaterów, którzy byli biedni, ale niezwykle mądrzy i dzielni i dlatego bardziej godni szacunku niż możni i bogacze. W Ameryce biedacy nie mają takich opowieści. Zamiast tego szydzą z siebie i gloryfikują bogaczy. W najpośledniejszej knajpie, której właściciel sam jest biedakiem, będzie wisiał na ścianie napis z okrutnym pytaniem:

Jak jesteś taki mądry, to dlaczego nie jesteś bogaty?

Będzie tam też amerykańska flaga wielkości dziecięcej dłoni, przyklejona do patyka po lizaku i zatknięta przy kasie."

* * *

Autor tej monografii, rodem z Schenectady w stanie Nowy Jork, posiadał zdaniem niektórych najwyższy współczynnik inteligencji spośród wszystkich zbrodniarzy wojennych, którzy mieli zawisnąć na szubienicy. Zdarza się.

“Amerykanie, podobnie jak ludzie na całym świecie, wierzą w pewne mity nie mające nic wspólnego z rzeczywistością – twierdził autor monografii. – Najbardziej szkodliwym ze wszystkich amerykańskich kłamstw jest przesąd, że w Ameryce łatwo można się dorobić. Nie uznając faktu, że zdobycie pieniędzy jest ogromnie trudne, wszyscy ci, którzy ich nie zdobyli, mają pretensje tylko do siebie. Ta tendencja do samooskarżania jest wielkim atutem w ręku bogatych i możnych, którzy dzięki temu mogli robić dla swoich biednych mniej (tak w sensie społecznym, jak i prywatnym) niż jakakolwiek klasa rządząca, powiedzmy, od czasów Napoleona.

Ameryka dała światu wiele nowości. Najbardziej przerażającą z nich jest bezprecedensowe zjawisko – masa biedaków pozbawionych poczucia własnej godności. Nie są oni zdolni do miłości, gdyż nie kochają samych siebie. Z chwilą gdy to zrozumiemy, odrażające zachowanie się amerykańskich szeregowców w niemieckich obozach jenieckich przestaje być tajemnicą.”

Dalej Howard W. Campbell junior omawia mundur amerykańskiego szeregowca w drugiej wojnie światowej.

“Każda inna armia w historii, niezależnie od stopnia zamożności, próbowała odziać nawet najmniejszych swoich żołnierzy tak, by we własnych oczach oraz w oczach innych ludzi wyglądali na ekspertów od picia, kopulacji, rabunków i nagłej śmierci. Tymczasem armia amerykańska wysłała szeregowców na walkę i śmierć w nieco zmienionym garniturze businessmena, jakby był darem wyniosłej instytucji dobroczynnej, która rozdaje odzież pijakom w slumsach.

Kiedy elegancki oficer zwraca się do takiego byle jak ubranego łazika, beszta go, podobnie jak wszyscy oficerowie we wszystkich armiach. Ale jego połajanki nie są, tak jak w innych armiach, dobrodusznie teatralne. Jest to wyraz rzeczywistej pogardy dla biedaków, którzy za swoją biedę nie mogą winić nikogo prócz siebie.

Przedstawiciele administracji obozowej, którzy mają po raz pierwszy zetknąć się z amerykańskimi jeńcami-szeregowymi, powinni wiedzieć, co ich czeka. Nie oczekujcie braterskiej miłości nawet między braćmi. Nie spodziewajcie się żadnej więzi pomiędzy jednostkami. Każdy będzie jak ponure dziecko, które marzy skrycie o śmierci.”

* * *

Campbell opisywał dalej, czego Niemcy nauczyli się na temat amerykańskich jeńców. Zyskali wszędzie opinię najbardziej użalających się nad sobą, najmniej koleżeńskich i najbrudniejszych ze wszystkich jeńców. Nie byli zdolni do żadnej zbiorowej akcji dla swego własnego dobra. Okazywali lekceważenie wybranym ze swego grona przywódcom, odmawiali im posłuszeństwa lub w ogóle nie chcieli ich słuchać. Krzyczeli, że nie są lepsi od nich i żeby przestali strugać waśniaków.

I tak dalej. Billy Pilgrim zasnął i obudził się jako wdowiec w swoim pustym domu w Ilium. Jego córka Barbara robiła mu właśnie wyrzuty za pisanie ośmieszających rodzinę listów do gazet.

* * *

- Czy słyszysz, co do ciebie mówię? – dopytywała się Barbara. Był znowu rok 1968.
 - Oczywiście – odpowiedział sennie.
 - Jeśli nadal będziesz zachowywał się jak dziecko, to będziemy musieli odpowiednio cię traktować.
 - Zdarzy się zupełnie co innego – powiedział Billy.
 - Zobaczmy jeszcze, co się zdarzy.
- Wielka Barbara zatarła ręce.
- Strasznie tu zimno – powiedziała. – Czy ogrzewanie jest włączone?
 - Ogrzewanie?
 - Piec. To, co stoi w piwnicy. To, co ogrzewa powietrze w kaloryferach. Chyba jest popsuty.
 - Możliwe.
 - Nie jest ci zimno?
 - Nie zauważyłem.
 - O Boże! Naprawdę jesteś jak dziecko. Jak cię tu zostawimy, zamrzniesz na śmierć albo umrzesz z

głodu.

I tak dalej. Z prawdziwą lubością poniewierała jego godność w imię miłości.

* * *

Barbara wezwała rzemieślnika i zapędziła Billy'ego do łóżka, wymuszając na nim obietnicę, że do czasu naprawy ogrzewania będzie leżał pod elektrycznym kocem. Nastawiła regulator na maksimum i wkrótce w łóżku Billy'ego można by piec chleb.

Kiedy Barbara wyszła zatraskując za sobą drzwi, Billy przeskoczył w czasie z powrotem do ogrodu zoologicznego na Tralfamadorii. Właśnie sprowadzono mu z Ziemi towarzyszkę. Była to Montana Wildhack, gwiazda filmowa.

* * *

Montana otrzymała dużą dawkę środków nasennych. Tralfamadorczycy w maskach gazowych wnieśli ją do pomieszczenia Billy'ego, złożyli na żółtej kanapie i wyszli przez służbę powietrzną. Ogromny tłum widzów był zachwycony. Wszelkie rekordy frekwencji w Zoo zostały tego dnia pobite. Każdy Tralfamadorczyk chciał zobaczyć, jak Ziemianie to robią.

Montana była oczywiście zupełnie naga, podobnie jak Billy. Nawiasem mówiąc, Billy miał imponującego zaganiacza. Nigdy nie wiadomo, kogo czym los obdarzy.

* * *

Montana zatrzepotała powiekami, a rzęsy miała jak firanki.

– Gdzie ja jestem? – spytała.

– Proszę się nie obawiać. Wszystko jest w porządku – powiedział Billy łagodnie. Montana była nieprzytomna przez całą drogę z Ziemi. Tralfamadorczycy nie rozmawiali z nią ani nie pokazywali się jej na oczy. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, było to, że opalała się na basenie w Palm Springs w Kalifornii. Montana miała zaledwie dwadzieścia lat. Między jej piersiami zwieszał się na srebrnym łańcuszku medalion w kształcie serca.

Odwrociła głowę i ujrzała wokół kopuły chmary Tralfamadorczyków, którzy zgotowali jej owocę, szybko zamykając i otwierając swoje małe zielone dłonie.

Montana krzyknęła przenikliwie i długo nie mogła się uspokoić.

* * *

Wszystkie małe rączki zacisnęły się, gdyż widok przerażonej Montany nie należał do przyjemnych. Dyrektor Zoo kazał operatorowi dźwigu opuścić na kopułę granatowy pokrowiec, mający stwarzać złudzenie ziemskiej nocy. Prawdziwa noc zapadała tutaj tylko na godzinę, co sześćdziesiąt dwie ziemskie godziny.

Billy włączył stojącą lampę. Punktowe źródło światła uwypukliło wszystkie szczegóły barokowego ciała Montany. Billy'emu przypomniała się fantastyczna architektura Drezna przed bombardowaniem.

* * *

Stopniowo Montana nabrała zaufania do Billy'ego i pokochała go. Billy nie dotknął jej, dopóki nie dała mu wyraźnie do zrozumienia, że sama sobie tego życzy. Po tygodniowym – według ziemskiej rachuby czasu – pobycie na Tralfamadorii spytała go nieśmiało, czy nie ma ochoty spać z nią w jednym łóżku. Billy się zgodził. Było cudownie.

* * *

Potem Billy przeniósł się z tego rozkosznego łoża do innego łóżka w roku 1968. Było to jego łóżko w Ilium, z kocem elektrycznym włączonym na cały regulator. Ocknął się zlany potem i przypomniał sobie jak przez mgłę, że córka kazała mu położyć się i leżeć, dopóki nie naprawią pieca.

Ktoś zapukał do drzwi sypialni.

– Kto tam? – spytał Billy.

– W sprawie pieca.

– No i co?

– Piec jest już w porządku. Grzeje.

– Dziękuję.

– Mysz przegryzła przewód termostatu.

– Niech mnie drzwi ścisną!

Billy wciągnął powietrze. Jego łóżko pachniało jak piwnica, w której hodują pieczarki. Sen o Montanie Wildhack skończył się wytrykiem.

* * *

Następnego ranka po tym śnie Billy postanowił udać się do pracy, do swojego sklepu przy centrum handlowym. Interes kwitł jak zwykle. Pracownicy doskonale dawali sobie radę. Byli zaskoczeni jego widokiem. Barbara powiedziała im, że ojciec już chyba nigdy nie wróci do pracy.

Tymczasem Billy energicznym krokiem wszedł do gabinetu i kazał wpuścić pierwszego pacjenta. Był nim dwunastoletni chłopiec w towarzystwie swojej owdowiałej matki. Mieszkali w mieście od niedawna. Billy wciągnął ich w rozmowę i dowiedział się, że ojciec chłopca zginął w Wietnamie, w słynnej pięciodniowej bitwie o Wzgórze 875 koło Dakto. Zdarza się.

* * *

Badając oczy chłopca Billy opowiedział mu najbardziej rzeczowym tonem o swoich przygodach na Tralfamadorii i zapewnił osieroconego chłopca, że jego ojciec żyje nadal w wielu momentach, które chłopiec będzie mógł jeszcze wielokrotnie oglądać.

– Czy to nie jest pocieszające? – spytał Billy.

Słyszając to matka chłopca wyszła z gabinetu i powiedziała recepcjonistce, że Billy najwyraźniej zwariował. Odwieziono go do domu. Barbara powtarzała w kółko swoje pytanie:

– Ojcze, ojcze, i cóż mamy z tobą począć?

6

Posłuchajcie:

Billy Pilgrim mówi, że znalazł się w Dreźnie następnego dnia po swojej morfinistycznej nocy spędzonej w brytyjskich barakach pośrodku obozu śmierci dla rosyjskich jeńców wojennych. Tego stycznikowego dnia Billy obudził się o świcie. W izbie chorych nie było okien, zaś upiorne świece wypaliły się do szczytu. Światło wpadało do środka jedynie przez dziury w ścianie i szpary wokół źle dopasowanych drzwi. Na jednym łóżku chrapał mały Paul Lazzaro ze złamaną ręką. Na drugim chrapał Edgar Derby, nauczyciel szkoły średniej, który wkrótce zginie rozstrzelany.

Billy usiadł na łóżku. Nie miał pojęcia, ani który jest rok, ani na jakiej znajduje się planecie. Jedno nie ulegało wątpliwości: była to zimna planeta. Ale to nie chłód obudził Billy'ego, tylko jakiś zwierzęcy magnetyzm, który przyprawiał go o drżączkę i świerzbiecie, a także o dotkliwe bóle mięśniowe, jak po forsownych ćwiczeniach.

Ten zwierzęcy magnetyzm promieniował skądś zza niego. Gdyby Billy miał zgadywać, co jest jego źródłem, powiedziałyby, że na ścianie za jego plecami wisi głową w dół wampir.

Billy przesunął się w nogi łóżka, zanim odwrócił się, żeby zobaczyć, co to jest. Bał się, że zwierzak może skoczyć mu na twarz i wydłubać oczy albo odgryźć jego wielki nos. Źródło magnetyzmu rzeczywiście przypominało nietoperza. Był to płaszcz Billy'ego z futrzanym kołnierzem. Wisiał tam na gwoździu.

Billy przysunął się z powrotem do płaszcza i przyglądając mu się przez ramię czuł, jak magnetyzm się

nasila. Wówczas powoli ukląkł na pryczy i odważył się dotknąć płaszcza. Szukał tego promieniowania.

Znalazł dwa małe źródła, dwie bryłki zaszyte pod podszewką w niewielkiej od siebie odległości. Jedna z nich przypominała fasolę, druga miała kształt maleńkiej podkowy. Billy odebrał informację zawartą w promieniowaniu. Coś mówiło mu, żeby nie sprawdzał, co to za grudki. To coś radziło mu, by zadowolił się świadomością, że grudki objawią kiedyś swoje cudotwórcze właściwości, pod warunkiem, że nie będzie starał się przeniknąć ich istoty. Billy przystał na to z ochotą. Był wdzięczny. Był zadowolony.

* * *

Potem przysnął i obudził się nadal w izbie chorych. Słońce stało już wysoko. Z zewnątrz dobiegały stęknięcia silnych mężczyzn kopiących dołki pod słupki w zmarzniętej na kamień ziemi. To Anglicy budowali sobie nową latrynę. Swoją dawną latrynę zostawili na pastwę Amerykanów, podobnie jak teatr, czyli barak, w którym odbyła się uczta.

Sześciu Anglików przeszło przez izbę chorych, zataczając się pod ciężarem stołu ze stosem materaców. Przenosili je do sąsiedniego pomieszczenia. Za nimi szedł jeszcze jeden Anglik, taszcząc swój materac i tarczę do gry w strzałki. Ten z tarczą to był Dobra Wróżka, który złamał rękę Paulowi Lazzaro. Teraz zatrzymał się przy jego łóżku i spytał, jak się czuje.

Lazzaro powiedział, że po wojnie go zabije.

– Naprawdę?

– Popeliłeś wielki błąd – powiedział Lazzaro. – Każdy, kto podnosi na mnie rękę, powinien mnie od razu zabić, bo jak nie, to ja jego zabiję.

Dobra Wróżka miał pewne pojęcie o zabijaniu. Zmierzył Lazzara spojrzeniem i powiedział z uśmiechem:

– Będę miał jeszcze czas, żeby cię zabić, jeśli zdołasz mnie przekonać, że tak będzie najlepiej.

– Pierdol się.

– Nie myśl, że nie próbowałem – odpowiedział Dobra Wróżka.

* * *

Dobra Wróżka wyszedł rozbawiony, uśmiechając się pobłaźliwie. Lazzaro obiecał Billy'emu i biednemu staremu Edgarowi Derby'emu, że się zemści i że zemsta będzie straszna.

– To jest najpiękniejsza rzecz na świecie – powiedział Lazzaro. – Każdy skurwysyn, który ze mną zaczyna, gorzko tego żałuje. A ja się tylko śmieję. Wszystko mi jedno, czy to będzie facet, czy baba. Nawet gdyby sam prezydent Stanów Zjednoczonych wlał mi na odcisk, to jego też urządę. Trzeba było widzieć, co kiedyś zrobiłem z jednym psem.

– Z psem? – zdziwił się Billy.

– Sukinsyn mnie ugryzł. Wziąłem więc kawał mięsa i sprężynę od zegara. Pociąłem tę sprężynę na kawałki i końce zaostrzyłem. Były ostre jak żyłki. Potem powbijalem je głęboko w mięso i poszedłem tam, gdzie był przywiązany ten pies. Znowu chciał mnie ugryźć. Powiedziałem do niego: "Chodź tu, piesku, zostanmy przyjaciółmi. Nie kłómy się więcej. Nie gniewam się na ciebie." Uwierzył mi.

– Naprawdę?

– Wtedy rzuciłem mu mięso. Pożarł je w całości. Odczekałem może z dziesięć minut. – Tu oczy Lazzara rozbłyły. – Z pyska pociekła mu krew. Zaczął skomleć i tarzać się po ziemi, jakby był naszpikowany nożami od zewnątrz, a nie od wewnątrz. Roześmiałem się i powiedziałem do niego: “Teraz zrozumiałeś, o co chodzi. Wyrwij sobie flaki, mój chłopcze. To ja siedzę tam w środku z nożem.” Zdarza się.

* * *

Nawiasem mówiąc, kiedy później zburzono Drezno, Lazzaro nie wyrażał zachwyty. Powiedział, że nie ma nic przeciwko Niemcom, a poza tym lubi załatwiać swoich wrogów pojedynczo. Szczycił się tym, że nigdy nie skrzywdził przypadkowego przechodnia.

– Nikt nigdy nie zarobił od Lazzara, jeśli sobie na to nie zasłużył – powiedział.

* * *

Biedny stary Edgar Derby, nauczyciel szkoły średniej, włączył się do rozmowy. Spytał Lazzara, czy ma zamiar nakarmić Dobrą Wrózkę mięsem z siekaną sprężyną od zegara.

– Gówno – powiedział Lazzaro.

– To chłop na schwał – zauważył Derby, który sam był też chłopem na schwał.

– To nie ma znaczenia.

– Chcesz go zastrzelić?

– Każę go zastrzelić – powiedział Lazzaro. – Po wojnie facet wróci do domu i będzie wielkim bohaterem. Damulki będą mu się rzucać na szyję. Założy sobie dom. Minie kilka lat. I wtedy pewnego dnia rozlegnie się pukanie. Otworzy drzwi, a tam będzie jakiś obcy facet, który spyta go o nazwisko. Kiedy okaże się, że to on, obcy powie: “Przysłał mi Paul Lazzaro.” A potem wyjmie spluwę i odstrzeli mu kutasa. Obcy da mu parę sekund, żeby sobie pomyślał, kto to jest Paul Lazzaro i jak będzie teraz żył bez kutasa. A potem wpakuje mu kulę w brzuch i odejdzie.

Zdarza się.

* * *

Lazzaro mówił, że można zabić każdego za tysiąc dolarów plus zwrot kosztów podróży. Mówił, że ma w głowie gotową listę.

Derby spytał go, kto jest na tej liście, na co Lazzaro odpowiedział:

– Uważaj, kurwa, żebyś sam na nią nie trafił. Lepiej nie włącz mi w drogę. – I po chwili milczenia dodał:

– Ani moim przyjaciółom.

– To ty masz przyjaciół? – zainteresował się Derby.

– Tu, na wojnie? – spytał Lazzaro. – Miałem przyjaciela, ale już nie żyje.

Zdarza się.

– Szkoda.

Oczy Lazzara znowu zabłyśły.

– Tak. Zaprzyjaźniłem się z nim w wagonie. Nazywał się Roland Weary. Umarł na moich rękach. – Swoją zdrową ręką wskazał na Billy'ego. – Umarł przez tego tutaj głupiego skurwysyna. Obiecałem mu, że po wojnie każę go zastrzelić.

Ruchem ręki Lazzaro przekreślił wszystko, co Billy Pilgrim mógłby powiedzieć.

– Daj spokój, chłopie – powiedział. – Ciesz się życiem, póki możesz. Nic się nie zdarzy przez najbliższe pięć, dziesięć, piętnaście, może dwadzieścia lat. Ale dam ci jedną dobrą radę: jak usłyszysz dzwonek, nigdy sam nie otwieraj drzwi.

Billy Pilgrim mówi, że naprawdę tak właśnie zginie. Wędrując po czasie, wielokrotnie widział swoją śmierć i opisał ją na taśmie magnetofonowej. Taśma ta, jak powiada, jest zamknięta wraz z jego testamentem i kosztownościami w Narodowym Banku Handlowym, oddział w Ilium.

Taśma zaczyna się tak:

“Ja, Billy Pilgrim, umrę, umarłem i zawsze będę umierał trzynastego lutego 1980 roku.”

W dniu swojej śmierci, powiada, pojedzie do Chicago, żeby wystąpić przed licznym audytorium na temat latających talerzy. Na stałe będzie nadal mieszkał w Ilium. Aby przyjechać stamtąd do Chicago, będzie musiał przekroczyć trzy granice państwowe. Stany Zjednoczone Ameryki uległy bałkanizacji i zostały podzielone na dwadzieścia małych państweczek, tak aby nigdy już nie mogły zagrozić pokojowi świata. Na Chicago rozgniewani Chińczycy zrzucili bombę wodorową. Zdarza się. Teraz jest to całkowicie nowe miasto.

Billy przemawia przed wielkim tłumem na stadionie baseballowym pokrytym geodezyjną kopułą. Za jego plecami zwisa flaga państwowa przedstawiająca byka rasy herefordzkiej na zielonym polu. Billy przepowiada swoją śmierć w ciągu najbliższej godziny. Śmieje się z tego i zaprasza tłum, aby śmiał się wraz z nim.

– Najwyższy czas, abym już umarł – mówi. – Wiele lat temu – mówi – pewien człowiek poprzysiągł, że mnie zabije. Jest już teraz stary i mieszka niedaleko stąd. Zwrócił uwagę na szum, jaki podniesiono w związku z moim wystąpieniem w waszym pięknym mieście. Ten człowiek jest nienormalny. Dzisiaj spełni swoją obietnicę.

W tłumie rozlegają się protesty, ale Billy Pilgrim ucisza je.

– Jeśli protestujecie, jeśli myślicie, że śmierć jest czymś strasznym, to znaczy, że nie zrozumieliście ani słowa z tego, co wam mówiłem.

I Billy wypowiada słowa, którymi kończy wszystkie swoje wystąpienia:

– Żegnajcie, witajcie! Żegnajcie, witajcie!

Opuszcza mównicę w otoczeniu policji. Ich zadaniem jest bronić go przed naciskiem popularności. Od 1945 roku nikt nie wypowiadał gróźb pod jego adresem. Policjanci wyrażają w kwiecistym stylu gotowość pozostania przy nim. Chcą czuwać przez całą noc z bronią gotową do strzału.

– Ależ nie – mówi Billy pogodnym głosem. – Czas już, abyście poszli do domów, do swoich żon i dzieci, a na mnie czas, żebym umarł na trochę, a potem żył znowu.

W tym momencie wysokie czoło Billy'ego znajduje się w celowniku dalekosiężnej strzelby laserowej. Jest ona skierowana na niego z ciemnej kabiny prasowej. W następnym momencie Billy Pilgrim nie żyje. Zdarza się.

Tak więc Billy przez chwilę doświadcza śmierci. Jest to po prostu liliowa poświata i ciche brzęczenie. Nie ma tam nikogo. Nawet jego tam nie ma.

* * *

Potem Billy cofa się z powrotem w życie, aż do dnia, w którym Lazzaro obiecał, że go zabije. W godzinę później powiedziano mu, że ma opuścić izbę chorych, że jest już zdrowy. On, Lazzaro i biedny stary Edgar Derby mają dołączyć do reszty zebranej w teatrze, gdzie odbędą się wolne wybory: w tajnym głosowaniu wybiorą sobie starostę.

* * *

Billy, Lazzaro i biedny stary Edgar Derby szli przez plac apelowy do teatru. Billy owinął sobie swój płaszczyk wokół rąk, jakby to była damska mufka. Był środkowym błaznem w niezamierzonej parodii słynnego obrazu *Duch roku 76*.

Edgar Derby układał w myśli list do żony, w którym pisał, że żyje i jest zdrowy, żeby się nie martwiła, bo wojna dobiega końca i on wkrótce wróci do domu.

Lazzaro rozmawiał sam z sobą o ludziach, których każe zabić po wojnie, o lewych interesach, które będzie prowadził, i o kobietach, które zmusi do spania z sobą, czy im się to będzie podobać, czy nie. Gdyby był psem, pierwszy lepszy policjant zastrzeliłby go i odesłał jego głowę do laboratorium, żeby sprawdzić, czy ma wściekliznę.

Przed wejściem do teatru natknęli się na Anglika, który obcasem złobił rowek w ziemi. Zaznaczał w ten sposób granicę między częścią angielską i amerykańską. Billy, Lazzaro i Derby nie musieli pytać, co oznacza ta linia. Był to symbol dobrze im znany z dzieciństwa.

* * *

Teatr był wybrukowany ciałami Amerykanów, którzy leżeli jeden przy drugim, jak łyżeczki w pudełku. Większość z nich spała albo była półprzytomna. Ich wysuszone wnętrzności dygotały.

– Zamknij te kurewskie drzwi – powiedział ktoś do Billy'ego. – Urodziłeś się w oborze?

* * *

Billy zamknął drzwi, wyjął ręce ze swojej mufki i dotknął pieca. Był zimny jak lód. Na scenie nadal wznosiły się dekoracje do *Kopciuszka*. Z krzykliwie różowych łuków zwieszały się błękitne draperie. Były też złote trony i zegar, którego wskazówki wskazywały północ. U stóp tronu leżały trzewiczki Kopciuszka, czyli pomalowane srebrną farbą lotnicze buty z cholewami.

Billy, biedny stary Edgar Derby i Lazzaro znajdowali się w izbie chorych, kiedy Brytyjczycy wydawali koce i materace, i byli teraz zdani na własne siły. Wolne miejsce pozostało jedynie na scenie, poszli więc tam, ściągnęli błękitne draperie i zrobili sobie z nich legowiska.

Billy, moszcząc się w swoim błękitnym gniazdku, zauważył pod tronem srebrne buty Kopciuszka. Nagle przypomniał sobie, że jego trzewiki są zupełnie zniszczone, że buty są mu potrzebne. Nie chciało mu się

opuszczać legowiska, ale przemógł się i podszedł na czworakach do butów. Usiadł i przymierzył je.

Pasowały jak ulał. Billy Pilgrim był teraz Kopciuszkiem, a Kopciuszek był Billym Pilgrimem.

* * *

Gdzieś wśród tego wszystkiego odbył się wykład na temat higieny osobistej, wygłoszony przez najstarszego stopniem Anglika, a potem wolne wybory. Przynajmniej połowa Amerykanów przez cały czas chrapała sobie w najlepsze. Anglik wszedł na scenę i postukując swoją trzcinką o poręcz tronu, wołał:

– Chłopcy, chłopcy, czy mogę prosić o ciszę?

I tak dalej.

* * *

Anglik powiedział następującą rzecz na temat woli przetrwania:

– Jeśli człowiek przestaje dbać o swój wygląd, to znak, że długo nie pożyje.

Powiedział też, że widział wielu ludzi, którzy umarli w taki oto sposób:

– Najpierw przestali trzymać się prosto, potem przestali się myć i golić, potem przestali wstawać z łóżka, aż wreszcie przestali rozmawiać i umarli. Jedna tylko rzecz przemawia na korzyść takiego postępowania: jest to niewątpliwie bardzo łatwy i bezbolesny sposób przeniesienia się na tamten świat.

Zdarza się.

* * *

Anglik powiedział też, że kiedy trafił do niewoli, przyrzekł sobie myć zęby dwa razy dziennie, codziennie się golić, myć twarz i ręce przed każdym posiłkiem i po wyjściu z latryny, czyścić codziennie buty, gimnastykować się co rano przynajmniej przez pół godziny i potem oddawać kał oraz często patrzeć w lusterko i oceniać swój wygląd ze szczególnym uwzględnieniem postawy.

Billy Pilgrim słuchał tego wszystkiego leżąc w swoim legowisku. Patrzył nie na twarz Anglika, lecz na jego kostki.

– Zazdroszczę wam, chłopcy – powiedział Anglik.

Ktoś się roześmiał. Billy zastanowił się, na czym polega dowcip.

– Dziś po południu wyjeżdżacie do Drezna, które jest podobno pięknym miastem. Nie będziecie siedzieć w kojcu, tak jak my. Pojedziecie tam, gdzie toczy się normalne życie i jedzenie jest niewątpliwie bardziej urozmaicone niż tutaj. Jeśli mogę wtrącić kilka słów o sobie, to od pięciu lat nie widziałem już drzew ani kwiatów, kobiety ani dziecka, psa ani kota, lokalu rozrywkowego ani człowieka wykonującego jakąkolwiek użyteczną pracę.

Nawiasem mówiąc, bombami nie musicie się przejmować. Drezno jest miastem otwartym. Nie jest

bronione, nie ma przemysłu zbrojeniowego ani znaczniejszej koncentracji wojsk.

* * *

Gdzieś wśród tego wszystkiego starego Edgara Derby'ego wybrano starostą. Anglik wezwał do wysuwania kandydatur z sali, ale nie zgłoszono ani jednej. Wówczas sam zaproponował Derby'ego, wychwalając jego dojrzałość i długoletnie doświadczenie w pracy z ludźmi. Innych kandydatur nie było, więc listę zamknęto.

– Czy wszyscy są za? – spytał Anglik.

Dwa czy trzy głosy odpowiedziały “tak”.

* * *

Wówczas biedny stary Derby wygłosił przemówienie. Podziękował Anglikowi za jego dobre rady i powiedział, że będzie ich przestrzegał co do joty. Wyraził też przekonanie, że jego rodacy postąpią tak samo. Na koniec powiedział, że jego najważniejszą troską będzie dopilnować, aby wszyscy wrócili cało do kraju.

– Pierdol bąka, a bąk brzdąka – mruknął Paul Lazzaro ze swego błękitnego legowiska.

* * *

Tego dnia nastąpiło niespodziewane ocieplenie. W południe było ciepło i słonecznie. Niemcy przywieźli zupę i chleb na małych wózkach ciągnionych przez Rosjan. Anglicy przysłali prawdziwą kawę, cukier, marmoladę, papierosy i cygara. Drzwi baraku zostawiono otwarte, aby wpuścić do środka ciepło.

Amerykanie poczuli się znacznie lepiej. Jedzenie już przez nich nie przelatywało. A potem trzeba było ruszać do Drezna. W miarę porządku wymaszerowali z obozu Brytyjczyków. I znowu Billy Pilgrim przyciągał wszystkie spojrzenia. Miał teraz srebrne buty, mufkę i kawał błękitnej draperii, którą przywdział jak togę. Nie zdążył się ogolić, podobnie jak idący obok biedny stary Edgar Derby. Derby układał w wyobraźni list do domu i jego wargi poruszały się bezgłośnie.

Kochana Margaret! Dzisiaj wyjeżdżamy do Drezna. Nie martw się o mnie. Tam nie będzie nalotów, bo to miasto otwarte. Dziś w południe odbyły się wybory starosty i zgadnij, kogo wybrali?

* * *

Przyprowadzono ich znowu na obozową bocznice kolejową. Przyjechali tu w dwóch wagonach. Odjeżdżali znacznie wygodniej, bo w czterech. Spotkali się tu znowu ze zmarłym włóczęgą. Leżał zamarnięty na kamień w zielsku koło toru. Zastygł w pozycji płodowej, nawet po śmierci usiłując dopasować się do innych, jak łyżeczka w pudełku. Tyle że tych innych nie było. Leżał pomiędzy niebem a szutrem nasypu. Ktoś ściągnął mu buty. Jego nagie stopy miały kolor sinożółty. To, że leżał martwy, było w jakiś sposób normalne. Zdarza się.

* * *

Przejazd do Drezna był fraszką. Trwał niecałe dwie godziny. Skurczone żołądki były pełne. Przez okienka wpadało do wagonów słońce i ciepłe powietrze. Dzięki Anglikom mieli też pod dostatkiem papierosów.

Przyjechali na miejsce o piątej po południu. Drzwi wagonów zostały otwarte, tworząc ramy, w których ukazało się miasto, jakiego większość Amerykanów nigdy nie oglądała. Linia dachów była wymyślna i zmysłowa, czarująca i absurdalna. Billy'emu kojarzyło się to z obrazkiem rajy, jaki widział w szkółce niedzielnej.

Któs z stojących za nim powiedział "Kraina Oz". To byłem ja. Ja to powiedziałem. Jedyne miasto, jakie dotąd widziałem, to było Indianapolis w stanie Indiana.

* * *

Wszystkie inne większe miasta w Niemczech były bezwzględnie bombardowane i palone. W Dreźnie nie wybito ani jednej szyby. Codziennie rozlegał się piekielny ryk syren, ludzie schodzili do piwnic i słuchali tam radia. Samoloty zawsze leciały gdzie indziej: do Lipska, Chemnitz, Plauen i innych miast. Zdarza się

W Dreźnie nadal dziarsko posapywały kaloryfery. Dzwoniły tramwaje. Działy telefony. Światła zapalały się i gasły za przekręceniem kontaktu. Czynne były teatry i restauracje. I zoo. Przemysł na terenie miasta reprezentowało przetwórstwo żywnościowe, wytwórnie leków i papierosów.

Teraz, późnym popołudniem, ludzie wracali z pracy do domów. Byli zmęczeni.

* * *

Przez stalowy makaron torów na bocznicę kolejowej wędrowało ośmiu drezdeńczyków. Mieli na sobie nowe mundury. Zaledwie wczoraj złożyli przysięgę wojskową. Byli wśród nich chłopcy i dobrze już podstarzali mężczyźni oraz dwaj weterani, podziurawieni jak sita na froncie wschodnim. Kazano im pilnować stu amerykańskich jeńców wojennych, którzy mieli być zatrudnieni jako robotnicy kontraktowi. W oddziale znajdował się dziadek i jego wnuk. Dziadek był architektem.

Ośmiu drezdeńczyków w ponurym nastroju zbliżało się do wagonów z jeńcami. Wiedzieli, jak głupio i marnie wyglądają w roli żołnierzy. Jeden miał nawet protezę zamiast nogi i oprócz nabitego karabinu uzbrojony był także w laskę. Mimo to oczekiwano od nich, że zasłużą na posłuszeństwo i szacunek pewnych siebie i dyszących żądzą mordy amerykańskich olbrzymów, przybyłych prosto z frontowych jatek.

I wtedy ujrzeli zarośniętego Billy'ego Pilgrima w błękitnej todze i srebrnych butach, z rękami w mufce. Wyglądał co najmniej na sześćdziesiąt lat. Obok Billy'ego stał mały, porażony wścieklizną Paul Lazzaro ze złamaną ręką. Obok Lazzaro stał biedny stary nauczyciel szkoły średniej Edgar Derby, posepnie brzemienny Patriotyzmem, widmem starości i wymaginowaną mądrością. I tak dalej. Ośmiu żalonych drezdeńczyków upewniło się, że ta setka pokracznych istot to rzeczywiście amerykańscy żołnierze świeżo przybyli z frontu. Uśmiechnęli się, a potem wybuchnęli śmiechem. Ich strach ulotnił się momentalnie. Nie mieli już żadnych powodów do obaw. Ci ludzie byli jeszcze większymi pokrakami i ofermami od nich. Wszystko zmieniało się w operetkę.

* * *

Tak więc ze stacji kolejowej na ulice Drezna wyruszył operetkowy korowód. Billy Pilgrim był w nim gwiazdą numer jeden. Przyciągał wszystkie spojrzenia. Chodnikami płynęły tysiące ludzi wracających z pracy. Mieli niezdrowo nalane twarze barwy kitu, gdyż od dwóch lat odżywiali się prawie wyłącznie kartoflami. Nie oczekiwali od tego dnia niczego poza pogodą, a tu nagle trafiła się rozrywka.

Billy nie patrzył na ludzi, którzy z takim zainteresowaniem przyglądali się jemu. Oczarowała go całkowicie architektura miasta. Wesole amorki wiły girlandy nad oknami. Z rzeźbionych gzymsów zerkały na Billy'ego dzikie fauny i nagie nimfy. Wśród rulonów, muszli i bambusów figłowały kamienne małpiszony. Pamiętając przyszłość Billy wiedział, że mniej więcej za trzydzieści dni miasto zostanie rozbite w drobny mak i spalone. Wiedział też, że większość przyglądających mu się przechodniów wkrótce zginie. Zdarza się.

W czasie marszu dłonie Billy'ego nieustannie pracowały w ciemnych czeluściach mufki. Jego palce chciały się koniecznie dowiedzieć, czym są dwie grudki za podszewką płaszcza małego impresaria. Końce palców dostały się pod podszewkę i obmacywały to coś w kształcie fasoli i to coś w kształcie podkowy. Korowód musiał zatrzymać się na ruchliwym skrzyżowaniu pod czerwonym światłem.

* * *

Tam, na skrzyżowaniu, w pierwszym szeregu przechodniów stał chirurg, który przez cały dzień nie odchodził od stołu operacyjnego. Był cywilem, ale trzymał się po wojskowemu. Brał udział w dwóch wojnach światowych. Widok Billy'ego przejął go oburzeniem, zwłaszcza kiedy dowiedział się od konwojentów, że Billy jest Amerykaninem. Uważał, że Billy jest w potwornie złym guście, i przypuszczał, że musiał on zadać sobie niemało trudu, żeby aż tak się wystroić.

Chirurg znał angielski i powiedział do Billy'ego:

– Widzę, że uważa pan wojnę za rzecz nadzwyczaj śmieszną.

Billy spojrzał na niego nieprzytomnie. Na chwilę stracił poczucie, gdzie jest i jak się tu znalazł. Nie przyszło mu do głowy, że ktoś może posądzać go o celową błazenadę. To Los tak go przebrał cudacznie – Los i wąła wola utrzymania się przy życiu.

– Czy myślał pan, że będziemy się z tego śmiali? – spytał go chirurg.

Chirurg domagał się jakiejś satysfakcji. Billy nie rozumiał. Chciał być miły, pomóc w miarę możliwości, ale jego możliwości były bardzo ograniczone. Trzymał właśnie w palcach dwa przedmioty znalezione pod podszewką płaszcza i postanowił pokazać je chirurgowi.

– Czy myślał pan, że będzie nas bawiło pańskie przedrzeźnianie? – mówił chirurg. – Nie wstyd panu reprezentować w ten sposób swój kraj?

Billy wyjął rękę z mufki i podsunął ją pod nos chirurgowi. Na jego dłoni spoczywał dwukaratowy brylant oraz proteza dentystyczna. Wyglądała jak mała nieprzyzwoita rzeźba w kolorze srebrnym, perłowym i mandarynkowym. Billy rozpromienił się w uśmiechu.

* * *

Korowód tańcząc, wijąc się i podrygując dotarł do bramy drezdeńskich rzeźni i wszedł do środka. Od dawna nie było tu żadnego ruchu. Prawie wszystkie zwierzęta rzeźne w Niemczech zostały zabite, zjedzone i wydalone przez ludzi, głównie żołnierzy. Zdarza się.

Amerykanów zaprowadzono do piątego budynku w obrębie murów. Był to jednokondygnacyjny betonowy prostokąt z zasuwanyimi drzwiami na obu końcach. Zbudowano go jako pomieszczenie dla świń oczekujących na rzeź. Teraz miał służyć za mieszkanie setce amerykańskich jeńców wojennych. W środku były prycze, dwa pękate piecyki i jeden kran. Zaraz za budynkiem mieściła się latryna: drewniana żerdź, pod którą stały kubły.

Nad drzwiami budynku widniała wielka cyfra. Piątka. Zanim wpuszczono Amerykanów do środka, jedyny mówiący po angielsku konwojent kazał im zapamiętać ich nowy, prosty adres, na wypadek gdyby zagubili się w wielkim mieście. Adres ten brzmiał: *Schlachthof-fünf*. *Schlachthof* znaczy rzeźnia. *Fünf* to po prostu pięć.

W dwadzieścia pięć lat później Billy wsiadł w Ilium do specjalnie zarezerwowanego samolotu. Wiedział, że samolot się rozbije, ale nie chciał mówić o tym nikomu, żeby się nie ośmieszać. Samolot ten miał przewieźć Billy'ego i dwudziestu ośmiu innych optyków na zjazd do Montrealu.

Żona Billy'ego, Walencja, została na lotnisku, zaś jego teść, Lionel Merble, siedział przywiązany do sąsiedniego fotela.

Lionel Merble był maszyną. Tralfamadorczycy oczywiście twierdzą, że wszystkie zwierzęta i rośliny we Wszechświecie są maszynami. Dziwi ich bardzo, iż tylu Ziemian oburza się na samą myśl, że ktoś mógłby ich o to posądzić.

Na płycie lotniska maszyna nazwiskiem Walencja Merble-Pilgrim jadła batonik "Czarny Piotruś" i machała ręką na pożegnanie.

Samolot wystartował bez przeszkód. Taka była widocznie konstrukcja tej chwili. Na pokładzie znajdował się kwartet, "Czterookie Skurczybyki", specjalizujący się w piosenkach podwórkowych. Składał się również z optyków.

Kiedy samolot wszedł na kurs, maszyna, która była teściem Billy'ego, poprosiła kwartet o zaśpiewanie jego ulubionej piosenki. Wiedzieli od razu, o jaką piosenkę chodzi, i zaśpiewali:

*- Siedzę smutny w mojej celi,
Moje szczęście diabli wzięli,
Wciąż ze strachu w portki robię, kurwa mać!
I oglądam krwawą bliznę,
Bo ugryzła mnie w słabiznę;
Nigdy więcej żadnej baby nie chcę znać.*

Teść Billy'ego pękał ze śmiechu i poprosił kwartet o odśpiewanie piosenki polskich górników z Pensylwanii, którą kwartet wykonał z charakterystycznym akcentem. Zaczynała się tak:

*- Władziu i ja, my są tera w kopalni,
Rany boskie, ale nam fajnie!
Forsę placą nam każdej soboty,
A za to w niedzielę nima roboty!*

Kiedy już mowa o ludziach z Polski, to Billy Pilgrim był przypadkowo świadkiem powieszenia Polaka, mniej więcej w trzy dni po przyjeździe do Drezna. Billy maszerował do pracy wraz z grupką jeńców tuż po wschodzie słońca, kiedy przed wejściem na stadion sportowy zobaczyli szubienicę i gromadkę gapiów. Polak był parobkiem u bauera i powieszono go za stosunek płciowy z Niemką. Zdarza się.

Billy wiedząc, że wkrótce nastąpi katastrofa, zamknął oczy i cofnął się do roku 1944. Był znowu w lesie w Luksemburgu z trzema muszkietierami. Roland Weary potrząsał nim, tak że Billy uderzał głową o pień drzewa.

– Idźcie dalej sami – mówił Billy Pilgrim.

* * *

Kwartet podwórkowy śpiewał właśnie: *Poczekaj, Nelly, aż słońce zaświeci*, kiedy samolot wrąbał się w szczyt góry Sugarbush w stanie Vermont. Wszyscy zginęli na miejscu z wyjątkiem Billy'ego i drugiego pilota. Zdarza się.

Pierwsi przybyli na miejsce katastrofy młodzi Austriacy, instruktorzy narciarstwa ze znanej miejscowości wypoczynkowej leżącej u stóp góry. Chodząc między ciałami ofiar rozmawiali ze sobą po niemiecku. Mieli czarne wełniane maski z dwoma otworami na oczy i z czerwonymi pomponami. Wyglądali jak przebierańcy, jak biali, którzy dla śmiechu przebrali się za Murzynów.

Billy doznał pęknięcia czaszki, ale był przytomny. Nie wiedział tylko, gdzie się znajduje. Jego wargi poruszały się i jeden z przebierańców zbliżył do nich ucho, aby usłyszeć jego przedśmiertne słowa.

Billy uznał, że przebieraniec ma coś wspólnego z drugą wojną światową, i wyszeptał mu do ucha swój adres: Schlachthof-fünf.

* * *

Billy'ego zwożono spod szczytu góry Sugarbush na toboganie, którym przebierańcy kierowali za pomocą lin, jodlując przy tym melodyjnie, aby wszyscy ustępowali im z drogi. U podnóża góry nartostrada kluczyła wokół słupów wyciągu krzeselkowego. Billy patrzył z dołu na młodych ludzi w kolorowych elastycznych ubraniach, w olbrzymich butach i goglach, którzy opętani śnieżnym szaleństwem przelatywali na tle nieba w żółtych krzeselkach, i uznał, że musi to mieć związek z jakąś nową, interesującą fazą drugiej wojny światowej. Przyjął to ze spokojem. Billy teraz już wszystko przyjmował ze spokojem.

* * *

Zawieziono go do małej prywatnej kliniki, gdzie sprowadzony z Bostonu słynny specjalista od operacji mózgu pracował nad nim przez trzy godziny. Billy leżał potem nieprzytomny przez dwa dni i widział w snach miliony rzeczy, z których nie wszystkie były snami. Te prawdziwe rzeczy oglądał podróżując po czasie.

* * *

Jedną z nich był jego pierwszy wieczór w rzeźni. On i biedny stary Edgar Derby popychali wózek o dwóch kółkach drogą biegnącą między pustymi zagrodami dla bydła. Jechali do stołówki po kolację dla

wszystkich. Pilnował ich szesnastoletni Niemiec nazwiskiem Werner Gluck. Osie wózka były nasmarowane tłuszczem zabitych zwierząt. Zdarza się.

Było tuż po zachodzie słońca i miasto rysowało się na tle wieczornej zorzy, otaczając uskokami sielankową pustkę zagród dla bydła. Ze względu na bombardowania obowiązywało zaciemnienie i Billy nie mógł zobaczyć jednej z najbardziej radujących serce rzeczy, jakie miasto potrafi robić, to znaczy stopniowego zapalania się świateł po zapadnięciu zmroku.

Przez miasto płynęła szeroka rzeka, w której te światła mogłyby się odbijać, tworząc rzeczywiście piękny widok. Tą rzeką była Łaba.

* * *

Werner Gluck, młody konwojent, pochodził z Drezna, nigdy jednak dotychczas nie był w rzeźni, nie wiedział więc, gdzie szukać kuchni. Wysoki i wąty podobnie jak Billy, mógł uchodzić za jego młodszego brata. W gruncie rzeczy naprawdę byli dalekimi kuzynami, ale nigdy się o tym nie dowiedzieli. Uzbrojenie Glucka stanowił niewiarygodnie ciężki jednostrzałowy muszkiet, zabytek muzealny z ośmiograniastą, nie gwintowaną w środku lufą. Miał nastawiony bagnet, który przypominał długi drut do robótek z włóczki. Rowków do krwi na nim nie było.

Gluck poprowadził ich do budynku, w którym, jak sądził, powinna znajdować się kuchnia, i otworzył rozsuwane drzwi. Buchnęła stamtąd para, nie była to jednak kuchnia. Mieściła się tu szatnia łaźni publicznej. W tej parze stało około trzydziestu nagich dziewcząt. Były to młodzietki Niemki ewakuowane z Wrocławia, który przeszedł ciężkie bombardowania. One również świeżo przybyły do Drezna. Drezno roiło się od uciekinierów.

Dziewczęta kręciły się tam nagie, demonstrując wszystkie swoje wdzięki. A w drzwiach stali Gluck, Derby i Pilgrim: dziecko w mundurze, biedny stary nauczyciel szkoły średniej i błazen w swojej todze i srebrnych butach. Dziewczęta pisnęły przeraźliwie. Zasłaniały się rękami, odwracały się tyłem i tak dalej i były w tym wszystkim jeszcze piękniejsze.

Werner Gluck, który dotąd nie widział nagiej kobiety, zamknął drzwi. Billy także zobaczył nagie kobiety po raz pierwszy. Tylko dla Derby'ego nie było to nowością.

* * *

Kiedy tych trzech głupków znalazło wreszcie kuchnię, która miała za zadanie przygotowywać obiady dla robotników w rzeźni, wszyscy już poszli do domu, z wyjątkiem jednej kobiety oczekującej ich z niecierpliwością. Jej mąż zginął na wojnie. Zdarza się. Siedziała w kapeluszu i w płaszczu. Ona też śpieszyła się do domu, mimo że nikt tam na nią nie czekał. Jej białe rękawiczki leżały akuratnie złożone na cynkowym blacie.

Miała dla Amerykanów dwa wielkie gary zupy, która pyrkotała na wolnym ogniu, i stosy bochenków chleba.

Spytała Glucka, czy nie jest o wiele za młody, żeby służyć w wojsku. Gluck przyznał, że tak.

Spytała Edgara Derby'ego, czy nie jest o wiele za stary, żeby służyć w wojsku. Derby przyznał, że tak.

Potem spytała Billy'ego Pilgrima, za kogo jest przebrany. Billy powiedział, że nie wie – po prostu nie chciał zmarznąć.

– Wszyscy prawdziwi żołnierze wyginęli – powiedziała wdowa i była to prawda. Zdarza się.

* * *

Inną prawdziwą rzeczą, jaką Billy zobaczył, kiedy leżał nieprzytomny w szpitalu, była praca, którą on i jego koledzy musieli wykonywać w Dreźnie podczas tego miesiąca przed zburzeniem miasta. Myli tam okna, zamiatali podłogi, czyścili ustępy oraz wkładali słoiki do kartonów i pieczętowali kartony w fabryce produkującej syrop słodowy wzbogacony witaminami i solami mineralnymi. Syrop ten był przeznaczony dla kobiet w ciąży.

W smaku przypominał rzadki miód z posmakiem hikorowego dymu i wszyscy zatrudnieni w fabryce potajemnie zajadali go po całych dniach. Nie byli wprawdzie w ciąży, ale też potrzebowali witamin i soli mineralnych. Billy nie dobrał się do syropu w pierwszym dniu pracy, jak większość pozostałych Amerykanów.

Zrobił to na drugi dzień. Wszędzie w fabryce były poutykane łyżki: za belkami, w szufladach, za kaloryferami i tak dalej. Pochowali je tam w pośpiechu ludzie, którzy podjadali syrop i usłyszeli, że ktoś idzie. Podjadanie syropu było zbrodnią.

Drugiego dnia Billy sprzątał za kaloryferami i znalazł łyżkę. Tuż za nim stała kadź stygnącego syropu. Jedynym człowiekiem, który mógł zobaczyć Billy'ego i jego łyżkę, był biedny stary Edgar Derby myjący okna od zewnątrz. Była to łyżka od zupy. Billy zanurzył ją w kadzi i zakręcił kilkakrotnie, formując coś na kształt lizaka. Włożył go do ust.

Po chwili każda komórka jego ciała zadygotała z żarłocznej wdzięczności i zachwytu.

* * *

W tym momencie rozległo się nieśmiałe pukanie w szybę. Za oknem był Derby, który wszystko widział. On też chciał trochę syropu.

Billy zrobił więc lizaka i dla niego. Otworzył okno i wetknął go w otwarte usta biednego starego Derby'ego. Minęła chwila i Derby rozplakał się jak dziecko. Billy zamknął okno i schował lepłą łyżkę, bo ktoś nadchodził.

8

Na dwa dni przed zburzeniem Drezna Amerykanów odwiedził w rzeźni bardzo interesujący gość. Był to Howard W. Campbell junior, amerykański nazista. To właśnie on napisał monografię na temat haniebnego zachowania się amerykańskich jeńców wojennych. Teraz nie zajmował się już badaniami dotyczącymi jeńców. Przyszedł do rzeźni, aby werbować ochotników do niemieckiej formacji wojskowej pod nazwą Wolny Korpus Amerykański. Campbell był założycielem i dowódcą tej formacji, która miała walczyć wyłącznie na froncie wschodnim.

* * *

Campbell wyglądałby całkiem przeciętnie, gdyby nie ekstrawagancki mundur jego własnego pomysłu. Miał na sobie wielki teksaski kapelusz z szerokim rondem i czarne kowbojskie buty ozdobione gwiazdami i swastykami. Jego ciało obciskał błękitny elastyczny kostium z żółtymi lampasami od pachy aż do kostki. Na jasnozielonych naramiennikach był wyszyty profil Abrahama Lincolna. Na rękawie miał szeroką czerwoną opaskę z błękitną swastyką w białym kole. Teraz właśnie w cementowej świniami wyjaśniał symbolikę opaski.

Billy Pilgrim miał piekielną zgagę po całodziennym łykaniu syropu. Obraz Campbella widział zniekształcony przez ruchomą zasłonę słonej wody, gdyż od tej zgagi łzawiły mu oczy.

– Błękit to amerykańskie niebo – mówił Campbell. – Biały kolor symbolizuje rasę, która opanowała kontynent amerykański, osuszyła bagna, wykarczowała lasy, pobudowała drogi i mosty. Kolor czerwony oznacza krew amerykańskich patriotów, którą zawsze tak chętnie szafowano.

* * *

Audytoryum Campbella było wyraźnie senne. Ludzie mieli za sobą ciężką pracę w fabryce syropu i długi marsz po mrozie. Byli wychudzeni i mieli zapadnięte oczy. Na ich skórze pojawiły się chorobliwe wypryski. Podobnie wyglądały ich usta, gardła i wnętrzości. Syrop słodowy, który podjadali w fabryce, zawierał tylko niewielką część witamin i minerałów, jakich wymaga organizm Ziemianina.

Campbell obiecywał teraz Amerykanom befsztyki z tłuczonymi ziemniakami i sos, i placek z jabłkami, jeśli wstąpią do Wolnego Korpusu Amerykańskiego.

– Po zwycięstwie nad Rosją – mówił – zostaniecie repatriowani przez Szwajcarię.

Nie było żadnego oddźwięku.

– Prędzej czy później będziecie musieli walczyć z komunistami – powiedział Campbell. – Dlaczego nie załatwić tego od razu?

* * *

I wtedy okazało się, że apel Campbella nie pozostanie bez odpowiedzi. Biedny stary Derby, nauczyciel szkoły średniej, któremu już niewiele życia pozostało, podniósł się ciężko. Była to zapewne najpiękniejsza chwila jego życia. W opowieści tej prawie nie ma bohaterów ani dramatycznych konfliktów, gdyż występujący w niej ludzie są albo chorzy, albo stanowią bezwolne igraszki w ręku jakichś potężnych sił. Przecież jednym z najważniejszych efektów wojny jest właśnie to, że pozbawia ludzi osobowości. Ale w tym momencie stary Derby dowiedział, że jest kimś.

Staął jak zawiany gość w barze, który szykuje się do bójki. Opuścił, głowę i zacisnął pięści, jakby czekał na sygnał do walki. Nagle podniósł głowę i nazwał Campbella żmiją. Potem się poprawił. Żmija, powiedział, nie może nic na to poradzić, że jest żmiją, natomiast Campbell, który wcale nie musi robić tego, co robi, jest czymś znacznie gorszym od żmii, szczura czy nawet opitej krwią pluskwy.

Campbell słuchał tego z uśmiechem.

Derby mówił wzruszająco o amerykańskiej demokracji, która zapewnia wszystkim wolność, sprawiedliwość i równe możliwości. Powiedział, że nie ma wśród obecnych nikogo, kto nie oddałby chętnie życia za te ideały.

Mówił o przyjaźni między narodami amerykańskim i rosyjskim i o tym, jak te dwa narody wytepią zarazę faszyzmu, która chciała opanować cały świat.

W tym momencie rozległ się ponury głos syren obwieszczających alarm lotniczy.

* * *

Amerykanie wraz ze strażnikami i Campbellem schronili się w pustej chłodni na mięso, wykutej w litej skale pod budynkiem rzeźni. Prowadziły tam żelazne schody, z żelaznymi drzwiami na górze i na dole.

W chłodni wisiało na hakach kilka sztuk bydła, owiec, świń i koni. Zdarza się. Poza tym było kilka tysięcy pustych haków. Panował tu naturalny chłód, nie było żadnych urządzeń chłodniczych. Mrok rozpraszały świece. Chłodnia miała bielone ściany i pachniała karbolem. Pod jedną ze ścian stały ławki. Amerykanie zajmowali miejsca, zmiatając z nich kawałki wapna, zanim usiedli.

Howard W. Campbell i strażnicy nie siedli. Campbell rozmawiał ze strażnikami w nienaganej niemieczyźnie. Swego czasu napisał wiele popularnych sztuk i wierszy w tym języku i ożenił się ze słynną niemiecką aktorką Resi North. Jego żona nie żyła, zginęła podczas występów dla wojska na Krymie. Zdarza się.

* * *

Tego wieczoru nic się nie wydarzyło. Dopiero następnej nocy zginie w Dreźnie sto trzydzieści tysięcy ludzi. Zdarza się. Billy zdrzemnął się w chłodni i przeniósł się w czasie, powtarzając słowo w słowo tę samą sprzeczkę z córką, od której zaczęła się niniejsza opowieść.

– Ojczy – mówiła Barbara – powiedz, co my mamy z tobą zrobić? – I tak dalej. – Czy wiesz, kogo miałabym ochotę zamordować? – spytała.

– Nie mam pojęcia.

– Tego Kilgore'a Trouta.

Kilgore Trout był i jest nadal autorem książek fantastycznonaukowych. Billy nie tylko przeczytał dziesiątki jego książek, ale zaprzyjaźnił się z nim, oczywiście w takim stopniu, w jakim można zaprzyjaźnić się z Troutem, który jest człowiekiem zgorzkniałym do szpiku kości.

* * *

Trout mieszka w Ilium w wynajętej suterenie, mniej więcej dwie mile od pięknego białego domku Billy'ego. On sam nie ma pojęcia, ile napisał powieści – chyba siedemdziesiąt pięć albo coś koło tego. Żadna z nich nie przyniosła mu pieniędzy. Trout wiąże koniec z końcem pracując w dziale rozpowszechniania

miejscowej gazety, gdzie jako przełożony roznosiciele gazet zastrasza, zwozi i oszukuje te dzieciaki.

Billy poznał go w roku 1964. Jechał właśnie swoim Cadillakiem jakąś boczną ulicą, kiedy stwierdził, że drogę blokuje mu kilkunastu chłopców na rowerach. Odbywało się tu zebranie. Przemawiał do chłopców jakiś brodaty jegomość. Był tchórzliwy i niebezpieczny i najwyraźniej znał swój fach. Trout miał wtedy sześćdziesiąt dwa lata. Mówił chłopakom, żeby wzięli dupy w troki i zaczęli zbierać prenumeraty na ten pieprzony dodatek niedzielny. Powiedział, że ten, kto w ciągu najbliższych dwóch miesięcy pozyska największą ilość prenumeratorów, otrzyma w nagrodę tygodniowy pobyt dla siebie i dla rodziców na pieprzonej wyspie pod nazwą Winnica Marty.

I tak dalej.

Jeden z roznosiciele był właściwie roznosicielką. Dziewczyna słuchała tego z płonącymi uszami.

Billy doskonale znał paranoidalne oblicze Trouta z okładek wielu książek, ale spotkawszy go nagle na ulicy rodzinnego miasta, nie mógł sobie uprzytomnić, skąd zna tę twarz. Pomyślał, że może widywał tego pomyłonego proroka gdzieś w Dreźnie. Trout z wyglądu niewątpliwie pasował na jeńca wojennego.

I wtedy roznosicielka gazet podniosła dwa palce.

– Panie Trout – spytała – czy jeśli wygram, będę mogła zabrać też siostrę?

– Gówno – odpowiedział Kilgore Trout. – Myślisz, że pieniądze rosną na drzewach?

* * *

Nawiasem mówiąc, Trout napisał książkę o drzewie dolarowym. Zamiast liści rosły na nim dwudziestodolarowe banknoty. Kwitło obligacjami pożyczki państwowej, a owocowało diamentami. Do drzewa ściągali ludzie, którzy zabijali się pod nim nawzajem, dostarczając w ten sposób doskonałego nawozu.

Zdarza się.

* * *

Billy Pilgrim zaparkował swego Cadillaka i czekał na koniec zebrania. Wreszcie wszyscy się rozjechali i został tylko jeden chłopiec, z którym Trout musiał jeszcze porozmawiać. Chłopiec chciał zrezygnować z pracy, ponieważ wymagała zbyt dużo czasu i wysiłku, wynagrodzenie zaś było bardzo mizerne. Godziło to bezpośrednio w Trouta, który musiałby doręczać gazety za chłopca, dopóki nie znajdzie na jego miejsce innego frajera.

– Co ty sobie myślisz? – zwrócił się Trout do chłopca karcąco. – Odstawiasz tu jakieś niemrawe cudo?

Niemrawe cudo to również był tytuł jednej z książek Trouta. Jej bohaterem był robot, który miał cuchnący oddech i który zdobył powszechną sympatię po wyleczeniu tej dolegliwości. Jednak najciekawsze w tej powieści, napisanej jeszcze w roku 1932, było to, że przepowiadała powszechne użycie napalmu do palenia ludzi.

Zrzucano go z samolotów i używano do tego celu robotów, jako że nie miały sumienia ani układów elektrycznych, które pozwoliłyby im wczuć się w sytuację palonych ludzi.

Główny robot Trouta wyglądał jak człowiek, umiał mówić, tańczyć i tak dalej, mógł nawet podrywać dziewczęta. I nikt nie miał do niego pretensji o to, że polewa ludzi napalmem. Unikano go tylko z powodu

cuchnącego oddechu. Potem wyleczył się z tego i był znowu przez wszystkich mile widziany.

* * *

Trout nie przekonał chłopca, który chciał zrezygnować z pracy. Powołał się na wszystkich milionerów, zaczynających w młodości od roznoszenia gazet, ale chłopiec odpowiedział:

– Założę się, że po tygodniu każdy z nich rzucał w diabły tę pieprzoną robotę.

I cisnął torbę pełną gazet oraz książkę ze spisem prenumeratorów pod nogi Trouta. Doręczenie ich było teraz jego sprawą. Trout nie miał auta. Nie miał nawet roweru i śmiertelnie bał się psów.

Gdzieś w oddali rozlegało się szczekanie dużego psa.

Kiedy Trout z ponurą miną zarzucił sobie torbę na ramię, podszedł do niego Billy Pilgrim.

– Czy pan Trout?

– Tak, słucham.

– Czy... czy pan nazywa się Kilgore Trout?

– Tak.

Trout sądził, że Billy ma jakąś skargę w związku z doręczaniem gazet. Nigdy nie myślał o sobie jako o pisarzu z tej prostej przyczyny, że świat nigdy mu nie pozwolił myśleć w ten sposób o sobie.

– Czy to pan jest tym pisarzem?

– Kim?

Billy był pewien, że się pomylił.

– Jest pisarz nazwiskiem Kilgore Trout.

– Naprawdę? – Trout był zbity z tropu i oszołomiony.

– Pan go nie zna?

Trout potrząsnął głową.

– Nikt go nie zna.

* * *

Billy pomógł Troutowi doręczyć gazety, wożąc go od domu do domu swoim Cadillakiem. Całą akcją kierował Billy. To on odnajdywał domy i stawiał ptaszki na liście. Trout był zupełnie nieprzytomny. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się spotkać miłośnika jego twórczości, a Billy był na dodatek wręcz entuzjastą.

Trout powiedział mu, że nigdy nie oglądał reklamy ani recenzji swojego utworu, że nigdy nie widział swojej książki wystawionej w oknie księgarni.

– Przez wszystkie te lata – mówił – siedziałem w otwartym oknie i mizdrzyłem się do świata.

– Musiał pan chyba dostawać listy – powiedział Billy. – Sam miałem nieraz ochotę napisać do pana. Trout podniósł do góry palec.

– Jeden.

– Czy był entuzjastyczny?

– Był zwariowany. Facet twierdził, że powinienem zostać prezydentem świata.

Okazało się, że autorem listu był Eliot Rosewater, sąsiad Billy'ego ze szpitala dla weteranów nad

jeziorem Placid. Billy opowiedział o nim Troutowi.

- Mój Boże, a ja myślałem, że on ma ze czternaście lat – zdziwił się Trout.
- Dorosły człowiek, w czasie wojny był kapitanem.
- Pisze jak czternastolatek – powiedział Kilgore Trout.

* * *

Billy zaprosił Trouta na przyjęcie z okazji osiemnastej rocznicy swojego ślubu, które miało się odbyć w dwa dni po ich pierwszym spotkaniu. Teraz przyjęcie było w toku.

Trout znajdował się w jadalni, gdzie pochłaniał kanapki. Rozmawiał z żoną jakiegoś optyka, mając usta pełne filadelfijskiego sera śmietankowego i kawioru. Wszyscy goście z wyjątkiem Trouta byli w jakiś sposób związani z optyką. On też jako jedyny z obecnych nie nosił okularów. Był prawdziwą sensacją wieczoru. Wszyscy byli podnieceni faktem, że jest wśród nich autentyczny pisarz, mimo że nikt nie czytał jego książek.

Trout rozmawiał z Maggie White, która porzuciła stanowisko pomocy dentystycznej dla stanowiska żony optyka. Była bardzo piękna. Ostatnią książką, jaka czytała, był *Ivanhoe*.

Billy Pilgrim stał w pobliżu i słuchał. Jego palce dotykały czegoś w kieszeni. Był to prezent dla żony – białe wyściełane pudełeczko zawierające pierścionek z szafirem. Pierścionek kosztował osiemset dolarów.

* * *

Dowody czolobitności, jakie otrzymywał zewsząd Trout, mimo że bezmyślne i pochodzące od profanów, działały na niego jak marihuana. Był uszczęśliwiony, hałaśliwy i bezczelny.

- Boję się, że nie czytam tyle, ile powinnam – powiedziała Maggie.
- Każdy się czegoś boi – odpowiedział Trout. – Ja na przykład boję się raka, szczurów i dobermanów.
- Powinnam to wiedzieć, ale nie wiem, więc muszę spytać – mówiła Maggie. – Jaka jest pana najsłynniejsza książka?
- Jest to historia o pogrzebie słynnego francuskiego kucharza.
- To brzmi bardzo interesująco.
- Zjeżdżają się wszyscy najsłynniejsi kucharze z całego świata. Jest to niezwykle podniosła uroczystość
- zmyślał Trout na poczekaniu. – Przed zamknięciem trumny goście żałobni posypują zmarłego papryką i zieloną pietruszką. Zdarza się i tak.

* * *

– Czy to fakt autentyczny? – dopytywała się Maggie. Była głupia, ale stanowiła nieprawdopodobną zachętę do robienia dzieci. Mężczyzna, który na nią spojrział, natychmiast odczuwał przemożną chęć

naszpikowania jej dziećmi. Jak na razie nie miała jednak ani jednego dziecka. Była zwolenniczką kontroli urodzin.

– Oczywiście, że to prawda – odpowiedział jej Kilgore Trout. – Gdybym opisał coś, co się nie zdarzyło naprawdę, i próbował to później sprzedać, poszedłbym do więzienia za oszustwo.

Maggie wierzyła mu bez zastrzeżeń.

– Wie pan, że nigdy o tym nie pomyślałam – powiedziała.

– Niech pani pomyśli teraz.

– To tak jak z reklamą. Trzeba pisać prawdę, bo można mieć przykrości.

– Słusznie. Obowiązują tu te same przepisy.

– Czy myśli pan, że my też moglibyśmy się znaleźć w którejś z pana książek?

– Opisuję w książkach wszystko, co mi się przydarzyło.

– W takim razie muszę uważać na to, co mówię.

– Słusznie. I nie tylko ja pani słucham. Bóg też panią słyszy. I w dniu Sądu Ostatecznego przypomni pani wszystko, co pani mówiła i robiła. Jeśli okaże się, że nie będą to rzeczy dobre, tylko złe, to tym gorzej dla pani, bo będzie się pani smażyć przez całą wieczność. I przez cały czas będzie bolało.

Biedna Maggie zrobiła się szara. W to też uwierzyła i skamieniała ze strachu.

Kilgore Trout ryknął śmiechem. Ziarenko kawioru wyleciało mu z ust i wpadło Maggie za dekollet.

* * *

Jeden z optyków poprosił o głos i zaproponował toast za zdrowie Billy'ego i Walencji, których rocznicę ślubu obchodzono. Zgodnie z programem zaśpiewał kwartet "Czterookich Skurczybyków", goście pili, zaś Billy i Walencja stali objęci ramionami, rozpromienieni. Oczy wszystkich zaszklily się wzruszeniem. Kwartet śpiewał piosenkę pod tytułem *Moja stara paczka*.

"Ach, oddałbym wszystko na świecie, by was zobaczyć znów" – brzmiały słowa. I tak dalej. A potem: "Żegnajcie na zawsze, chłopcy i dziewczęta, żegnajcie, druhowie i ty, miłości ma." – I tak dalej.

Niespodziewanie Billy poczuł się ogromnie wzruszony tą piosenką i całą uroczystością. Nigdy nie miał starej paczki, wiarynych druhów ani dawnej miłości, a mimo to było mu za nimi tęskno, kiedy słuchał, jak kwartet przeprowadza powolne i bolesne eksperymenty z akordami, dobierając tony świadomie gorzkie, jeszcze bardziej gorzkie, gorzkie nie do zniesienia, a potem nagle dusząco słodkie i znowu gorzkie. Billy reagował na te zmieniające się akordy całym ciałem i duszą. Poczul gorycz w ustach, zaś jego twarz wykrzywił groteskowy grymas, jakby rzeczywiście rozciągano go na torturach.

* * *

Wyglądał tak dziwnie, że goście zaczęli wymieniać pełne niepokoju uwagi. Obawiali się, że może to być atak serca, tym bardziej że Billy zrobił kilka kroków i opadł bezwładnie na fotel.

Zapanowała cisza.

– O mój Boże – powiedziała Walencja pochylając się nad nim. – Billy, co ci jest?

– Nic.

– Wyglądasz okropnie.

– Naprawdę nic mi nie jest.

Billy mówił prawdę, nie wiedział tylko, dlaczego piosenka tak nim wstrząsnęła. Od dawna już uważał, że zna sam siebie na wylot. Teraz okazało się, że na samym dnie jego serca kryje się jakaś tajemnica, a on nie ma najmniejszego pojęcia, co to jest.

* * *

Widząc, że Billy uśmiecha się, a jego policzki znów nabierają rumieńców, ludzie zaczęli się rozchodzić. Zostali przy nim Walencja i Kilgore Trout, który stał w gromadce gości, a teraz podszedł bliżej, zaintrygowany i czujny.

– Wyglądałeś, jakbyś zobaczył ducha – powiedziała Walencja.

– Nic podobnego – zaprzeczył Billy. Nie widział nic poza tym, co miał rzeczywiście przed sobą, to znaczy czterech śpiewaków, czterech zwykłych krowiookich i bezmyślnych ludzi z wyrazem rozterki na twarzach, oscylujących pomiędzy goryczą i słodyczą.

– Pozwoli pan, że zabawię się w zgadywanie? – spytał Kilgore Trout. – Myślę, że zajrzał pan w okno czasu.

– W jakie okno? – zdziwiła się Walencja.

– Pani mąż zobaczył nagle przeszłość albo przyszłość. Czy nie mam racji?

– Nie – powiedział Billy Pilgrim. Wstał, włożył rękę do kieszeni i znalazł pudełeczko z pierścieniem. Wyjął pudełeczko i z roztargnieniem podał je Walencji. Miał zamiar wręczyć jej prezent na oczach wszystkich, tuż po występie kwartetu. Teraz jedynym świadkiem był Kilgore Trout.

– To dla mnie? – spytała Walencja.

– Tak.

– Mój Boże – powiedziała. Potem powtórzyła to głośniej, tak żeby wszyscy słyszeli. Goście otoczyli ją kołem, a wtedy otworzyła pudełeczko i omal nie krzyknęła, gdy zobaczyła szafir z gwiazdką.

– O Boże! – powiedziała i ucałowała Billy'ego z całej siły. – Dziękuję ci, dziękuję, dziękuję.

* * *

Zaczęły się rozmowy na temat tego, jaką to wspaniałą biżuterię Billy zawsze dawał Walencji.

– Mój Boże – powiedziała Maggie White – ona ma taki brylant, jakie widuje się tylko w filmach.

Mówiła o brylancie, który Billy przywiózł z wojny.

Protezę dentystyczną, którą również znalazł w kusym płaszczyku impresaria, przechowywał w swojej szafie, w pudełku na spinki do mankietów. Miał tych spinek całą kolekcję, gdyż stało się już rodzinną tradycją dawanie mu spinek na Dzień Ojca. Teraz też nosił spinki, które otrzymał na Dzień Ojca. Kosztowały przeszło sto dolarów i były zrobione ze starych rzymskich monet. Miał też spinki w kształcie kólek ruletki, które się rzeczywiście obracały. Inna para składała się z prawdziwego termometru i prawdziwego kompasu.

* * *

Billy krążył wśród gości i na pozór wyglądał całkiem normalnie. Kilgore Trout chodził za nim jak cień, chcąc się wywiedzieć, co Billy zobaczył albo przeczuł. Ostatecznie większość powieści Trouta dotyczyła fałd czasu albo postrzegania pozazmysłowego i innych niezwykłych zjawisk. Trout wierzył w takie rzeczy i chciwie szukał dowodów potwierdzających ich istnienie.

– Czy próbował pan kiedyś położyć na podłodze duże lustro i postawić na nim psa? – spytał.

– Nie.

– Pies spogląda w dół i nagle widzi, że pod nim nie ma nic. Zdaje mu się, że stoi w powietrzu, i jak nie skoczy!

– Rzeczywiście?

– Pan właśnie tak wyglądał, jakby nagle zobaczył pan, że stoi w powietrzu.

* * *

Kwartet optyków zaśpiewał nową piosenkę i Billy znowu przeżywał tortury wzruszenia. Uczucie to było ponad wszelką wątpliwość związane z tymi czterema osobnikami, a nie z tym, co śpiewali.

Tym razem Billy cierpiał słuchając następującej piosenki:

*- Znów ceny bawełny spadają na łeb,
Nie starczy na mięso, nie starczy na chleb.
Módl się o słońce, bo idzie na deszcz
I będzie gorzej, choć tak źle już jest.*

*Stodołę z mazołem dźwignąłem pod dach;
Uderzył w nią piorun – splanęła do cna.
Próżnych słów szkoda, jak nie ma być źle,
Gdy ceny bawełny spadają na łeb?*

*Skąd wziąć na podatki, gdy nie ma na chleb?
Zbyt wielki to ciężar na chudy mój grzbiet...*

I tak dalej.

Billy uciekł na pierwsze piętro swego pięknego białego domu.

* * *

Trout pobiegłby tam za nim, gdyby mu Billy wyraźnie nie zapowiedział, żeby tego nie robił. Na górze Billy wszedł do łazienki i nie zapalając światła zamknął za sobą drzwi. Stopniowo dotarło do jego świadomości, że nie jest sam.

– Tata? – odezwał się z ciemności głos jego syna. Robert, przyszły żołnierz Zielonych Beretów, miał

wówczas siedemnaście lat. Billy lubił syna, ale nie znał go zbyt dobrze. Zresztą podejrzewał, że niewiele na tym traci.

Billy włączył światło. Robert siedział na sedesie ze spuszczoneymi spodniami od pidżamy. Przez ramię miał przewieszoną gitarę elektryczną, którą dziś właśnie kupił. Nie umiał jeszcze grać i prawdę mówiąc nigdy się nie nauczył. Gitara była wykładana różową macicą perłową.

– Jak się masz, synu – powiedział Billy Pilgrim.

* * *

Potem Billy poszedł do sypialni, mimo że na dole byli goście, których należało bawić. Położył się na łóżko i włączył "Magiczne Palce". Materac zaczął wibrować, co wystraszyło spod łóżka psa. Był to Spot. Poczciwy stary Spot żył jeszcze wtedy. Pies poszedł się położyć do kąta.

* * *

Billy zastanawiał się, dlaczego ten kwartet tak na niego działa, i nagle przypomniał sobie wydarzenie sprzed lat. Nie była to żadna podróż w czasie – po prostu przypomniał sobie jak przez mgłę następującą scenę:

Było to w chłodni tej nocy, kiedy zburzono Drezno. Z góry słychać było jakby stąpanie olbrzyma. Były to serie bomb burzących. Olbrzym chodził i chodził. Chłodnia stanowiła doskonały schron. Jedynie od czasu do czasu sypało się wapno z sufitu. W schronie byli tylko Amerykanie, czterech strażników i kilka wypatroszonych tusz zwierzęcych. Pozostali strażnicy udali się przed nalotem w zacisze swoich domów w Dreźnie. Zginęli wszyscy razem z rodzinami.

Zdarza się.

Dziewczęta, które Billy zobaczył nago, zginęły również w swoim znacznie płytszym schronie w innej części rzeźni.

Zdarza się.

Co jakiś czas jeden ze strażników wchodził po schodach, żeby zobaczyć, jak jest na powierzchni, a potem schodził i szeptał coś do pozostałych Niemców. Na dworze padał ognisty deszcz. Drezno było morzem ognia. Ten ogień pożerał wszystko, co organiczne, wszystko, co się pali.

Dopiero w południe następnego dnia można było opuścić schron. Kiedy Amerykanie i ich strażnicy wyszli na powierzchnię, niebo zasnuwał czarny dym. Słońce było gniewnym małym punkcikiem. Drezno nie różniło się teraz od Księżycy – ani śladu życia, nic tylko minerały. Kamienie były gorące. W sąsiedztwie nie ocalał nikt.

Zdarza się.

* * *

Strażnicy instynktownie zbili się w gromadkę, rozglądając się dokoła. Ich twarze przybierały coraz to inny wyraz, usta mieli otwarte, mimo że nic nie mówili. Wyglądali jak niemy film z występu kwartetu "Czterookich Skurczybyków".

Mogliby z powodzeniem śpiewać: "Żegnajcie na zawsze, chłopcy i dziewczęta. Żegnajcie, druhowie i ty, miłości ma."

* * *

– Opowiedz mi coś – prosiła Billy'ego Montana Wildhack w tralfamadoriańskim Zoo. Leżeli obok siebie w łóżku. Byli sami, gdyż na ich kopułę opuszczono pokrowiec. W szóstym miesiącu ciąży Montana była duża, różowa i od czasu do czasu miewała swoje drobne kaprysy. Nie mogła wystać go po lody ani po poziomki, gdyż atmosfera na zewnątrz kopuły zawierała cyjanek, a poza tym od najbliższych lodów i poziomek dzieliły ich miliony lat świetlnych.

Mogła go tylko posłać do lodówki, ozdobionej obrazkiem secesyjnej pary na tandemie, lub, tak jak teraz, przymilać się do niego:

– Billy, opowiedz mi jakąś historię.

– Drezno zostało zniszczone w nocy trzynastego lutego 1945 roku – zaczął Billy Pilgrim. – Wyszliśmy z naszego schronu następnego dnia w południe.

Opowiedział Montanie o czterech strażnikach, którzy w swoim osłupieniu i rozpaczycy wyglądali jak kwartet "Czterookich Skurczybyków". Opowiedział jej o rzeźni, skąd znikły dachy, okna i budki strażników; opowiedział o czymś, co wyglądało jak zwęglone kłocce, a co było ciałami ludzi, których ognisty deszcz przyłapał na dworze. Zdarza się.

Opowiedział jej również, co stało się z domami wokół rzeźni. Zawaliły się. Części drewniane pożarł ogień, zaś cegły rozsypały się, tworząc niskie, łagodne pagórki.

– Wyglądało to jak powierzchnia Księżyca – powiedział Billy Pilgrim.

* * *

Strażnicy kazali Amerykanom ustawić się czwórkami i poprowadzili ich z powrotem do świniań, która służyła im za mieszkanie. Ściany budynku stały nadal, ale bez dachu i okien, zaś w środku nie było niczego poza popiołem i bryłkami stopionego szkła. Zrozumieli wówczas, że nie znajdą tu wody ani pożywienia i że jeśli ci, którzy przeżyli kataklizm, chcą pozostać przy życiu, to muszą podjąć wyprawę przez księżycowe pagórki.

Co też zrobili.

* * *

Pagórki tylko z daleka wyglądały łagodnie. Ludzie, którzy się na nie wspinali, przekonywali się jednak, że są ostre i pełne pułapek – rozpalone i zdradzieckie, gotowe przy nieostrożnym kroku osypać się, tworząc jeszcze niższe, bardziej trwałe pagórki.

Wyprawa księżycowa odbywała się w milczeniu. Trudno było powiedzieć coś mądrego w tej sytuacji. Jedno było jasne: absolutnie wszyscy mieszkańcy miasta mieli zostać zabici, niezależnie od tego, kim byli, i wszystko, co się tu jeszcze ruszało, psuło ustalony plan. Na Księżycu nie powinno być ludzi.

* * *

Z chmury dymu wyłoniły się amerykańskie myśliwce, które przyleciały sprawdzić, czy nic się nie rusza. Zobaczyły tam w dole Billy'ego i pozostałych jeńców i ostrzelały ich z karabinów maszynowych, ale niecelnie. Potem dostrzegły jakichś innych ludzi poruszających się nad brzegiem rzeki i ostrzelały ich również. Niektórych zabiły. Zdarza się.

Robiono to, aby przyspieszyć koniec wojny.

* * *

Opowieść Billy'ego kończyła się bardzo dziwnie na przedmieściu nie tkniętym przez pożar i wybuchy. Strażnicy i Amerykanie przybyli o zmroku do czynnego zajazdu. Paliły się świece. Na trzech kominkach w sali jadalnej płonął ogień. Na gości czekały puste stoły i krzesła na dole oraz posłane łóżka na górze.

Był tam niewidomy właściciel i jego widząca żona, która gotowała, oraz dwie młode córki pełniące funkcje kelnerek i pokojówek. Wiedzieli, że Drezno przestało istnieć. Ci, którzy mieli oczy, widzieli, jak płonie, i zdawali sobie sprawę, że mieszkają teraz na skraju pustyni. I mimo to pracowali nadal, przecierali szkła, nakręcali zegary, dokładali do kominków i czekali, żeby zobaczyć, kto przyjdzie.

Nie było rzeki uciekinierów z Drezna. Zegary tykały, ogień trzaskał, przezroczyste świece kapały. I wtedy rozległo się pukanie i do środka weszło czterech strażników, a za nimi stu amerykańskich jeńców.

Właściciel oberży spytał strażników, czy przyszli z miasta.

– Tak.

– Czy ktoś jeszcze idzie za wami?

Strażnicy odpowiedzieli, że na trudnej drodze, jaką wybrali, nie napotkali żywej duszy.

Niewidomy oberżysta pozwolił Amerykanom przenocować w stajni i dał im zupe, kawę zbożową i trochę piwa. Potem przyszedł do stajni posłuchać, jak układają się na słomie.

– Dobranoc, Amerykanie – powiedział po niemiecku. – Śpijcie spokojnie.

A oto jak Billy Pilgrim stracił swoją żonę Walencję.

Billy leżał nieprzytomny w szpitalu w Vermont po katastrofie samolotu. Walencja zaś, dowiedziawszy się o wypadku, jechała z Ilium rodzinnym Cadillacem El Dorado Coupe de Ville. Walencja była bliska hysterii, gdyż powiedziano jej otwarcie, że Billy może umrzeć, a jeśli przeżyje, to będzie całkowitym kretynem.

Walencja uwielbiała Billy'ego. Tak płakała i zawodziła za kierownicą, że przegapiła właściwy zjazd z autostrady. Wcisnęła hamulce ze wspomaganiami i z tyłu wpakował się na nią Mercedes. Nikt nie został, Bogu dzięki, ranny, gdyż kierowcy obu wozów mieli pasy bezpieczeństwa. Bogu dzięki, dzięki Bogu. Mercedes stracił tylko reflektor, ale na widok tyłu Cadillaka specjalista od karoserii mógł dostać orgazmu. Bagażnik i błotniki zostały wgniecione do środka. Bagażnik otworzył gębę jak wiejski przygłupek, który właśnie wyjaśnia, że nic nie wie. Błotniki wzruszyły ramionami. Zderzak zrobił na ramię broń. "Reagan na prezydenta!" – głośił napis na zderzaku. Tylną szybę pokrywała pajęczyna pęknięć. Cały układ wydechowy leżał na jezdni.

Kierowca Mercedesa wysiadł i podszedł do Walencji sprawdzić, czy nic się jej nie stało. Walencja bełkotała coś histerycznie na temat Billy'ego i katastrofy lotniczej, a potem nagle ruszyła i zawróciła w niedozwolonym miejscu, pozostawiając układ wydechowy na drodze. Kiedy zajechała pod klinikę, wszyscy podbiegli do okien zobaczyć, skąd ten hałas. Cadillac bez tłumika wydawał odgłos jak ciężki bombowiec ciągnący na skrzydłach i na modlitwie. Walencja wyłączyła silnik i opadła bezwładnie na kierownicę. Klakson trąbił bez przerwy. Z kliniki wybiegł lekarz z pielęgniarką, żeby zobaczyć, co się dzieje. Biedna Walencja straciła przytomność na skutek zatrucia spalinami. Była niebiańsko lazurowa.

W godzinę później zmarła. Zdarza się.

* * *

Billy nic o tym nie wiedział. Śnił i podróżował w czasie na zmianę. W klinice było tylu pacjentów, że Billy nie mógł dostać osobnego pokoju. Leżał razem z profesorem historii z Uniwersytetu Harvarda, nazwiskiem Bertram Copeland Rumfoord. Rumfoord nie musiał oglądać Billy'ego, gdyż był on otoczony białymi płóciennymi parawanami na gumowych kółeczkach. Za to często słyszał, jak Billy mówi sam do siebie.

Rumfoord miał lewą nogę na wyciągu. Złamał ją sobie na nartach. Miał siedemdziesiąt lat, ale jego duch i ciało były o połowę młodsze. Spędzał właśnie miodowy miesiąc ze swoją piątą żoną, kiedy zdarzył mu się ten wypadek. Żona nazywała się Lily i miała dwadzieścia trzy lata.

* * *

W tym samym mniej więcej czasie, gdy stwierdzono zgon biednej Walencji, Lily wkroczyła do pokoju Billy'ego i Rumfoorda z naręczem książek. Rumfoord posłał ją po nie do Bostonu. Pracował nad jednotomową historią Amerykańskich Sił Powietrznych w drugiej wojnie światowej. Książki mówiły o bombardowaniach i bitwach powietrznych, które zdarzyły się, kiedy Lily nie było jeszcze na świecie.

* * *

– Idźcie dalej sami – powtarzał Billy w malignie, kiedy weszła piękna mała Lily. Rumfoord poznał ją w nocnym lokalu, gdzie była tancerką, postanowił, że ona musi być jego. Lily nie ukończyła szkoły średniej. Jej współczynnik inteligencji wynosił 103.

– Ja się go boję – szepnęła mężowi, wskazując Billy'ego.

– A mnie on nudzi jak cholera! – odpowiedział Rumfoord gromkim basem. – Gada przez sen i nic tylko rezygnuje, poddaje się, przeprosza i prosi, żeby go zostawiono w spokoju.

Rumfoord był generałem w stanie spoczynku Rezerwy Sił Powietrznych, oficjalnym historykiem wojsk lotniczych, profesorem zwyczajnym, autorem dwudziestu sześciu książek, multimilionerem od urodzenia i jednym z najlepszych żeglarzy świata. Najpopularniejsza z jego książek poświęcona była życiu płciowemu i ćwiczeniom fizycznym dla mężczyzn po sześćdziesiątce piątce. Teraz zacytował Teodora Roosevelta, do którego zresztą był bardzo podobny. – Potrafiłbym wystrugać lepszego człowieka z banana.

* * *

Rumfoord kazał Lily przywieźć z Bostonu między innymi oświadczenie prezydenta Trumana o zrzuconiu bomby atomowej na Hiroszimę. Rumfoord spytał Lily, czy je przeczytała.

– Nie.

Lily nie czytała zbyt biegle i była to jedna z przyczyn, dla których nie ukończyła szkoły.

Rumfoord kazał jej usiąść i natychmiast przeczytać oświadczenie Trumana. Nie orientował się, że Lily nie jest mocna w czytaniu. W ogóle wiedział o niej niewiele poza tym, że była jeszcze jednym dowodem jego nadludzkich możliwości.

Tak więc Lily usiadła i udawała, że czyta mowę Trumana, która zaczynała się następująco:

“Szesnaście godzin temu amerykański samolot rzucił jedną jedyną bombę na Hiroszimę, ważną bazę wojenną Armii Japońskiej. Bomba ta miała większą siłę niszczenia niż 20 000 ton T.N.T. Energia jej wybuchu była dwa tysiące razy większa od brytyjskiego «Szlema», największej bomby użytej w dotychczasowej historii wojen.

Japończycy rozpoczęli wojnę atakiem z powietrza na Pearl Harbor. Odpłaciliśmy im z nawiązką. I to jeszcze nie koniec. Nowa bomba dokonała przewrotu w rozwoju środków rażenia i wzmocniła rosnącą potęgę naszych sił zbrojnych. W produkcji znajdują się dalsze bomby tego samego typu i prowadzone są prace nad jeszcze potężniejszymi.

Jest to bomba atomowa. Oznacza to ujarzmienie podstawowej energii wszechświata. Przeciwno tym, którzy rozpętali wojnę na Dalekim Wschodzie, użyto tej samej energii, z której korzysta Słońce.

Przed rokiem 1939 uczeni dopuszczali teoretyczną możliwość wyzwolenia energii atomowej, ale nie znano praktycznej metody osiągnięcia tego efektu. W 1942 roku dowiedzieliśmy się, że Niemcy pracują gorączkowo nad sposobami dodania energii atomowej do innych machin zniszczenia, za pomocą których chcieli

opanować świat. Ich starania skończyły się fiaskiem. Możemy być wdzięczni Opatrzności za to, że Niemcy zbudowali swoje V-1 i V-2 tak późno i w tak niewielkich ilościach, a jeszcze bardziej za to, że nie weszli w posiadanie bomby atomowej.

Bitwa toczona w laboratoriach była dla nas nie mniej ważna niż bitwy toczone w powietrzu, na lądzie i na morzu i teraz możemy powiedzieć, że odnieśliśmy zwycięstwo w bitwie laboratoriów, podobnie jak zwyciężaliśmy w innych bitwach.

Jesteśmy teraz w stanie szybciej i bardziej gruntownie zniszczyć każdy zakład przemysłowy Japończyków znajdujący się na powierzchni ziemi w dowolnym mieście – powiedział Hany Truman. – Zniszczymy ich stocznie, fabryki i system komunikacyjny. Niech nikt nie ma co do tego wątpliwości: zniszczymy całkowicie japońską maszynę wojenną. Po to, aby zaoszczędzić..."

I tak dalej.

* * *

Wśród książek, jakie Lily przyniosła Rumfoordowi, znajdowało się też *Zniszczenie Drezna* pióra angielskiego autora Davida Irvinga. Było to amerykańskie wydanie Holta, Rineharta i Winstona z 1964 roku. Rumfoord chciał wykorzystać fragmenty przedmów swoich przyjaciół: Iry C. Eakera, amerykańskiego generała lotnictwa w stanie spoczynku, oraz sir Roberta Saundby, brytyjskiego marszałka lotnictwa i kawalera najwyższych odznaczeń.

"Trudno mi zrozumieć tych Anglików i Amerykanów, którzy rozczulają się nad cywilną ludnością przeciwnika zamiast oplakiwać naszych bohaterskich lotników poległych w walce z okrutnym wrogiem – pisał między innymi przyjaciel Rumfoorda, generał Eaker. – Myślę, że dobrze by było, gdyby pan Irving, malując przeraźliwy obraz strat ludności cywilnej Drezna, pamiętał, że w tym-samym czasie spadały na Anglię pociski V-1 i V-2, zabijając bez wyboru mężczyzn, kobiety i dzieci, gdyż po to zostały zbudowane i wystrzelone. Dobrze by też było przypomnieć panu Irvingowi Buchenwald i Coventry."

Przedmowa Eakera kończyła się następująco:

"Żałuję głęboko, że brytyjskie i amerykańskie bombowce w ataku na Drezno zabiły 135 000 ludzi, ale pamiętam, kto rozpętał ostatnią wojnę, i znacznie bardziej jest mi żal tych przeszło 5 000 000 poległych po stronie aliantów, którzy musieli zginąć, aby pokonać i raz na zawsze zmiażdżyć hitleryzm."

Zdarza się.

Natomiast marszałek lotnictwa Saundby pisał między innymi tak:

"Nikt nie może zaprzeczyć, że zbombardowanie Drezna było wielką tragedią. Po przeczytaniu tej książki niewiele będzie nadal wierzyć, że było ono koniecznością z wojskowego punktu widzenia. Była to jedna z tych potwornych rzeczy, jakie zdarzają się w czasie wojen na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Ci, którzy podjęli decyzję, nie byli zli ani okrutni, chociaż prawdopodobnie znajdowali się zbyt daleko od brutalnej rzeczywistości wojny, aby w pełni zdawać sobie sprawę z potwornej niszczycielskiej siły bombardowań lotniczych na wiosnę 1945 roku.

Propagatorzy rozbrojenia nuklearnego wydają się wierzyć, że z chwilą gdy osiągną swój cel, wojny staną się znośne i w miarę przyzwoite. Dobrze będzie, jeśli przeczytają tę książkę i zastanowią się nad losem Drezna, w którym na skutek ataku powietrznego przy użyciu broni konwencjonalnej zginęło 135 000 osób. W

nocy 9 marca 1945 nalot amerykańskich ciężkich bombowców na Tokio, przy użyciu bomb burzących i zapalających, spowodował śmierć 83 793 osób. Bomba atomowa zrzucona na Hiroszimę zabiła 71 379 osób."

Zdarza się.

– Jeżeli będziecie kiedyś w Cody w stanie Wyoming – powiedział Billy Pilgrim zza swoich białych płóciennych parawanów – wystarczy spytać o Dzikiego Boba.

Lily Rumfoord drgnęła i dalej udawała, że czyta przemówienie Trumana.

* * *

Nieco później tego samego dnia przyszła córka Billy'ego Barbara. Była ogłuszona środkami uspokajającymi i miała taki sam nieprzytomny wyraz twarzy jak biedny stary Edgar Derby prowadzony na rozstrzelanie. Lekarze naszpikowali ją pigułkami, aby mogła jakoś funkcjonować, mimo że jej matka umarła, a ojciec był ledwie żywy.

Zdarza się.

Towarzyszyli jej lekarz i pielęgniarka. Jej brat Robert leciał do domu prosto z pola bitwy w Wietnamie.

– Tatusiu – spytała niepewnie. – Tatusiu?

Ale Billy był o dziesięć lat stąd, w roku 1958. Badał właśnie oczy małego kretyna, aby mu przepisać szkła. Matka kretyna stała obok, występując w roli tłumacza.

– Ile widzisz kropek? – pytał Billy Pilgrim.

* * *

A potem Billy przeniósł się w czasy, kiedy miał szesnaście lat i sam siedział w poczekalni u lekarza. Miał zastrzał na palcu. Oprócz niego był tam tylko jeszcze jeden pacjent, staruszek. Staruszek cierpiał bardzo na skutek wzdęcia. Odbijało mu się i miał straszliwe gazy.

– Przepraszam – powiedział do Billy'ego i znowu przyknął. – O Boże – dodał – wiedziałem, że starość to nie radość, ale nie przypuszczałem, że to takie straszne.

* * *

Billy Pilgrim otworzył oczy w klinice w Vermont i nie wiedział, gdzie się znajduje. Przyglądał mu się jego syn Robert. Miał na sobie mundur słynnych Zielonych Beretów. Jego pszeniczne włosy były ostrzyżone krótko, na jeża. Wyglądał czysto i schludnie. Miał odznaczenia Purpurowego Serca, Srebrnej Gwiazdy i Brązowej Gwiazdy z dwoma paskami.

Oto był chłopiec, którego wyrzucono ze szkoły, który w wieku szesnastu lat był alkoholikiem, zadawał się z bandą zdeprawowanych wyrostków i został kiedyś aresztowany za wywracanie nagrobków na katolickim cmentarzu. Teraz był zupełnie innym człowiekiem. Miał doskonałą postawę, lśniące buty, zaprasowane spodnie i dowodził ludźmi.

– Tato?...

Billy Pilgrim ponownie zamknął oczy.

* * *

Stan Billy'ego nie pozwolił mu wziąć udziału w pogrzebie żony, był jednak przytomny, kiedy składano ją do grobu w Ilium. Billy prawie się nie odzywał od chwili odzyskania przytomności, nie skomentował ani śmierci Walencji, ani powrotu Roberta z wojny – uważano więc, że popadł w całkowitą apatię. Mówiono o możliwości przeprowadzenia później operacji, która poprawiłaby ukrwienie jego mózgu.

W rzeczywistości ta apatia Billy'ego była tylko maską, która skrywała gorączkową działalność umysłu. Billy układał w myśli listy i prelekcje na temat latających talerzy, nieważności śmierci i prawdziwej natury czasu.

* * *

Profesor Rumfoord mówił o Billym przerażające rzeczy, potworne, straszne, gdyż uważał, że jego mózg znajduje się w stanie rozkładu.

– Dlaczego nie pozwolą mu umrzeć? – zapytywał Lily.

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Przecież to już nie jest człowiek. Lekarze powinni się zajmować ludźmi, a jego należałoby oddać do weterynarza albo do ogrodnika. Oni wiedzieliby, co z nim zrobić. Spójrz tylko na niego! To ma być życie według przedstawicieli medycyny! Piękne życie, co?

– Nie wiem – powiedziała Lily.

* * *

Rumfoord opowiadał kiedyś Lily o bombardowaniu Drezna i Billy wszystko słyszał. Rumfoord miał z Dreznem kłopot. Jego jednotomowa historia Amerykańskich Sił Powietrznych w drugiej wojnie światowej miała być popularnym skrótem dwudziestosiedmiotomowej *Oficjalnej historii Sił Powietrznych w drugiej wojnie światowej*. Rzecz polegała na tym, że w tych dwudziestu siedmiu tomach nie było prawie nic na temat nalotu na Drezno, chociaż zakończył się on takim oszołamiającym sukcesem. Rozmiary tego sukcesu trzymano w tajemnicy przez wiele lat po wojnie – w tajemnicy przed ludnością amerykańską, gdyż nie był on oczywiście tajemnicą dla Niemców ani dla Rosjan, którzy okupowali Drezno po wojnie.

* * *

– Amerykanie dowiedzieli się wreszcie o Dreźnie w dwadzieścia trzy lata po wojnie – powiedział Rumfoord. – Wielu z nich wie dzisiaj, że było to o wiele gorsze od Hiroszimy, muszę więc powiedzieć coś na ten temat w swojej książce. Z oficjalnego punktu widzenia Sił Powietrznych będzie to całkowicie nowy materiał.

– Dlaczego trzymano to tak długo w tajemnicy? – spytała Lily.

– Z obawy, aby różne tkliwe duszyczki nie pomyślały, że decyzja ta nie była najlepsza z możliwych.

W tym momencie Billy Pilgrim po raz pierwszy odezwał się do rzeczy.

– Byłem tam – powiedział.

* * *

Rumfoord nie mógł potraktować Billy'ego poważnie, gdyż przywykł już uważać go za odrażający szczątek człowieka, dla którego lepiej by było, gdyby umarł. Kiedy teraz Billy przemówił wyraźnie i z sensem, uszy Rumfoorda odebrały jego słowa jak egzotyczny język, którego nie warto się uczyć.

– Co on mówi? – spytał.

Lily musiała służyć za tłumacza.

– Mówi, że tam był.

– Gdzie?

– Nie wiem – powiedziała Lily. – Gdzie pan był? – spytała Billy'ego.

– W Dreźnie.

– W Dreźnie – przetłumaczyła Lily Rumfoordowi.

– On po prostu powtarza nasze słowa – stwierdził Rumfoord.

– Naprawdę?

– Ma widocznie echolalię.

– Naprawdę?

* * *

Echolalia jest to zaburzenie umysłowe polegające na tym, że chory natychmiast powtarza wszystko, cokolwiek zdrowi ludzie przy nim powiedzą. Ale Billy nie był na to chory. To tylko Rumfoord dla swojej własnej wygody twierdził, że Billy ma echolalię. Rozumował na sposób wojskowy: niewygodny człowiek, któremu z pobudek czysto praktycznych życzył śmierci, musi przecież cierpieć na jakąś odrażającą chorobę.

* * *

Rumfoord godzinami wmawiał lekarzom i pielęgniarkom, że Billy ma echolalię. Przeprowadzono z Billym kilka eksperymentów. Usiłowano go sprowokować do powtórzenia czegoś, ale on milczał jak zakłęty.

– Teraz tego nie robi – powiedział Rumfoord ze złością. – Jak tylko wyjdziecie, zacznijcie znowu.

Nikt nie brał diagnozy Rumfoorda poważnie. Personel kliniki uważał go za nieznośnego starucha, zarozumiałego i okrutnego. Często powtarzał im przy różnych okazjach, że ludzie słabi zasługują na to, by umrzeć. Tymczasem personel był oczywiście przejęty ideą, że ludziom słabym trzeba pomagać i że nikt nie powinien umierać.

* * *

Tam w klinice Billy przeżywał sytuację, w jakiej często znajdują się ludzie, którzy w czasie wojny nie mieli nic do powiedzenia. Próbował przekonać symulującego głuchotę i ślepotę przeciwnika, że powinien

słyszeć i widzieć. Milczał aż do chwili, kiedy zgaszono światła, i po dłuższym milczeniu powiedział do Rumfoorda:

– Byłem w Dreźnie podczas bombardowania jako jeńiec wojenny.

Rumfoord westchnął zniecierpliwiony.

– Słowo honoru – powiedział Billy Pilgrim. – Nie wierzy mi pan?

– Czy musimy o tym teraz rozmawiać? – spytał Rumfoord. Słyszał, ale nie wierzył.

– Wcale nie musimy o tym rozmawiać – powiedział Billy Pilgrim. – Chcę tylko, żeby pan wiedział, że tam byłem.

* * *

Tej nocy nie padło już ani jedno słowo na temat Drezna. Billy zamknął oczy i przeniósł się w majowe popołudnie, dwa dni po zakończeniu drugiej wojny światowej w Europie. Billy i pięciu innych jeńców amerykańskich jechali zielonym furgonem w kształcie trumny, który znaleźli wraz z parą koni na przedmieściu Drezna. Jechali wśród miarowego stukotu kopyt wąskimi drózkami przekopanymi wśród księżycowych ruin. Wracali do rzeźni po swoje łupy wojenne. Billy'emu przypomniały się odgłosy wozu mleczarza w Ilium, kiedy był małym chłopcem.

Billy siedział w tyle brzęczącej trumny. Głowę miał odchyloną, nozdrza rozdęte. Był szczęśliwy. Nie czuł chłodu. W furgonie była żywność i wino, a także aparat fotograficzny, kolekcja znaczków pocztowych, wypchana sowa i zegar poruszany zmianami ciśnienia atmosferycznego. Amerykanie pozabierali to wszystko i jeszcze wiele innych rzeczy z opuszczonych domów w swojej dzielnicy.

Właściciele domów uciekli na wieść, że nadchodzą Rosjanie.

Ale Rosjanie nie przychodzili, mimo że już dwa dni minęły od kapitulacji. Wśród ruin panował spokój. Po drodze do rzeźni Billy spotkał tylko jednego człowieka. Był to starzec z dziecinnym wózkiem, w którym wiozł garnuszki, filiżanki, szkielet parasola oraz inne przedmioty znalezione na pogorzeliisku.

* * *

Kiedy dojechali do rzeźni, Billy pozostał przy wozie i opalał się. Inni udali się na poszukiwanie łupów. W wiele lat później Tralfamadorczycy będą radzić Billy'emu, aby koncentrował się na szczęśliwych chwilach życia i ignorował nieszczęśliwe – aby oglądał tylko rzeczy piękne w nieprzemijającej wieczności. Gdyby Billy potrafił wybierać chwile tak jak oni, to pewnie wybrałby tę drzemkę w promieniach słońca na tyle furgonu jako najszczęśliwszą chwilę swego życia.

* * *

Billy Pilgrim drzemał pod bronią. Był uzbrojony po raz pierwszy od czasu, gdy ukończył szkolenie rekruckie. Jego towarzysze nalegali, aby się uzbroił, gdyż Bóg jeden wie, jakie niebezpieczeństwa mogą kryć się w księżycowych kraterach: dzikie psy, stada szczurów karmiących się ludzkim mięsem, zbiegli szaleńcy i

mordercy, żołnierze, którzy nie potrafią przestać zabijać, dopóki ich ktoś nie zabije.

Billy miał za pasem ogromny pistolet kawalerski. Był to zabytek z pierwszej wojny światowej, z kółeczkiem wkręconym w drewnianą kolbę. Ładowało się go kulami wielkości gołębiego jaja. Billy znalazł go na szafce nocnej w opuszczonym domu. To właśnie była jedna z charakterystycznych cech końca wojny – absolutnie każdy, kto tylko chciał, mógł zdobyć broń. Poniewierala się na każdym kroku. Billy miał także sztylet. Był to paradny kordzik Luftwaffe. Jego rękojeść zdobił orzeł z otwartym dziobem. Orzeł patrzył w dół i trzymał w szponach swastykę. Billy zobaczył kordzik wbity w słup telefoniczny i wyciągnął go nie zsiadając z wozu.

* * *

Billy'ego wyrwały z drzemki tklive głosy kobiety i mężczyzny, rozmawiających po niemiecku. Głosy wyrażały komuś swoje serdeczne współczucie. Zanim Billy otworzył oczy, pomyślał, że tak pewnie rozmawiali przyjaciele Jezusa zdejmując z krzyża jego storturowane ciało. Zdarza się.

Billy otworzył oczy i zobaczył, że para ludzi w średnim wieku przemawia tak czule do koni. Zauważyli oni to, na co Amerykanie nie zwrócili uwagi – mianowicie, że pyski koni krwawią, pokaleczone wędzidłami, że popękane kopyta sprawiają im ból przy każdym kroku, że biedne zwierzęta zdychają z pragnienia. Amerykanie traktowali swój środek transportu, jakby to był sześciocyndrowy Chevrolet.

* * *

Para miłośników koni obeszła furgon i z wyrzutem w oczach zatrzymała się naprzeciwko Billy'ego – naprzeciwko długiego i słabego Billy'ego Pilgrima, tak śmiesznego w swojej lazuruwej todze i srebrnych butach. Nie czuli przed nim strachu. Nie obawiali się już niczego. Oboje byli lekarzami położnikami. Przyjmowali porody, dopóki nie spłonęły wszystkie szpitale, a obecnie biwakowali w pobliżu miejsca, gdzie przed bombardowaniem stał ich dom.

Kobieta miała subtelna urodę, była przezroczysta na skutek długotrwałego odżywiania się samymi kartoflami. Mężczyzna miał na sobie garnitur, krawat i wszystko, co należy. Na kartoflach wychudł. Był tego wzrostu co Billy i nosił trójogniskowe okulary w stalowej oprawie. Ludzie ci, tak zaangażowani w sprawy przyrostu naturalnego, sami dzieci nie mieli, choć nie było po temu żadnych przeszkód. Stanowiło to interesujący komentarz do całej sprawy rozmnażania się ludzi.

Znali do spółki dziewięć języków. Zaczęli po polsku, widocznie groteskowy strój Billy'ego kojarzył im się z nieszczęsnymi Polakami, często równie dziwacznie odzianymi w przypadkowo pozbierane części garderoby.

Billy spytał ich po angielsku, czego sobie życzą, a oni natychmiast zbesztali go w tymże języku za stan zwierząt. Kazali mu zejść z wozu i popatrzeć na konie. Kiedy zobaczył, w jakim stanie znajduje się jego środek transportu, rozplakał się. Po raz pierwszy nad czymś płakał na tej wojnie.

* * *

Później już, jako starszy wiekiem optyk, popłakiwał czasem z cicha na osobności, ale nigdy nie pozwalał sobie na głośne łkania.

Właśnie dlatego motto tej książki stanowi czterowiersz z popularnej kolędy. Billy płakał bardzo rzadko, choć często widywał rzeczy, nad którymi należałoby płakać, i przynajmniej pod tym względem przypominał Chrystusa z kolędy.

*- Bydło ryczy, ptactwo gdacze,
Dzieciątko się budzi,
Ale Jezus nasz nie płacze
Ani nie marudzi.*

Billy przeniósł się w czasie z powrotem do kliniki w Vermont. Właśnie uprzątnięto po śniadaniu i Rumfoord z pewnym ociąganiem zaczynał traktować Billy'ego jako istotę ludzką. Burkliwie zadał Billy'emu szereg pytań i upewnił się że naprawdę był on w Dreźnie. Spytał wtedy, jak to wyglądało, i Billy opowiedział mu o koniach i o tej starszej parze biwakującej na Księżycu.

Opowieść kończyła się tak: Billy wraz z parą lekarzy wyprzęgli konie, ale te nie chciały się nigdzie ruszyć. Miały zbyt obolałe nogi. I wtedy przyjechali na motocyklach Rosjanie i zabrali wszystkich z wyjątkiem koni.

W dwa dni później Billy został przekazany Amerykanom, którzy odesłali go do kraju powolnym statkiem towarowym pod nazwą "Lukrecja A. Mott". Lukrecja A. Mott była słynną amerykańską sufrażystką. Nie żyła już. Zdarza się.

* * *

– To było konieczne – powiedział Rumfoord mając na myśli zniszczenie Drezna.
– Wiem – odpowiedział Billy.
– To jest wojna.
– Wiem. Nie skarżę się.
– Tam na ziemi musiało być piekło.
– Było – potwierdził Billy Pilgrim.
– Należy współczuć ludziom, którzy musieli to zrobić.
– Współczuję im.
– Musiał pan mieć mieszane uczucia tam pod bombami.
– Nie ma o czym mówić – powiedział Billy. – Wszystko jest w porządku i każdy robi dokładnie to, co musi. Nauczyłem się tego na Tralfamadorii.

* * *

Nieco później tego samego dnia córka zabrała Billy'ego do domu, położyła go do łóżka i włączyła "Magiczne Palce". Miał tam też pielęgniarkę. Nie wolno mu było pracować ani wychodzić z domu. Znajdował się pod obserwacją.

Billy jednak wymknął się, korzystając z nieuwagi pielęgniarki, i pojechał samochodem do Nowego Jorku, gdzie miał zamiar wystąpić w telewizji. Chciał powiedzieć światu o tym, czego nauczył się od Tralfamadorczyków.

* * *

Billy Pilgrim zatrzymał się w hotelu "Royalton" na Czterdziestej Czwartej ulicy w Nowym Jorku. Przypadkowo otrzymał pokój, w którym mieszkał niegdyś George Jean Nathan, krytyk i wydawca. Zgodnie z ziemskim pojęciem czasu Nathan zmarł w roku 1958. Zgodnie z tralfamado-riańskim pojęciem czasu Nathan oczywiście żył i żyć będzie zawsze.

Pokój był mały i skromny, ale mieścił się na najwyższym piętrze i miał oszklone drzwi wychodzące na taras tej samej wielkości co pokój. Poza parapetem zaś rozciągała się przestrzeń ponad Czterdziestą Czwartą ulicą. Billy wychylił się z tarasu i spojrzał w dół na wędrujących w tę i z powrotem ludzi. Wyglądali jak małe, podrygujące nożyczki. Było to bardzo śmieszne.

Noc była chłodna, więc po chwili Billy wszedł do pokoju i zamknął drzwi na taras. Przypomniało mu to miesiąc miodowy. W ich miłosnym gniazdku na półwyspie Ann były takie same drzwi, są nadal, będą zawsze.

Billy włączył telewizor i kręcił przełącznikami kanałów. Szukał programu, w którym pozwolono by mu wystąpić. Było jednak jeszcze za wcześnie na programy, w których ludzie mogliby ujawniać swoje poglądy. O tej porze, parę minut po ósmej, nadawano wyłącznie programy o błżeństwach albo o morderstwach. Zdarza się.

* * *

Billy zamknął swój pokój, zjechał windą na dół, wyszedł na Times Square i zatrzymał się przed wystawą podrzędnej księgarni. Na wystawie leżały setki książek o stosunkach płciowych, zboczeniach i morderstwach, przewodnik po Nowym Jorku i model Posągu Wolności z termometrem. Wśród tego wszystkiego leżały też cztery zakurzone i popstrzone przez muchy powieści przyjaciela Billy'ego, Kilgore'a Trouta.

Tymczasem na dachu budynku za plecami Billy'ego błyskały świetlne nowości dnia. Słowa odbijały się w szybie wystawowej. Mówiły o władzy, sporcie, gniewie i śmierci. Zdarza się.

Billy wszedł do księgarni.

* * *

W środku wisiał napis głoszący, że wstęp na zaplecze mają tylko dorośli. Można tam było, przytknąwszy oko do otworu, zobaczyć na filmie młode kobiety i mężczyźni bez ubrań. Minuta oglądania kosztowała dwadzieścia pięć centów. Sprzedawano tam również fotografie nagich młodych ludzi. Wolno je było

zabierać do domu. Fotografie były bardziej tralfamadorskie niż filmy, gdyż człowiek mógł je oglądać, kiedy tylko chciał, a one nie ulegały zmianie. Minie dwadzieścia lat, a te dziewczyny będą nadal młode, uśmiechnięte albo omdlewające z rozkoszy, albo po prostu głupio wytrzeszczone, z rozłożonymi nogami. Niektóre z nich lizały lizaki albo jadły banany i za dwadzieścia lat będą je jadły tak samo. I członki młodych mężczyzn też będą nabrzmiałe, zaś ich bicepsy zawsze będą wypukłe jak kule armatnie.

Billy'ego jednak nie pociągało zaplecze księgarni. Poruszył go widok książek Kilgore'a Trouta na froncie. Nie czytał ich jeszcze, a przynajmniej tak mu się wydawało. Otworzył jedną z nich. Uważał, że ma do tego prawo, gdyż wszyscy klienci w sklepie przeglądali wydawnictwa. Tytuł książki brzmiał *Wielka tablica*. Billy przebiegł wzrokiem kilka akapitów i uświadomił sobie, że już to czytał – przed laty, w szpitalu dla weteranów. Była to historia mężczyzny i kobiety, którzy zostali porwani przez przybyszów z Kosmosu i wystawieni na pokaz w ogrodzie zoologicznym na planecie o nazwie Cyrkon 212.

* * *

Ci wymyśleni bohaterowie mieli w swoim wybiegu w Zoo wielką na całą ścianę tablicę pokazującą rzekomo aktualne notowania giełdowe i ceny artykułów, dalekopis oraz telefon łączący jakoby bezpośrednio z maklerem na Ziemi. Mieszkańcy Cyrkonu 212 powiedzieli swoim jeńcom, że zainwestowali na Ziemi milion dolarów na ich nazwiska i że tylko od odpowiedniej manipulacji tymi pieniędzmi zależy, czy po powrocie na Ziemię będą bajecznie bogaci.

I telefon, i wielka tablica, i dalekopis były oczywiście fałszywe. Miały spełniać po prostu rolę bodźca, aby Ziemianie żwawiej się ruszali, zabawiając w ten sposób widzów – aby podskakiwali i krzyczeli z radości albo chodzili ponurzy i rwali włosy z głowy, aby byli przerażeni, że stracili wszystko co do grosza, albo też cieszyli się niczym niemowlęta w ramionach matki.

Ziemianie grali początkowo z powodzeniem, co też było oczywiście z góry zaplanowane. Później włączono jeszcze do zabawy religię. Dalekopis przypominał jeńcom, że prezydent Stanów Zjednoczonych zainaugurował Ogólnonarodowy Tydzień Modlitwy i że wszyscy powinni się modlić. Ziemianie mieli poprzednio złą passę na giełdzie – stracili małą fortunę na oliwie jadalnej – wzięli się więc do modlitw z zapalem.

Na skutki nie trzeba było długo czekać. Ceny oliwy poszły w górę.

* * *

Inna z wystawionych w witrynie książek Trouta opowiadała o człowieku, który zbudował maszynę czasu, aby móc cofnąć się w przeszłość i zobaczyć Jezusa. Udało mu się zobaczyć Jezusa w wieku dwunastu lat, kiedy uczył się od swego ojca ciesiołki.

Do warsztatu przyszli dwaj rzymscy żołnierze, przynosząc papirus z rysunkiem technicznym urządzenia, które chcieli odebrać przed świtem następnego dnia. Był to krzyż, na którym miano powiesić buntownika.

Jezus z ojcem zbudowali to urządzenie. Byli zadowoleni, że trafiła im się robota. I buntownika powieszono.

Zdarza się.

* * *

Księgarnię prowadziły pseudopięćoraczki, pięciu niskich, łysych jegomościów zujących nie zapalone, zaślinione cygara. Byli śmiertelnie poważni i siedzieli każdy na swoim stołku jak kruki na gałęziach. Zarabiali na utrzymanie prowadząc papierowo-celuloidowy burdel. Ich to nie podniecało. Billy'ego Pilgrima również. Czego nie można powiedzieć o pozostałych klientach. Był to śmieszny sklep, wszystko tu miało związek z miłością i robieniem dzieci.

Sprzedawcy co jakiś czas mówili komuś, żeby kupował albo wynosił się ze sklepu, że nie wolno tylko patrzeć i grzebać w towarze. Niektórzy z klientów patrzyli zresztą nie na towar, tylko na siebie nawzajem.

Jeden ze sprzedawców podszedł do Billy'ego i powiedział mu, że na zapleczu są lepsze rzeczy, a książki, które Billy przegląda, to tylko kamuflaż.

– To nie jest to, o co panu chodzi, na litość boską – powiedział. – To, o co panu chodzi, jest tam w głębi.

Billy przeszedł nieco dalej, ale jeszcze nie tam, gdzie zaczynała się część tylko dla dorosłych. Zrobił to z wrodzonej grzeczności i wziął ze sobą książkę Trouta – tę o Jezusie i maszynie czasu.

Bohater książki wyprawił się w czasy biblijne głównie po to, aby sprawdzić, czy Jezus rzeczywiście umarł na krzyżu, czy też żył jeszcze, kiedy go zdjęto, i czy naprawdę zmartwychwstał. Nasz bohater wziął ze sobą stetoskop.

Billy zajrzał od razu na koniec książki, gdzie bohater, ubrany w strój z epoki, wmieszał się między ludzi zdejmujących Jezusa z krzyża. To on pierwszy wszedł po drabinie i przywarł do ukrzyżowanego, aby nie dostrzeżono stetoskopu.

W wynędzniałej piersi nie rozlegał się żaden dźwięk. Syn Boga był gwarantowanym nieboszczykiem.

Zdarza się.

Naszemu podróżnikowi po czasie, który nazywał się Lance Corwin, nie udało się zważyć Jezusa, ale zmierzył jego wzrost. Jezus miał pięć stóp i trzy i pół cala.

* * *

Inny sprzedawca podszedł do Billy'ego i spytał, czy kupuje tę książkę, czy nie. Billy odpowiedział, że tak, że kupuje. Stał przy półce z książkami na temat kontaktów oralno-genitalnych od starożytnego Egiptu do współczesności i tak dalej, sprzedawca sądził więc, że Billy czyta jedną z nich. Kiedy zobaczył, co Billy trzyma w ręku, przeżył szok.

– Rany boskie! – zawołał. – Gdzie pan to znalazł? – i tak dalej, po czym poszedł powiedzieć pozostałym sprzedawcom o zbrojeńcu, który chciał kupić atrapę z wystawy. Pozostali sprzedawcy wiedzieli już o Billym. Mieli go na oku od dłuższej chwili.

Przy kasie leżały stare numery czasopism z rozebranymi dziewczynami. Billy, czekając na wydanie reszty, kątem oka dostrzegł na okładce jednego z nich pytanie: Co się stało z Montaną Wildhack?

* * *

Billy przeczytał sobie ten artykuł. Oczywiście wiedział, co się dzieje z Montaną Wildhack. Była na Tralfamadorii i zajmowała się dzieckiem, ale czasopismo pod tytułem "Nocny Kociak" twierdziło, że oblana cementem spoczywa na głębokości trzydziestu sążni w słonych wodach zatoki San Pedro.

Zdarza się.

Billy miał ochotę roześmiać się w głos. Czasopismo, którego jedynym celem było dostarczanie podniet erotycznych samotnym panom, dało ten artykuł tylko po to, żeby móc zamieścić zdjęcia z pornograficznych filmów, od których Montaną zaczynała swoją karierę. Billy nie przyglądał im się z bliska. Zdjęcia były bardzo marne: sadza i kreda. Mogły przedstawiać każdego.

Billy został ponownie odesłany na zaplecze i tym razem usłuchał. Jakiś podpity marynarz odszedł od automatu filmowego, który jeszcze działał. Billy zajrzał i zobaczył Montaną Wildhack w łóżku, obierającą banana. W tym momencie automat się wyłączył. Billy nie chciał oglądać, co będzie dalej, i wówczas sprzedawca zaczął go zamęczać, aby poszedł z nim i obejrzał naprawdę mocne rzeczy, jakie trzymają pod ladą tylko dla koneserów.

Billy'ego zaciekawilo z lekka, co jeszcze można trzymać pod ladą w takim sklepie jak ten. Sprzedawca lubieżnie łypnął okiem i pokazał mu fotografię kobiety i szetlandzkiego kuca. Para ta usiłowała spółkować między dwiema doryckimi kolumnami, na tle aksamitnej kotary ozdobionej frędzlami.

* * *

Billy'emu nie udało się wprawdzie tego wieczoru wystąpić w telewizji, ale za to trafił do radia. Studio mieściło się tuż obok hotelu. Billy zobaczył napis nad drzwiami i wszedł do środka. Wjechał windą na górę, gdzie czekali już inni ludzie. Byli to krytycy literaccy, którzy uznali, że Billy jest również krytykiem. Mieli wziąć udział w dyskusji na temat kryzysu powieści. Zdarza się.

Billy zajął miejsce wraz z innymi przy złocistym dębowym stole, gdzie każdy miał przed sobą mikrofon. Prowadzący spytał go o nazwisko i o to, jaką redakcję reprezentuje. Billy powiedział, że jest z "Ilium Gazette".

Czuł przyjemne podniecenie i zadowolenie z siebie. "Jeśli będziecie kiedyś w Cody, w stanie Wyoming, wystarczy spytać o Dzikiego Boba", powtarzał sobie w myśli.

* * *

Billy podniósł rękę zaraz na początku programu, ale nie od razu udzielono mu głosu. Przed nim wystąpiło kilku krytyków. Jeden z nich powiedział, że najwyższy czas pogrzebać powieść, skoro pewien Wirgińczyk napisał na nowo *Chatę wuja Toma* w sto lat po klęsce Południa. Inny krytyk powiedział, że współczesny czytelnik nie potrafi już odtwarzać w swoim umyśle pasjonujących sytuacji na podstawie lektury i dlatego pisarze muszą tak jak Norman Mailer przedstawiać publicznie to, co piszą. Potem prowadzący spytał zebranych, jaką rolę ich zdaniem powinna odgrywać powieść we współczesnym społeczeństwie. "Wprowadzać element koloru do jednostajnie białych mieszkań" – powiedział jeden z krytyków. "Opisywać artystycznie

francuską miłość" – powiedział drugi. "Instruować żony urzędników, co mają kupować i jak powinny się zachowywać w europejskich restauracjach" – powiedział jeszcze inny.

Wreszcie udzielono głosu Billy'emu. No i zaczął tym swoim doskonale wyszkolonym głosem opowiadać o latających talerzach, Montanie Wildhack i tak dalej.

Wyproszono go łagodnie ze studia, korzystając z przerwy na reklamę. Billy wrócił do hotelu, wrzucił dwadzieścia pięć centów do automatu uruchamiającego "Magiczne Palce" i zasnął. Natychmiast przeniósł się na Tralfamadorię.

– Znowu byłeś gdzieś w innym czasie? – spytała Montana. W ich kopule panował sztuczny zmrok. Montana karmiła dziecko piersią.

– Hm? – mruknął Billy.

– Znowu byłeś gdzieś w innym czasie. Widzę to po tobie.

– Uhum.

– Gdzie byłeś? Wiem, że nie na wojnie. To też można po tobie poznać.

– Byłem w Nowym Jorku.

– Wielkie Jabłko.

– Hm?

– Tak nazywają Nowy Jork.

– Aha.

– Byłeś na czymś w teatrze albo w kinie?

– Nie, spacerowałem trochę po Times Square i kupiłem sobie książkę Kilgore'a Trouta.

– Szczęśliwiec!

Montana nie podzielała jego entuzjazmu dla twórczości Kilgore'a Trouta.

Billy wspomniał mimochodem, że widział fragment jej pornograficznego filmu.

Montana wcale się tym nie przejęła. Jej odpowiedź była beztroska i bardzo tralfamadoriańska.

– Tak – powiedziała – a ja słyszałam o tym, jaką ofermą byłeś na wojnie. I słyszałam o tym nauczycielu szkoły średniej, który został rozstrzelany. To też była scena ze świńskiego filmu.

Podążyła dziecku drugą pierś, gdyż chwila była tak skonstruowana, że musiała to właśnie zrobić.

Zapanowało milczenie.

– Znowu wyprawiają cuda z zegarami – powiedziała i wstała, żeby położyć dziecko. Miała na myśli to, że dozorca puszczał elektryczne zegary w ich pomieszczeniu raz szybciej, raz wolniej i obserwowali zachowanie małej rodziny Ziemiaków przez otwory w ścianach.

Montana Wildhack miała na szyi srebrny łańcuszek. Zwieszał się z niego pomiędzy jej piersiami medalion z fotografią matki alkoholiczki. Zdjęcie było bardzo marne: sadza i kreda. Mogło przedstawiać każdego. Na kopercie medalionu były wygrawerowane słowa:

*- Boże, daj mi pogodę ducha, abym
godził się z tym, czego zmienić nie mogę,
odwagę, abym zmieniał to, co zmienić mogę,
i mądrość, abym zawsze potrafił
odróżnić jedno od drugiego.*

10

Dwa dni temu dokonano zamachu na Roberta Kennedy'ego, którego letnia rezydencja znajduje się w odległości ośmiu mil od mego domu. Zeszłej nocy umarł. Zdarza się.

Miesiąc temu dokonano zamachu na Martina Luthera Kinga. On też umarł. Zdarza się.

I co wieczór mój rząd podaje mi liczbę zabitych w oparciu o zdobycze współczesnej nauki wojennej w Wietnamie. Zdarza się.

Mój ojciec umarł wiele już lat temu – śmiercią naturalną. Zdarza się i tak. Był uroczym człowiekiem. Też miał bzika na punkcie broni palnej. Zostawił mi swoje strzelby, które rdzewieją.

* * *

Na Tralfamadorii, mówi Billy Pilgrim, nie interesują się zbytnio Jezusem Chrystusem. Spośród wszystkich Ziemi Tralfamadorczyków najbardziej pociąga, jak twierdzi Pilgrim, Charles Darwin, który uczył, że ten, kto umiera, powinien umrzeć, że każdy trup to krok naprzód w rozwoju. Zdarza się i tak.

* * *

Ta sama myśl występuje w *Wielkiej tablicy* Kilgore'a Trouta. Istoty z latających talerzy, które porywają bohatera powieści, pytają go o Darwina. Pytają go także o reguły gry w golfa.

* * *

Jeżeli jest prawdą to, co Tralfamadorczycy powiedzieli Billy'emu, że będziemy żyć wiecznie, choćbyśmy chwilami byli nie wiem jak martwi, ja wcale się tak bardzo z tego nie cieszę. A jednak – jeśli mam spędzić wieczność na kontemplowaniu różnych momentów swego życia, to jestem wdzięczny losowi, że było w nim aż tyle pięknych chwil.

Jeden z najpiękniejszych momentów, jakie ostatnio przeżyłem, zdarzył się podczas mojej podróży do Drezna, którą odbywałem w towarzystwie mego przyjaciela z okresu wojny Bernarda V. O'Hare'a.

Leciliśmy z Berlina Wschodniego samolotem węgierskich linii lotniczych. Pilot miał hiszpański wąsik i wyglądał jak Adolf Menjou. W czasie gdy do samolotu tankowano benzynę, palił sobie kubańskie cygaro. Kiedy startowaliśmy, nikt nie wspomniał o zapinaniu pasów.

W powietrzu młody steward podawał nam ciemny chleb, salami, ser, masło i białe wino. Rozkładany stoliczek przy moim miejscu nie chciał się otworzyć, więc steward poszedł do kuchni po jakieś narzędzie. Wrócił z kluczem do otwierania konserw, którym podważył oporny stolik.

Oprócz nas leciało jeszcze tylko sześciu pasażerów. Mówili wieloma językami. Wszyscy znakomicie się bawili. Pod nami rozciągały się Wschodnie Niemcy, wszędzie widać było światła. Wyobraziłem sobie zrzucanie bomb na te światła, wioski, miasta i miasteczka.

* * *

O'Hare i ja nigdy nie liczyliśmy na to, że się dorobimy – i oto teraz doskonale nam się powodzi.

– Jeśli będziesz kiedyś w Cody, w stanie Wyoming – powiedziałem do niego leniwie – wystarczy spytać o Dzikiego Boba.

* * *

O'Hare miał przy sobie notesik, w którym była podana wysokość opłat pocztowych, odległości w linii powietrznej, wysokości słynnych szczytów górskich i inne podstawowe dane o świecie. W poszukiwaniu liczby mieszkańców Drezna, której notesik nie podawał, O'Hare natknął się na następującą informację, którą dał mi do przeczytania:

“Średnio każdego dnia rodzi się na świecie 324 000 dzieci. W ciągu tego samego dnia średnio 10 000 ludzi umiera z głodu lub na skutek niedożywienia.” No cóż, zdarza się. “Oprócz tego 123 000 osób umiera z innych przyczyn.” Też się zdarza. “Daje to średni dzienny przyrost o 191 000 osób. Specjaliści przewidują, że ludność świata podwoi się do roku 2000, osiągając liczbę 7 miliardów.”

– I sędzę, że wszyscy oni będą chcieli zachować godność – powiedziałem.

– Przypuszczam – powiedział O'Hare.

* * *

Tymczasem Billy Pilgrim też wracał do Drezna, ale nie do tego obecnego. Wracał tam w roku 1945, w dwa dni po zburzeniu miasta. Konwojenci prowadzili go wraz z innymi jeńcami w ruiny. Ja też tam byłem. I O'Hare również. Spędziliśmy dwa dni w stajni niewidomego oberżysty. Tam nas znalazły władze i wydały odpowiednie polecenia. Mielśmy wypożyczyć w sąsiedztwie kilofy, łopaty, łomy i taczki, udać się z tymi narzędziami na określone miejsce w ruinach i tam czekać na dalsze zadania.

* * *

Na głównych drogach prowadzących do miasta stały patrole, które nie puszczały tam Niemców. Nie pozwalano im badać powierzchni Księżyca.

* * *

Tego ranka na określonym miejscu w Dreźnie spotkali się jeńcy wojenni z wielu krajów. Ustalono, że od tego punktu ma się rozpocząć wydobywanie ciał. I rozpoczęło się.

Billy'ego połączono w parę z Maorysem wziętym do niewoli pod Tobrukiem. Maorys był koloru czekolady i miał wytatuowane na czole i na policzkach spiralne ornamenty. We dwójkę zaczęli wgryzać się w martwe księżycowe rumowisko. Powierzchnia była niespójna i co chwila osuwały się małe lawiny.

Kopano wiele otworów jednocześnie. Nikt jeszcze nie wiedział, czego szukają. Większość otworów

prowadziła donikąd – natykano się na jezdnię albo bryły tak wielkie, że nie dawały się ruszyć z miejsca. Żadnych maszyn nie było. Nawet konie, muły ani woły nie potrafiłyby sforsować nierówności księżycowej powierzchni.

Billy i Maorys wraz z innymi, którzy pośpieszyli im z pomocą, dotarli wreszcie do przegrody z desek i belek, za którą dwie skały sklinowały się, tworząc przypadkową niszę. Przebili otwór w tej przegrodzie, otwierając dostęp do ciemnej groty.

Zszedł tam niemiecki żołnierz z latarką i długo nie wracał. Kiedy wreszcie pokazał się z powrotem, zameldował swemu przełożonemu, który stał nad otworem, że tam w dole są dziesiątki trupów. Siedzą na ławkach i nie mają żadnych śladów obrażeń.

Zdarza się i tak.

Przełożony powiedział, że należy rozszerzyć otwór, aby można było spuścić do środka drabinę i wydobyć ciała. W ten sposób uruchomiono w Dreźnie pierwszą kopalnię trupów.

* * *

Stopniowo powstały setki podobnych kopalń. Początkowo nie było smrodu, ciała wyglądały jak manekiny z gabinetu figur woskowych. Potem jednak trupy zaczęły się rozkładać, wydzielając woń gazu musztardowego i róż.

Zdarza się.

Maorys, który pracował z Billym, umarł, kiedy kazano mu zejść w ten smród i pracować. Zarzygał się na śmierć.

Zdarza się.

Opracowano więc nową technologię. Teraz ciała już nie wydobywano na powierzchnię. Palili je na miejscu żołnierze z miotaczami ognia. Żołnierze stali na zewnątrz i tylko ogień wchodził do schronów.

Gdzieś wśród tego wszystkiego biedny stary nauczyciel szkoły średniej Edgar Derby został przyłapany z czajnikiem, który przywłaszczył sobie w katakumbach. Aresztowano go za grabież mienia. Postawiono go przed sądem i rozstrzelano.

Zdarza się.

* * *

I gdzieś wśród tego wszystkiego nadeszła wiosna. Kopalnie trupów zamknięto. Żołnierze poszli na front wschodni.

Na przedmieściach kobiety i dzieci kopały rowy strzeleckie. Billy wraz z pozostałymi jeńcami został zamknięty w stajni na przedmieściu. Pewnego ranka odkryli, że brama jest otwarta. Druga wojna światowa w Europie dobiegła końca.

Jeńcy wysypali się na ocienioną ulicę. Drzewa wypuszczały już liście. Nic się tu nie działo, nie było żadnego ruchu na jezdni. Jedyнным pojazdem był porzucony przez kogoś furgon z parą koni. Furgon wyglądał jak duża zielona trumna.

Rozmawiały ptaki.

Jeden z nich spytał Billy'ego Pilgrima:

– It-it?